I. 316. 434

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM I.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	zł.	ct.
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	2.	60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3.	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom. 1) Pod pół księżycem. 2) Książe Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiéty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	3.	—
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5.	60
Bełza. Wanda. Opera w cztérech aktach	—.	60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w oprawie . . T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma, wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła, wydanie zupełne, przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII.—X. **Zaleski B.** Poezye, wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna, powieść histor. — XIII —XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła, wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckiego. — XVII.—XIX. **El....y,** (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. — XX.—XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętniki. — XXIV.—XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI.—XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX.—XXXI. **Kitowicz X** Pamiętniki i pisma historyczne, 3 t. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. — XXXIV —XXXVII. **Romanowski M.,** Pisma, 4 t. — XXXVIII XXXIX. **Słowacki J.** Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone.	2	30
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2.	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2.	40
— Nad modrym Dunajem, nowella	2	40
Bronikowski. Listy Jana III., króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683	2.	80
— Jan III. Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w., 2 t.	4.	20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2.	40
El...y. Gałązka heliotropu, komedya	—.	60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2.	80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj	2.	40
Kaczkowski K., gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4.	20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1.	20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3.	60
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serye, każda po	3.	40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6.	80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy	6.	40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4.	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego	2.	80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1.	80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akademii Umiejętności	12.	—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2.	20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII. wieku	1.	80
Przyborowski W. Rubin wezyrski, powieść	1.	80
— Księżniczka z Minsterbergu	1.	50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut, synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2.	40
Sass Berlicz. Mozaika, gawędy szlacheckie, 2 tomy	3.	80
Sewer. Bratnie dusze, powieść	2.	40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta, opowiadania, 3 tomy z illustracyami	5.	40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4.	20
— Medytacye kawalerskie	2.	40
Wilkońska P. Na teraz, powieść	2.	20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiéj i na Syberyi	2.	40
Zieliński, August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2.	60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3.	60

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

WYDANIE DRUGIE POMNOŻONE

STARANIEM

DRA. ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM I.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1885.



I. 316. 434

Biblioteka Narodowa
Warszawa



Z c. k. nadw. drukarni Karola Prochaski w Cieszynie.

POEZYE

DROBNE, ULOTNE, LIRYCZNE i t. p.

PIOSNKA DZIEWCZYNY KOZACKIÉJ.

I.

Dzisiaj, i co dnia, z blaskiem miesiąca
Idę w las krętą drożyną,
Wybieram kwiat ten z kwiatów tysiąca,
Nad którym rosła brzoza płacząca,
Nad którym łzy moje płyną.
Jak z obłąkanéj ludzie się śmieją,
Nie znają ciężkiéj méj straty;
Ja zbieram kwiaty, kwiaty więdnieją,
Ja znowu idę po kwiaty.

II.

Nieraz łza płynie gorżka, ukryta,
Bo ciężkiéj płaczę ja zguby;
Patrz, oto róża polna rozkwita,
Biała konwalia z różą uwita.
Mój drogi! drogi! mój luby!
Czy na ślub śpieszysz, czy tam w kościele
Czekają druhy lub swaty?
Ach! kwiaty zwiędły — nie na wesele,
Ja zawsze idę po kwiaty.

III.

Nie od rycerskiéj zginął on stali —
Wznieśli mogiłę wysoką,
A ile garści piasku sypali,
Tyle mu przekleństw z piaskiem posłali —
Mój luby, śpi on głęboko.
Przekleństw nie słyszał, nie słyszał płaczu,
Nikt nie wdział żałobnéj szaty,
Piasek pokrywa grób na tułaczu —
Ja co dzień idę po kwiaty!

Warszawa 28. grudnia 1829 r.

HYMN.

Bogarodzica! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos, rycerze,
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże,
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie, i tam mają duszę. —

Noc była. Orzeł dwugłowy
Drzémał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy...
Słuchajcie! zagrzmiały strzże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże.
Spojrzał, i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia... i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam, Litwini,
Jeśli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos potomności obwini
Ten naród, gdzie czczą w narodzie
Krwią zardzawiałe korony.

Wam się chylić przed obcymi!?
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnéj ziemi
I we własnych spać mogiłach.

Do broni, bracia! do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie.
Z ciemnéj pognębienia toni,
Z popiołów, Fenix nowy,
Powstał lud, błogosław, Panie!
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzica! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
I wolnych płynie krew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron.

1830.

KULIK.

Oto zapusty! daléj kulikiem
Każdy wesoły, każdy zbrojny
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.
Daléj kulika w przyjaciół chaty,
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą.
Nie trzeba wdziewać balowéj szaty,
Ani okrywać czoła żałobą.
Tak jak jesteśmy, daléj i daléj!
A gdzie staniemy? aż nad granicą...
Gwiazdy nam świécą,
Staniemy cali.

Ha! ha! koń parska, rade nam dwory;
Nie trzaskaj z bicza, niechaj śpi licho.
Szybko po drodze, tak jak upiory,
Śmigajmy szybko, cicho — i cicho.
Niech sanki świszczą
Jak błyskawica,

W okrąg księżyca
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą.
Cha! cha! cha! jak nam wesoło.

Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świécą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać, więc dobréj nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech śpi spokojnie, my bez pomocy
Tak jak jesteśmy, daléj i daléj — etc.

Stójcie tu! stójcie! oto dwór biały
I światło w oknach, dam znak, wystrzelę.
Odpowiedziały mnogie wystrzały,
Ha! dobra wróżba, wszak tu wesele.
Tu szlachta pije, wyprawia gody,
Drużby za nami! swaty za nami!
Od młodéj panny, chodź, panie młody.
Lecz nie patrz na nią, zalana łzami,
A łzy kobiéce zmiękczą ci serce.
Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce,
Teraz za nami, tak z bukietami
Tak jak jesteście... daléj! i daléj! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica:
Dam znak, wystrzelę... nie, ciszéj! ciszéj!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszy.
Przebóg! tu pogrzeb, błyszczy gromnica...
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna, a koło truny
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło..
Ha! ha! co robić? tu nie wesoło.
Lecz poco długie prawić androny,
Mój panie synu, prosimy z sobą.
Daj na pacierze, zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół... Z czarną żałobą
Tak jak jesteście, daléj i daléj... etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał, więc drzwi uchylę..,
Zieloném suknem stolik wybity,
A na stoliku świécą pamfile.
Panowie szlachta! do dyabła karty,
Daléj do broni! a karty w kąty.
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I delfin grają; może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiéry,
Które już dawniéj spadły na cztéry
I jeszcze spadną... Mości panowie!
Niech w karty sami grają królowie,
A my do koni, daléj! i daléj! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary,
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie jakieś widzę maszkary;
Panowie bracia, to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory...
Słuchaj no! słuchaj, mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie,
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
Nie, mniejsza o to, Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście, daléj! i daléj! etc.

Stójcie! tu stójcie! nowa gościna:
Już w oknach wszelkie światło pogasło,
Dam znak, wystrzelę, nie — poco hasło,
Tu śpią, nie słyszą, nie nasza wina,
Że sen przerwiemy... Stukam we wrota...
Ha! stary sługa wychodzi, świéci.
Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
„O nie, on nie śpi, pan mój i dzieci,
„Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
„Wyszli na czele zbrojnéj czeredy;
„A teraz cicho, pusto we dworze,

„Wyszli na wroga, czy wrócą kiedy?“
Widzicie, bracia, mylą pozory;
Takiemu panu błogosław, Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami, daléj! i daléj! etc.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
Lecą i lecą, a z pod kopyta
Pryskają iskry, połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie blednie czoło księżyca,
Droga skończona, oto granica,
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa....
Oto jest kulik Polaka.
1830.

PIEŚŃ

LEGIONU LITEWSKIEGO.

Litwa żyje! Litwa żyje!
Słońce dla niéj błyszczy chwałą,
Tyle serc dla Litwy bije,
Tyle serc już bić przestało.
Trzeba być głazem! trzeba być głazem,
Cierpieć te więzy rdzawione pleśnią;
Myśmy się za nie mścili żelazem,
I wolną myślą, i wolną pieśnią.
Zadrżały wrogi,
Pieśń to ponura
Te żmudzkie rogi,
Jezus Marya! naprzód! hop, hop, urra!

Nauczyli nas Teutony
Śpiéwać jako nam śpiéwali.
Legiony! Legiony!
Na Ruś! na Ruś! daléj! daléj!

Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom,
Jakże się rozstać z Ojców grobami?
Chyba odwiecznym powiemy prochom:
Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!
Zemsta na wrogi, etc.

Gdy Car groził Olgierdowi,
Odrzekł posłom Olgierd stary:
„Nieście pochodnię Carowi,
Nim zgaśnie, powitam Cary.“
I za posłami téj saméj nocy
Obozem stanął na Moskwy górach,
Panował miastu jak orzeł w chmurach,
Wszedł z jajkiem kraśném w dzień Wielkanocy.
Zadrżały wrogi,
Pieśń to ponura
Te Żmudzkie rogi.
Na grom Perkuna! naprzód! hop, hop! urra!

Jagiellońskiéj mur stolicy
Nam rozkwitnie kobiercami;
Trud zapłaci wzrok dziewicy,
Pomięszany śmiech ze łzami.
A kędy baszta mchami okryta,
Zbudzony pieśnią kamień z téj wieży
Może się zerwie, do stóp przybieży
I Gedymina wnuków powita.
Daléj na wrogi, etc.

Nikt nas teraz nie obwini,
Nikt na świecie nie zapyta:
„Czy jeszcze żyją Litwini?“
Oto Pogoń nasza świta!
Lecz nie pytajcie, czemu tak mała
Garstka chorągwią mężnych powiewa?
Więcéj nas było, lecz z tego drzewa
Burza nie jeden liść oberwała.
Zemsta na wrogi, etc.

Ho! zaszummy proporcami,
Co wolności barwą świécą;

My lecimy, a za nami
Orły! orły! orły lecą.
Na nasze głowy jak szronu kiście
Spadają gromy — legion umiera —
Jak laur zdobiący grób bohatera...
Kto chciwy sławy, rwie lauru liście.
Zemsta na wrogi,
Pieśń to ponura
Te Żmudzkie rogi.
Jezus Marya! naprzód, hop hop! urra!
1830.

DUMA

O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem,
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba,
Odwiedzał proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy,
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy,
I stał przed kościołem, i korném bił czołem,
Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie,
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
Błądzący po świecie zaufał w sztylecie,
Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
By odciąć drabinę, wziął sztylet kochanki;
Choć broń była żeńska, lecz stal damasceńska,
Hartowna -- i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
„Żyj długo, bądź zdrowa, dziewico stepowa,
„Twój sztylet położy mnie w grobie.

„Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
„Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,
„Bo dziką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
„Twój sztylet mieć muszę przy sobie.“

Smutnego uniosły arabskie latawce,
Bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
I białą zasłonę... O Lachu!...

I nocą obaczył kraj miły rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,
I marzył, że wierny druh wyjdzie przed wrota.
Lecz druhów nie było... Pod zimną mogiłą
Posnęli, gdy błądził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu,
Lecz jeszcze z dziedzińca, od wrót swego domu
Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
Gdzie błądzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
I koń był zmęczony... Więc skoczył ze strzemion
I wszedł do siedziby, bez zamka, bez szyby,
Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
Nad ciemnym Smotryczem, gdzie orzeł żył biały [1])
I wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
Po nieba szybując błękicie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,
I żłoby pozłacał, z kryształu dał ściany.
Przed Cara żołdakiem mógł uciec tym ptakiem
Daleko — i wolnym być zawsze.

[1]) Nad Smotryczem były miejsca, gdzie istotnie gnieździły się białe orły, szczególniéj w Minkowicach. (Przyp. Wyd.)

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
Szybkiego tak konia; więc każdy oniemiał,
I był jakby głazem pod Cara rozkazem,
A były rozkazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,
Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
Połamał opłatek i spożył.

A potém, jak przodków święcono zwyczajem,
Wniósł toast nadziei stoletnim tokajem:
„Żyj Polsko wiek sławy!“ Wtém goniec z Warszawy
Przyleciał, zawołał: „kraj ożył!“

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
A za nim na koniach buńczuczne kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg, błyszczący od stali,
Zrównanym galopem jak morze się fali;
Gdzie słychać dział huki, tam lecą buńczuki,
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira kozaki gdy błądzą przez wrzosy,
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,
Pieśń grzmiącą: „ho urra! nasz Emir!“

Do Cara pieśń doszła, wściekłością się pienił,
I głowę Emira na ruble ocenił;
Bo myślał, że w kraju z hordami Nogaju
Czyngiskan szedł, Batt, lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,
I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
Podkradać się, bić i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali, pod Daszów,
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
Z wesołym okrzykiem, stanęła w mur szykiem
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnéj wybiło się słońce,
Ujrzeli Moskalów, straż przednią i Dońce.
Mur dział, jak mur złota, a za nim piechota
W bagnety porosła jak zboże.

I cicho — Wtém bomba śmierciami ciężarna
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna.
A nasi w téj chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali: „O Boże!“

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy,
Rozpękłe wrącymi ciskały czerepy,
I grzmiały, dopokąd piechoty czworokąt
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ściskał, w żelazne brał skręty,
Przednimi nogami na bagnet koń wspięty,
Tak jak oczerety, połamał bagnety,
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi, choć bój był rozpaczny —
Wtém wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:
„Konnica na skrzydła!“ zwinęli wędzidła,
Odbiegli, ostygli w zapale.

I popłoch się wmięszał. Ów, co był przyczyną
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,
I sam się zastrzelił na dziale. [1])

On może, wśród bolów ostatnich zgryzoty,
Pamiętał, że dzieci zostawiał sieroty.
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła
Ma łzy a nie skargi wygnańca.

---

[1]) Orlikowski, kapitan artyleryi konnéj, dowodzący działami w bitwie pod Daszowem. Skończył jak powyżéj duma opisuje.

BIBLIOTEKA NARODOWA

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,
Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni.
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczerby nić miecza
Powlokły, jak perły różańca.

A kiedy opuszczał kraj miły, rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony.
„Leć prędzéj po błoniu, odpoczniesz, mój koniu,
„Gdy w ziemi staniemy tureckiéj.“

„O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?
„Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
„Czyś złamał w kul wiatrze? stój, koniu, opatrzę
„Czy nie ma gdzie kuli zdradzieckiéj?“

„Ha zdrowy! — to dobrze — lecz jechać w noc trudno.“
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty
Zmęczony zalegał na ziemi.

I zasnął głęboko, bo trud go osłabił —
Śpiącego od Cara najęty chłop zabił,
I sztylet dziewicy do złotéj głowicy
W pierś nurzył rękami drżącymi.

O! czemuś, Emirze, nie oddał kindżała
Stepowéj dziewicy, gdy zabić się chciała.
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jéj ze stali
Na wieki w twém sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnéj,
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnéj.
Cieszył się Car Ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurhanie.

1831.

PARYŻ.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanym składem,
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
Gdzie niegdzie ulic przeświecone śladem.
Gmachy skręconym wydają się gadem,
Zębatą dachów łuską się najeża.
A tam, czy żądło oślinione jadem?
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?
Wysoko strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodomo! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie,
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
Lecz nie deszcz boży, nie zamknięty w gromie,
Sto dział go pośle — A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełomie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz, bo to kula wroga . . . .

I już nad miastem wisi ta dział chmura,
Dlatego ludu zasępione tłumy,
Dlatego ciemność ulic tak ponura,
Przeczuciem nieszczęść zbłąkane rozumy;
Bez echa kona słowo próżnéj dumy,
O wrogach ciągłe toczą się rozmowy . . . .
A straż ich przednia, już północne dżumy
Obrońców ludu pozwiewały głowy,
I po ulicach ciągły brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli,
Co kiedy śmieli pomyśleć, wyrzekli.
Lud cały kona, katy i obrońce,
Dnia im nie stało, aby się wysiekli;
I przeczuwając krwawéj zorzy końce,
Jak Jozue wołali: „dnia trzeba, stój, słońce!“

I nie stanęło, pomarli przedwcześnie
Lecz zostawili pamiątki po sobie:
Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,
I lud, nie po nich, ubrany w żałobie,
Krwi trójcę w jednéj wcieloną osobie.[1])
Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
I jedną nogę wsparł na martwych grobie,
Drugą na zamku królów. — Gdzie oczyma
Sięgnął, tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy,
Tysiące ludu sławą się dzieliło,
Każdy się okrył łachmanem téj sławy,
Każdemu było dosyć, nadto było....
Marzą o dawnéj sławie nad mogiłą,
I pod kolumną spiżu wszyscy posną[2]);
Choć cięcie kata głowę z niéj strąciło,
Choć na niéj może jak na gruzach, z wiosną
Chwasty i z lilijami Burbonów porosną.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
W nędzy... i brat już nie pomaga bratu.
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.
I całéj nędzy nie wyjawię światu...
Twarze z marmuru, serca marmurowe,
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod niém głowę,
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

. . . . . .

Zdala od miasta szukajmy napisów,
Gdzie wielki cmentarz zalega na górze.[3])
O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
Pobladłe w cieniu chowają się róże.

---

[1]) Napoleon.
[2]) Kolumna Vendôme.
[3]) Cmentarz Père la Chaise.

A pod stopami, daléj, miasto w chmurze
T[illegible] się we mgłach gasnących opalu;
A dla żałobnych rodzin przy tym murze,
Przedają wianki z płótna lub z perkalu,
Aby dłużéj świadczyły o kupionym żalu.

Patrz znów w mgłę miejską, oto wież ostatki,
Gotyckim kunsztem ukształcona ściana. [1])
Rzekłbyś, że zmarła matka twojéj matki,
W czarne brabanckie koronki ubrana,
Z chmur się wychyla jak duch Osyana.
Ludzi nie dojrzysz. — Lecz nad mgłami fali
Stoją posągi [gdzie płynie Sekwana] [2])
Jakby się w Styxu łodzi zatrzymali,
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali. —

Tam gmachy Luwru, gdzie tron Baltazara,
A na nim siedział wyrobnik umarły;
Przez dnie lipcowe panowała mara,
U nóg jéj ludzie snuli się jak karły;
Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły
Wielkość olbrzymią, był to król narodu.
I axamity krew mu z czoła starły,
Lecz jego dzieci umierały z głodu . . . .
Zaczął dynastyą trupów, był ostatnim z rodu. [3])

1831.

GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczéry,
Są hymnem tego świata; a ten hymn posępny,
Zbłąkanymi głosami wiecznie wniebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery

[1]) Kościół katedralny Notre-Dame.
[2]) Most Zgody albo Ludwika XVI. z białymi posągami.
[3]) Po wzięciu Luwru na królewskim tronie lud położył trupa.

Jak dźwięk niesfornéj struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy:
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić;
I przeszłość, jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić,
I ścigać okiem światła obrazu i cienie,
Jak lśniące rozpryśnionych mozaik kamienie.
Tam, pod okiem pamięci, pomiędzy gór szczytem,
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny wązkim nieba nakrytéj błękitem.
Czarowne, gdy w mgle nocnéj wieńcem okien błyska,
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.
Tam stoi góra, Bony ochrzcona imieniem,
Większa nad inne, miastu panująca cieniem;
Stary, posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty, chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy, jak korona kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli
Na srebrzystéj księżyca wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianéj, wśród kolumn topoli,
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy,
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;
To potém wiele dawnych marzeń stanie przed niém,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorżkniał, piołun został w głębi czary.
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy, serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiécha,

Ma sen całego życia.... A gdy tak przemarzą,
Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą,
I bladém przerażają czołem od powicia;
Smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnéj szkolnéj sali,
Siedziało dwoje dzieci, niezmięszani w tłumie.
Oba we współzawodnéj wykarmieni dumie,
Oba wątłéj postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiém odetchnieniem;
Włos na czole dzielony na ramiona spadał,
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz, „on umrze“ mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy,
I przeczyła z uśmiechem; lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga.
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnéj, szkolnéj sali, było drugie dziécię:
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na niém nadzieje budowali szczytne,
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,
Trawił się; jego oczy ciemne i błękitne
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte,
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzał w niewidziane oczyma obrazy,
Ludzie obłędność w oczach widzieli, lecz skazy
Żadnéj dostrzec nie mogli. Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
Świadczyła o istności przedżywotnéj ducha.
A przeczuciami życie widzieli do grobu.

I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
Nie odwracając lica. W ciemnéj, szkolnéj sali,
Smutna poezya duszy dała dźwięk uroczy.
Na ciemnych mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną, wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem,
Tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,
Twarze umalowane zimnymi kolory
Obracali na stronę, skąd przyjść miała wiosna,
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.
Potém, gdy w wiosennego powietrza błękicie
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna,
Znudzeni wonią kwiatów zmięszaną, stokrotną,
Wynaleźli woń tęskną, dziką i ulotną:
Była to woń wierzbami opłakanéj wody;
Z cichéj fali wstawała każdego wieczora.
Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potém jesienią, dzieci wyobraźnia chora,
Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
Smutna poezya duszy oba serca żywi;
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnymi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą,
I wypadkami myśli żyło w siódmém niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem, silną wolą, rzucał je przed siebie,
I stawały, i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem.
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
Sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy.
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,

Budził, i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Dusza, jak w kryształowém zamknięta przezroczu,
Patrzała na świat dzikiém obłąkaniem oczu,
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci myślą dwoistą i duszą
Składali jedne, piękne całością obrazy.
W dnie wiosenne, przy ścieżce piaskowéj na kwiatach,
Gdzie nad nimi różowe rozkwitały ślazy,
Gdzie wisznie jak dziewice, w białych wiosny szatach,
Między zarumienione kryły się jabłonie;
Tam wzajem na ramionach opierając skronie,
Zamieniali słowami uczucia wzajemne.
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenborga budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu Tytanowymi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy,
I świat tworów w dwa takie rozłamane ruchy
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,
Różném życiem przez wieki rozkwita, i kona
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów.
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje się w Aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
W doskonalszém co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie,
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie.
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,
Ziemskimi sny ścigani, grzeszą myślą dumy.
I co dnia, z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.

Każda się w kształty ziemskie kryształi i ścina,
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzawiałe twory;
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie.
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli, którzy z łona Boga spadli,
I po schodzących szczeblach szli w otchłań i bladli.

W duszy dziecinnéj, woli czarnoksięska siła,
Ciągłém myśleniem, ciągłém rozwijana snuciem,
Niewyjawiona słowy, często w ludzi biła.
Zaczarowanie wolą nazwali zaczuciem.
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
Którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,
I pośród tłumu ludzi, jéj wzrok w zadziwieniu
Nieobłędnie rzucony na twarz dzieci padał,
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał,
Jak gdyby ją po znaném wołali imieniu.

Nieraz starszy błękitne topiąc w ziemię oczy,
Mówił: „słyszysz, mój luby, jak obecna chwila
Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy;
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
Smutniejszymi twarzami w przeszłość upłynioną.
Szczęśliwy! twoje myśli świetniéj w słowach płoną,
Niż gdy w sercu zamknięte; moje myśli gasną,
Słów nie cierpią, lecz nieraz w godzinie tajemnic
Tłumnymi słowy w piersiach jak szatany wrzasną,
I wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic,
Abym je wywiódł na świat, słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezyą, dać mu jéj nie mogę.
W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami,
Przepaść ciemną, głęboką; napełnię ją życiem...
Jeżeli nie wystarczy? biada! ciągłém gniciem
Myśl się w martwą przekształci ciemnością i łzami,
Stanę się myśli grobem, lub umrę przedwcześnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.

Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
Myśl moja, niewstrzymana w te krainy goni,
Chciałbym jak duch w kwiecistéj roztopić się woni,
Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów."

Gdy tak marzył, to wisznie i kwiaty ogrodu
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl daléj biegła,
I wkrótce marzeniami ognistymi wschodu
Zamknęła go w płomieni kole i obległa.
Więc pojechał do wielkiéj na północ stolicy,
Gdzie długo patrzał w Koran, zwierciadło Kalifów;
Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
Wymówionéj niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki, miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnymi oczyma
Poznało miłość. Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy — anioła,
Czarnymi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.
Przed nią dusza dziécięcia, jako karta biała,
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia, chciała zbroić nimi
Przeciwko własnéj duszy, i czczym chwilom ziemi;
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jéj tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanéj wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,
I nieraz wstrzymać zamach samobójczéj ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,
Dziwném wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,
I rzucał w nie obecne chwile, i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą

Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem,
Smutny i połamany przyszłością niepewną,
I na wesołą chwilę twarzą patrzał rzewną;
A nieszczęście przyjmował pół smutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości. Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,
I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne;
Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głazów,
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
Jak do snu kołysani, marzący jak we śnie.
A dziecię, bolem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumu,
I biegło w ciemne lasy; tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą, sosn słuchając szumu;
Tam uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy ogromnymi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą; wtenczas na oblicze
Padało światło lasów, promień słońca złoty,
Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.
A potém w głębiach lasu wicher z szumem wzbity
Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach, ów drugi młodzieniec powrócił,
Biegły wschodnich narodów tłómaczyć się mową.
W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił,
I rzekł: „odjeżdżam na wschód, w krainę palmową“
A potém umilkł nagle. O jakże odmienny
Od marzącego dziecka; pobladł — jego oczy
Obłąkane jak dawniéj, lecz wzrok miały senny,
Widać, że myśl co niegdyś żywiła, dziś tłoczy,
I wbija go do ziemi; jakaś tajemnica
Niedocieczona spała w rysach martwych lica.
Mało mówił, i tylko raz, wśród dzikich sosen,
Wykrzyknął z obłąkaniem: „Ginę marzeń zdradą!
„Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen.

„Chcą mię zabić!“ a potém uśmiechnął się blado,
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
Potém wziąwszy uściski matki, druhów, bratnie,
Odjechał — i w drugiego dziecka imionniku,
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:
„Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
„Gdy będziesz myślą w złotéj przeszłości się stawił,
„Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
„Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci.“

Wkrótce potém, pamiętam, o księżyca wschodzie,
Drugie dziécię wśród ciemnéj, dębowéj ulicy,
Siedziało pochylone przy stopach dziewicy;
Z drzew opadały liście, i w całym ogrodzie
Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych;
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych,
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziécię ustami drżącymi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potém bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi, a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistéj wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotymi rozkwitała farby,
I kładła się jak tęcza na ksiąg białéj karcie;
Lecz nie było w niéj wiary w szczęście ani w Boga,
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny.
Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się, i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął...
Wzniósł twarz, już nad nim młodéj nie było dziewicy;
Długo dumał, bo księżyc pół nieba przepłynął,
I patrzał drugą stroną dębowéj ulicy,
Jak lampa w końcu ciemnéj klasztornéj arkady.
Młodzieniec zadumany patrzał w księżyc blady,
Potém nagle uśpioną budząc się pamięcią,
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią
I przy księżyca świetle czytał nieruchomy
Na nieznajomym liście podpis nieznajomy,
A w głębi listu smutne kryły się nowiny.

„Twój przyjaciel, wysłany w piramid krainy
„Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
„Do przyjaciół rodziców domu, trzy dni bawił,
„Niewinnéj wesołości długie puścił wodze,
„I przy lampie wieczornéj powieści nam prawił.
„Wczoraj miał daléj jechać... Widzieliśmy rankiem
„Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy...
„Potém konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
„Potém wielkie, strzemienne podano kielichy...
„Żegnał się, za łzy dawał wesołe uściski,
„I puharem o nasze puhary uderzył.
„Odszedł. Wtém ucztujących strzał przeraził bliski,
„Tłumem biegliśmy w jego komnatę — już nie żył.
„Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni;
„Spoczywa na rozdrożu, wśród leśnéj ustroni.
„Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
„Że samobójstwo było w młodzieńcu chorobą
„Obłąkania, ciemnoty, szału, nierozumu;
„Ten wypadek dom cały napełnił żałobą.“

Oto jest romans życia, nieskłamany w niczém:
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconém na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny...

1832. Powieść nieskończona.

DO

MICHAŁA ROLA SKIBICKIEGO

PODPUŁKOWNIKA WOJSK RZECZYPOSPOLITÉJ

KOLUMBIJSKIÉJ

POŚWIĘCAJĄC MU POWIEŚCI WSCHODNIE

MNICHA I ARABA.

I znowu ciebie ziemia przywołuje stara
Z Kolumbijskiéj krainy, z grobu Boliwara;
Z nowych światów żadnemu nieuległych panu,
Gdzie pył tronów nie spada jako proch Wulkanu,
I nie pokrywa grodów, ani grom tronowy
Szuka pomiędzy tłumem wyższéj nad tłum głowy.

Dopóki światów nowych ludzie nie przeczuli,
Myśl nie śmiała biec skrajem przewróconéj kuli,
Na kartach kładł rytownik chmurną dłoń olbrzyma [1]).
Myślano, że Bóg ziemię tamtą stroną trzyma,
Jak czarę wrącym stworzeń napełnioną tłumem;
Dopiero Genueńczyk przeniknął rozumem
Tajemnicę téj dłoni i z jéj skrzepłych palców
Wyłamał świat drzew, złota, brylantów, padalców.
Europejska zbrodnia napełniła lasy,
Pod Kortezów mieczami padały Inkasy,
Czarni misyonarze duchownymi berły
Z łona muszl zakrwawionych nieraz pruli perły,
Potop krwi religijny świat wyludnił młody,
Dzisiaj z krwi odrastają zielone narody,
Snać płodne serce nowéj ziemi nie ostygło.

---

[1]) Na kartach, przed odkryciem Ameryki kreślonych, na ogromnéj przestrzeni Atlantyku rysowano dłoń olbrzymią z otwartymi palcami. Ta dłoń przerażała rozogniona podówczas fanatyzmem imaginacyą ludzi.

Lecz myśl twoja żeglarską obłąkana igłą
Zwracała się na północ... Przebywasz otchłanie,
Drogą, po której niegdyś biegli Luzytanie,
Myślą budzisz tajemnic tłum na dnie korali,
Oczyma Kamoensa czytasz w drżącéj fali.
I może przed delfinem napiersnym okrętu
Powstał duch Luzyady, ów olbrzym odmętu [1]),
Co niegdyś wróżbą nieszczęść tłukł Hiszpanów statki,
A dziś może ci wróżył śmierć ojczyzny matki.

To ląd! czy słyszysz stamtąd jaki gwar i wrzawa?
To stary świat! spróchniały jak rozbita nawa;
Żagiel, który ją nosił przez wypadków fale,
Spróchniał dziś na odległéj mórz zatknięty skale;
Dziś go ziele zarasta. — Stara, obumarła,
Długowieczną płodnością ziemia się pożarła.
Walcząc o skąpe reszty płodów się wysieczem.
Tu drobnych państw granice karły kreślą mieczem.
Z tą dziką ziemią kraj twój porównywaj złoty,
Tam słońce twarz ociemnia, tu czernią zgryzoty.
Jak struś, co głodny gardziel żwirem pustyń dławi,
Tu człowiek kamień wzgardy połyka i trawi.
A to, co na świat stary zbladłém patrzy licem,
Słońce Europy, pięknym nazwałeś księżycem.

Tyś smutny! o szaleństwo! ciemnéj twarzy rysem
Pobielanych tu grobów stawać się cyprysem.
Skłoń lica do uśmiechu, w téj szalonéj zgrai
Zamaskowana boleść łatwo się utai.
Tu śmiech jest znakiem życia... Śmiać się nauczyłem
Gorżko; niszczę się, skonam i nie powiem: „żyłem“.

Lecz twoja dusza marzyć przyuczona szczytnie,
Jeśli uschnie obecnie, wspomnieniami kwitnie;
Myśl wraca po błękitnym oceanów szlaku,
Teraz się wahasz lekko w jedwabnym hamaku [2]),

---

[1]) W Luzyadzie olbrzym, duch morza, grozi Hiszpanom i śmierć przepowiada za to, iż odważają się zapuszczać w jego królestwo.

[2]) Rodzaj krzeseł używany w Kolumbii i stosowny do gorącego klimatu téj krainy: jest to siatka jedwabna zawieszona na dwóch kwiecistych drzewach.

Tu magnolii róże, a pod palmy cieniem
Skrzą czarne oczy światła przecięte promieniem,
Jak gwiazdy nad odbiegłym od kraju żeglarzem.
Teraz płocha z piór złotych uwitym wachlarzem
Prysnęła wonią kwiatów, czyta myśli z czoła,
Smutna, jeśli uśmiechu śmiechem nie wywoła.
Tyś ją opuścił?... jako perła odrzucona
Będzie gasła powoli, i zamrze, i skona.
Gdy pamięć zadaleko w kraje marzeń wkroczy,
Nim ją odwołasz, łzami zalane masz oczy;
Lecz te łzy muszą oschnąć w rzeczywistéj burzy.
Tu świat jak ciemny obłok gromami się chmurzy.
Wzmagaj siłę ciężarną pracującą w ziemi,
Dawniéj fanatyzm, wolność czasy niedawnymi;
A gdy się ta rozwiąże, wałem otocz grody,
Na prędko-stawnych mostach rzucaj szyk przez wody;
Niechaj ulotna para z paszcz działowych gromów
Rzuca zgon, nakarmiona pożarami domów.
Czy maską tajemniczéj zemsty osłoniony,
Jak dawny sąd tajemny, w same królów trony
Zapozew przed sąd Boga wbij ostrzem sztyletu.
Czekaj! może muezin [1]) z szczytów minaretu
Ogłosi pacierz zemsty wśród murów Stambułu.
Czekaj! może z dzikiego w Kaukazie Aułu [2]),
Ujrzymy błyskawicę... Ciszéj!... Zdradzam myśli,
Które mi wyobraźnia, które zemsta kréśli:
Zemsta chciwa pokarmu, drżąca jak zmysł głodu.

Chcąc myśl odbłąkać, czytam dziką powieść Wschodu,
A choć odbiegniesz treści, dźwięk rymów powrótny
Będzie jak szmer fontanny bezmowny, lecz smutny.

1832.

[1]) Muezin zwołujący pieśnią lud na modlitwę proroka.
[2]) Auł, wioska Czeczeńców.

LIST
DO ALEKSANDRA H.

(PISANY NA ŁÓDCE NILOWÉJ.)

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru:
Ty w Tebach, ja dopiéro wypływam z Kairu.
Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie
Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;
Razem odwiedzać mumij balsamiczne składy,
Razem oczy w nilowe rzucać wodospady,
I razem, jako dawniéj, kończyć spór zacięty:
O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.
Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz;
Wiatrem, który mię niesie za tobą, uciekasz;
A twój brak tak mi serce w podróży oziębia,
Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.
Nad leniwą więc myślą używając musu,
Już zapisałem listem listek papyrusu.
Kupcząca ludzkiém ciałem łódź, płynąca z Nubii,
Dostarczyła posłańca, co błękitem lubi
Nosić listy, wracając pod rodzinne palmy;
Tak więc piszmy do siebie; przeczytawszy — spalmy.

A naprzód, pytam ciebie, gdzie mułowy wrątek
Wezbranych fal na Nilu ma bieg i początek?
Bo gdym o tém rozmawiał z nad-nilowym żeńcem,
Rzekł mi: „Nimfa, lotusów ustrojona wieńcem,
„Siedząc smutna pod skałą czarnych Etyopów,
„Ostrożnie sączy dzbanem ojca naszych snopów;
„Lecz kiedy się zapatrzy twarzą na kochanka,
„Wtenczas z przechylonego Nil wybiega dzbanka,
„Aż się na polach naszych strumieniem roztoczy.“
Powiédz mi, czy widziałeś tę Nimfę na oczy?
Czy taka, jak wiezione Abissy na sprzedaż?
Czy nie zostaniesz przy niéj? czy serca jéj nie dasz?
Lękam się, że ta Nimfa do zniknienia skora,
Zbliska widziana, w błotne zmieni się jeziora,
Z których każde w dolinie, bez kwiatów i drzewa,
Przez rok cały deszczami tropików nabrzmiéwa;

Aż zwiększone ulewą i skalnymi ścieki,
Rzuci wszystko Nilowi gardłem białéj rzeki.

Wreszcie wszystko to twoje *„positive“* rozwiąże,
Ja wiem tylko, że dla mnie — Nil dotąd wód książe;
Piękny, kiedy błękitem żeni się z palmami,
Co stoją wiatrem lekko wahane nad wsiami;
Piękny, gdy pokazuje płaskie pustyń lądy,
Gdzie o słońca zachodzie przechodzą wielbłądy,
Mrówki pustyni. Piękny dla oka poety,
Gdy stojące nad sobą, białe minarety
Podwójnie i w błękitach pokaże odwrótne;
Gdy ma senne bociany, jak za Polską smutne;
A jeszcze bardziéj oczy i duszę zachwyca,
Gdy w nim za-palmowego widzę wschód księżyca.

Piękność Nilu dla ciebie małą jest zaletą,
Którego Nilem wiodą Strabo i Manetho.
Epok nie mierzysz dniami, ni wypadków calem.
Era Franków: „gdy jeszcze cesarz był kapralem“
Małą dla ciebie, który dziś patrzysz z wysoka
Daléj, niż ludzie krótszéj pamięci i oka.
Ja także będę z tobą jak w rozmowie szczéry:
Należę do liczących czas na krótsze ery.
Ja chcę prędkich rozkwitnień owoców i zgonów!
Gniewa mię nieruchomość długa Faraonów;
Wolę dzisiejsze czasy burzliwsze, choć dla nas
Król jest każdy, jak dziwnie rosnący ananas:
Zerwiesz koronę, owoc odkąsisz . . . . o wiośnie
Z korony odkąszonéj nowy król odrośnie.

Dla mnie rzecz mało-ważna i z niczém ta sama,
Że Manes był zjedzony przez hipopotama;
Chciałbym tylko dziś widzieć królobójcze zwierzę.
Mało dbam, że ze wschodu przybyli pasterze,
I laski zamieniwszy na berła lub dzidy,
Kładli na piasku kamień pierwszéj piramidy.
Że z Egiptu wygnani przez rodzime syny
Założyli w Judei straszne Filistyny;
I tam mniéj twardą sztuką stawiali budowy,
Kiedy je hardy Samson mógł rzucać na głowy.

Jednak widzę wypadek jeden . . . okiem wieszcza:
Mojżesz królowi wolę Jehowy obwieszcza!
Pomiędzy rzędem Sfinxów czoło wzniósł ogniste,
Król go słucha . . . nad królem słońce idzie mgliste,
Obłąkane w szarańczy zwichrzonéj motylu.
Tam daléj Nil, lecz zobacz, co niesie? krew w Nilu!
Przy tronie Faraona, z pokręconym słupem,
Stoją królewskie syny . . . jeden pada trupem.
Krzyczą matki, pobladły starych ludzi twarze,
Takich obrazów . . . stary już świat nie pokaże.

Wielkie czasy, gdy w królów zaniesione lochy,
Z królewskich ciał nie mogły uczynić się prochy.
I stała się na ziemi Bogów różnodzielność,
I stała się na ziemi trupów nieśmiertelność!
I pod ręką, ważących głazy robotników,
Zaczynała się wieczność światowa pomników.
Na ziemi trup odbywał sądzenie Erebu,
Można było królowi zaprzeczyć pogrzebu:
A że znalazł się człowiek tak wielkiéj odwagi,
Świadczą w łonach piramid próżne sarkofagi!

Ten wniosek, może wniosków uczonych nie bliski,
Rzuciłem w porfirowe umarłych kołyski,
Gdy wejściem pod sklepienia piramidy dumny,
Przy świeczniku Araba zaglądałem w trumny.
A ty może zaprzeczysz zdań uczonych różność,
Rzucając w gadającą piramidy próżność?
I wielkie echa, ludzi nie mogąc przekonać,
Będą w łonie grobowém budzić się i konać.
Wyznam ci, że mi widać głębiéj i wyraźniéj
Gmachy stawiane myślą w krajach wyobraźni.
Jakże się piękną zdaje przy dumań pochodni:
Makbet, ta granitowa piramida zbrodni!
Ludziom nad nią wchodzącym bledną z trwogi twarze.
Płaczesz na Piramidą nieszczęścia w Learze.
Z niczego, a zazdrością już szatana bliski,
Otello, jak bodzące niebo obeliski.
Jeśli gmachy piramid miały otwór ciemny,
Skąd gwiazdy niebios człowiek wyśledzał tajemny:

W Szekspira gmachach równie zostawiona droga
Patrzącemu się oku na błękit i Boga.

Jako skarby zaklęte, strzeżone przez gryfy,
Stoją dotąd nieznane światu hieroglify.
Trup od wieków uśpiony, gdy zeń wieko spada,
Zdaje się, że w balsamach śpi i przez sen gada,
Lecz nie możesz zrozumieć! Z długimi przestanki
Idąc, prawie połowę drogi uszli Franki.
Już wiadomo, że w tamtę stronę czytać znaki,
W którą lwy ryte patrzą, w którą lecą ptaki.
Sto razy napisane Psametyk i Psychon,
Wyświeciły dziwaczny wieków akrostychon,
Od zwyczajnego pisma narodów odrodek,
Zlany z liter, wyrazom trzymających przodek.
Lecz taki sposób pisma miał sobie zaletą,
Że pisarz mógł się zrobić w literach poetą.
Tak w imieniu wyrytém nad marmuru brusem:
L rycerskie lwem było, dziewicze, lotusem.

Piękna dziś, gdy się skreśli na łonie błękitu
Mumia myśli, z jednego wycięta granitu,
Strażniczka niemyślących grobowców od wieka,
Która na dawnych panów zbudzenie się czeka
Z dawnymi wspomnieniami! Kiedy patrzę na nią,
Chciałbym z tobą wiekową nurkować otchłanią;
Być tam, gdzie pod-palmową zrobiła się chatką
Sais, będąca niegdyś Ateńczyków matką.
Pojąć, jak ci wychodnie, nazwawszy się Grecy,
Od mglistych horyzontów palmowych dalecy,
Smutni, że kolumn żywych brakowało oku,
Zaczęli ją z kamienia malować w obłoku.
Porównać Luxor z domem współczesnym Ewandra,
Egipt dać Persom, Persów bić przez Aleksandra;
Widzieć wojsko w egipskim pogrzebane pyle,
Króla, synem Jowisza — i prochem w mogile.
I Egipt odkruszony w Ptolomejów dłoni,
Laur naukowy długo noszących na skroni:
Aż zanurzeni w czasu i wypadków rzekę
Oddali się z berłami w Cezarów opiekę.

I patrz, człowiek zrodzony w Tentyrze nad Nilem
W rzymskiéj sadzawce walczy z wrogiem krokodylem!
Płaz olbrzymi nań leci, już go chwyta w paszczę,
Ilot nań wskoczył, zabił.... Koloseum klaszcze.
Na płazie pokonanym usiada gladjator:
Palmy, Nil, kolumnowy kościół boskiéj Athor,
Żonę, dzieci i chatę przypomniał glinianą;
Na płazie, pod klaszczącą z żywych ludzi ścianą,
Oczy zakrył przed ludźmi, czy przed słońca blaskiem,
I pojął, że się można urągać — oklaskiem.

Wzięty z pomiędzy ruin, prochów, pogorzelisk,
Poszedł po obcych krajach błąkać się obelisk,
Wygnaniec, już jakoby samolub z kamienia,
Żebrakowi na czoło nawet... nie da cienia!
Z nikim nie gada, stoi myślą w krajach ducha;
Gdy na księżyc fontanna rzymska pod nim bucha.

Dziś gorsi, i podobni do Mojżesza plagi,
Cudzoziemcy wynoszą z grobów sarkofagi.
Anglik dumny w sterlingi zmienione na piastry,
Rzuca trupy, trumiane bierze alabastry,
I w Londynie zachwyca zgrają zadziwioną,
Wstawiwszy świecznik w próżne alabastru łono.
Rzekłbyś wtenczas, że wszystkie płaskorzeźby rusza
Chrystusową nauką ożywiona dusza.
Że pełny nauk, ciemną przyszłością straszliwych,
Grobowiec oświecony stał się lampą żywych.

„Nie ma go tu“ powiedział anioł Magdalenie
Zazierającéj w grobu skrwawionego cienie.
Taką odpowiedź tobie Araby wyniesą
Z pustych katakumb: „nie ma ich tutaj“, lecz gdzie są?

Zamiast balsamu tego, co trupy przechował,
Chrystus nam łona naszych dusz nabalsamował;
I duszę ludzką... duszą namaściwszy własną,
Uczynił ją na wieki niezgonną i jasną.
Już na palmie egipskiéj naukę zaszczepił,
Już się był tym balsamem Egipcyanin krzepił;

Już z grobowców, nauki uczyniwszy pszczelnik,
Na Tebaidzie święty zamieszkał pustelnik,
Czyniąc mogiły ... wiary podobne latarniom,
Gdy Omar straszny głowom, gmachom i księgarniom,
Kraj, sto razy różnymi pługami przeoran,
Pod ognisty proroka dał bułat i koran!

Lecz dosyć już, bo sądzę, nowy księżyc przyjdzie
Oświécać nas w grobowców pełnéj Tebaidzie;
Tam niech inni o życia rozmawiają fraszce,
Paląc świecę w pożółkłéj pustelnika czaszce.
My, chcąc pojąć, jak niegdyś żyli ludzie sławni,
Staniemy się myślami i rozmową dawni,
Aż się tak obłąkamy w wypadkowym lesie,
Jak w palmach biały gołąb, co ten list poniesie!

1836.

POEMATY.

HUGO.

I.

UCIECZKA.

Młoda dziewica dziś w klasztornym murze
Bogu na całe poświęcona życie,
Gdy odrzucała świeże wianku róże,
Łzy z pięknych oczu płynęły obficie;
Gdy pod całunem legła na marmurze,
Ustało prawie drżące serca bicie;
Łzy już nie płyną, lecz bladość straszliwa
Jak w chwilę śmierci jéj lica pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorne chłody
Wróciły niebu barwy lazurowe.
Przed krzyżowymi kryjąc się narody,
Słońce skwarami utrudzoną głowę
Chowało w morza Bałtyckiego wody;
Lecz nim się skryło w fale bursztynowe,
Zajrzało w gmachu zasępione skrzydła
Przez szyb kościelnych ciemne malowidła.

Już lud ze świętych wychodzi podwoi,
Skończone boskich tajemnic ofiary.
Czemuż ten rycerz nieruchomy stoi,
O marmurowe oparty filary?
Twarzy nie widać, ale znać ze zbroi,
Że to obrońca chrześcijańskiéj wiary.
Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka,
Gdy wszyscy wyszli, on odejście zwleka?

Stał nieruchomy, jako posąg z głazu,
Co strzeże grobów zimnego marmuru.

Tam coś mignęło? — nie, to błysk obrazu,
Co tak pozłotą odbija od muru.
Jakiś szmer słychać? — to odgłos wyrazu
Cichéj modlitwy, przyniesiony z chóru.
A rycerz zadrżał, to może ze strachu?
W tak ciemną porę! w tak posępnym gmachu!

Już księżyc wstąpił na niebieskie smugi,
I patrzał w ciche klasztoru ustronie.
Wychodzi rycerz, z rycerzem ktoś drugi;
Oba skoczyli z pośpiechem na konie;
Pewnie miał giermka, pazia do posługi;
Lecz czemuż pędzą tak śpiesznie przez błonie?
Czemuż tak prędko z bitéj zeszli drogi,
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnéj nie wiedli rozmowy;
Starszy ostrogą zachęcał rumaka,
A potém nagle gniew gorżkimi słowy
Wyrwał się z piersi gorącéj krzyżaka:
„Z radosném sercem jam rzucić gotowy
„Kraj ten przeklęty; chciałbym lotem ptaka
„Z miejsc tych ulecieć, kędy mojéj głowie
„Grożą tajemnych wyroków sędziowie.

„Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
„Ale nie znoszę szpiegów tajnéj sprawy;
„Od nich uciekam w kraje dzikiéj Litwy;
„Lasy mi słodsze nad ciągłe obawy.
„Jagiełło z bratem tocząc krwawe bitwy,
„Przyzwał nas w swoje odległe dzierżawy;
„Już zamek Trocki do niego należy,
„I tam krzyżackich osadził rycerzy.

„Tam ja nad braćmi zakonu przewodzę,
„Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;
„A ufny w silnéj i licznéj załodze,
„Wrogów choć licznych nie lękam się zdrady;
„I sąd, co trzymał mych czynności wodze,
„Puścić je musiał i stracił ich ślady.

„W Litwie podstępem zdrady nie otoczy,
„W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre oczy.

„Oto krzyżackie zniknęły klasztory,
„I błyszczy Niemen szeroki przed nami!“
Zaraz się w rzekę rzucił rumak skory,
Parskał i pianę mięszał z wód pianami.
Na drugim brzegu czerniły się bory,
Srebrnymi nocy uwieńczone mgłami.
Księżyc posępny, płonąc na zachodzie,
Długim się słupem srebrzył w Niemna wodzie.

Nim je grom spali, nim je ludzie wytną,
Piękne są bory, cudny las sosnowy!
Tysiączne kwiaty w jego głębiach kwitną,
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy;
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy.
Przez takie bory zarośnięte wrzosem,
Prędkim tętniły kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze
Rozległe książąt na Lidzie dziedziny.
Z wschodzącém słońcem witały się wieże,
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;
Ze słońcem jeźdźców migały puklerze,
Słońcu nadbrzeżne kłaniały się trzciny;
Nie jeden pączek przed słońcem rozkwita,
Błyszczy się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły rumaki.
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,
Znów ciemne bory, zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie.
Słońce, przebiegłszy lazurowe szlaki,
Już za Ponary chowało promienie;
Już cień na ziemię spuszczał się ponury,
Gdy starszy Krzyżak wskazał zamku mury.

„Patrz! oto pyszna Kiejstutów stolica,
„To ich dzierżawy, kędy zajrzysz okiem.

„Nad zamkiem wieża, to pogan kaplica;
„Tam między gęstym kadzidła obłokiem,
„Boga piorunu szczerozłote lica
„Patrzą się jasnym, brylantowym wzrokiem.
„Widzisz to wielkie błękitu przestworze?
„To Trocki zamek! a to Trockie morze!“

II.

RYCERZ SĄDÓW TAJEMNYCH.

Stokroć weselsze są Malborga gmachy,
Niż te posępne Kiejstuta komnaty;
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,
Ani kobierców złocą jasne szaty.
Sala zamkowa jak głuche więzienie,
Wiatr po niéj szumi i wolno przewiewa,
Jéj głębie wieczne zalegają cienie;
A setne z ziemi wybiegłszy filary,
To się zrastają jak altany drzewa,
To się znów dzieląc na setne konary,
Wspierają różnie łamane sklepienie;
A okna cięte w gwiazd rozlicznych wzory
W dzień dają światło słabe jak o świcie,
Inne, okrągłe lśnią w tęczy kolory,
Dziś okna, jutro strzelnice w potrzebie.
A jedno w sklepień zasępionych szczycie
Tak błyszczy zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, choć w tak późnéj chwili,
Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali;
I dwaj rycerze czuwają na sali,
Dwaj, którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli.
Starszy miał szyszak i pancerz stalowy,
I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża;
A ile razy do światła się zbliża,
Na piersiach miga krzyż dyamentowy,
I miecz u boku obosieczny, długi.
Znam go! to komtur zakonu krzyżaków,
To młody Hugo... Lecz kto jest ten drugi!
Ile z widocznych poznać mogłem znaków,

Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
Ani swéj piersi krył ciężką kolczugą;
Ubiór miał pazia, lecz pan mu się zwierza,
Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą.
Słowa Hugona skryte, tajemnicze;
Często na pazia spogląda oblicze.
Bo też oblicze tak piękne, czarowne,
Spojrzenie pazia tak czułe, dobitne,
I oczy, jasne jak niebo błękitne,
Ćmią długie rzęsy, gdy nadto wymowne;
Włos jego spływa w złociste pierścienie,
Ale na twarzy smutek, zamyślenie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa?
Czarną miał ściśle zamkniętą przyłbicę,
I czarny pancerz i naramienniee.
Olbrzymią postać żelazo okrywa,
Schylił się, wchodząc pod wielkie filary,
Stanął w milczeniu i załamał dłonie.
„Czegoś tu przyszedł?“ rzekł Hugo ponuro,
„Czyś jest brat rycerz chrześcijańskiéj wiary?
„Co mi przynosisz?“ „Twoję śmierć, Hugonie!“
Czoło komtura okryło się chmurą,
I rzekł do siebie: „Wybadać go muszę“ ...
„Twa mowa, bracie, śmiercią mi zagraża?
„Czyliś gdzie widział Bodelszwingu gruszę?
„Czyli z Saudkirchen powracasz cmentarza?“ [1])
Na te nazwiska rycerz spuścił dłonie,
I milcząc, tylko dwakroć głowę skłonił...
Pielęgnowany troskliwie w wazonie
W okuach zamkowych kwiat róży się płonił. [2])
Zerwał go Hugo i rycerza bada;
A rycerz milczy, milcząc wziął kwiat róży,
Do piersi niesie i do ust przykłada.
Czoło Hugona posępniéj się chmurzy,

[1]) Pod gruszą Bodelszwingu i na cmentarzu Saudkirchen odbywały się wielkie sądy trybunałów tajemnych. Cała powyższa rozmowa jest wyszczególnieniem znaków tajnych, po których sędziowie ukrytych zbrodni, jak dzisiejsi wolno-mularze, poznawali się pomiędzy sobą.

[2]) Róża była godłem trybunałów.

Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;
Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
„Powiedz, rycerzu, czyliś jest bogaty?
Gdzie twoi bracia? Gdzie twoja rodzina?“
„Bogactwem mojém jedna złota sztuka,
„Bogactwem mojém są trzy miary wina; [1])
„A brat mój tutaj na mieczu wyryty;
„W jednéj ma ręce wieniec z róż uwity,
„A w drugiéj sztylet, co w krwi wroga tonie.
„Tacy rycerze są braćmi moimi,
„Taka rodzina jest w Czerwonéj ziemi [2]),
„Czy dosyć na tém? czy znasz mię, Hugonie“?

„Znasz mnie! i dom mój i moję rodzinę.
„Słuchaj więc, krótkie są wyroku słowa:
„Zbrodnia spełniona i kara gotowa.
„Znasz wielkość zbrodni, umrzesz za godzinę!
„A ty! co pazia pożyczasz ubioru,
„Ażeby kazić ludzi świętéj wiary;
„Tam, skąd przybyłaś, wracaj do klasztoru,
„Tam cię czekają wstyd, hańba i kary.“

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.
„Czy słyszysz, luba, odgłos jego kroków?
„Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!
„On mi śmierć przyniósł, gdym się szczęściem łudził.
„O łatwiéj! łatwiéj było skonać wczora,
„Dziś szczęśliwszemu trudniéj mi umierać.
„Patrz! księżyc zaczął przez szyby przezierać,
„Słyszysz, jak szumią tam fale jeziora;
„Księżyc mię żegna, żegnają mnie fale.
„A sen mój jaki będzie za godzinę?...
„Lecz próżno! próżno! ja marnie nie zginę!
„Mieliżby życiem zarządzać zuchwale?
„Czekaj tu, Blanko, zostawiam w téj sali
„Ten płaszcz, on w boju płatał by mi dłonie,

---

[1]) Każdy przyjęty do bractwa tajnych sędziów, powinien był wkupić się jedną złota sztuką i trzema miarami wina.

[2]) Tak nazywała się Westfalia, główne ognisko trybunałów tajemnych, a nazwanie to wzięła od czerwonego koloru swoich herbów.

„Ten hełm z piórami z nadto kruchéj stali,
„I miecz ten nadto lekki na ich głowy.
„Weź, moja luba, i krzyż brylantowy,
„On długo, długo błyszczał mi na łonie,
„Może ci kiedy przypomni po zgonie...
„Nie, ja żyć będę, chcę żyć, moja luba!
„Wszak jam w krzyżackim zhodował się domie,
„I nieraz sławy szukałem za domem;
„Mam miecz, co zdziwia Polaków ogromem;
„Mam zbroję, której stal tak twarda, gruba,
„Że ją żelazo żadne nie przełomie.
„Gdy się tak Hugo na boje ustroi,
„Nie wydrą serca z pod żelaznéj zbroi."

„Jest jeszcze inna ocalenia droga:
„Może w świątyni pogańskiego boga,
„Można się ukryć w jéj lochach podziemnych,
„W krętych przechodach i kryjówkach ciemnych;
„Ta droga bardziéj pewna i ostrożna,
„Wszak zdradą zdrady uchronić się można."

To rzekł i wyszedł. Straszną zbroję wkłada,
W któréj już nieraz występował w szranki;
Potém zbiegł szybko przez zakryte ganki,
Do świątyń boga, który gromem włada.
Tu ogień Znicza dymny i ponury,
Czarne filarów łamały się cienie.
Szedł rycerz, ciemne przeglądając mury,
Może w tych murach tajemne schronienie
Zbiegów bezpiecznie do świtu zatrzyma?
Lecz przebóg! zadrżał: kamienne bożyszcza,
Stojąc w około święconego zgliszcza,
Żywymi w niego patrzały oczyma.

III.

ZGON.

Nadeszła straszna godzina wyroku.
Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni,
Wszedł pod filary i zatrzymał kroku.

Przy świetle blado tlejącéj pochodni
Na dłoni rycerz oparty spoczywa,
Ofiara śmierci. Znany płaszcz komtura
Z posępnym krzyżem na barkach mu spływa;
Na hełmie znane kołyszą się pióra,
I dobrze znany krzyż na piersiach miga,
I dobrze znany miecz u jego boku.
Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga?
Hugo ów śmiały, mężny przed godziną,
A teraz śmierci lęka się widoku?
Dla czegoż kryje lica w obie dłonie,
Czy łzy zasłania, co po twarzy płyną?
Cichość ponura. „Czyś gotów, Hugonie?
Biada ci! milczysz?“ Błysnął zamach stali.
Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,
Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił,
Spojrzał i z wolna wyszedł z krwawéj sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły zarazem,
Wszedł młody rycerz. To on! Hugo młody!
Cały hartowném odziany żelazem,
Męstwem młodzieńcze płonęły jagody.
Wszedł, spojrzał bystro: „Blanko! Blanko droga!
„Poco ten ubiór? te pióra? ta zbroja?
„Czemu tak milczysz? Ach! na miłość Boga
„Odpowiedz słowo? droga! luba moja,
„Odpowiedz słowo! przebóg, twarz jak sina?
„Jéj dłoń jak zimna! i szklisty blask oka!
„I sztylet w piersiach! Więc biła godzina!
„On był tu!...“ Zamilkł, tak boleść głęboka
I żal tak ciężki jego serce ścisnął!
Piersi pracują jak wzburzone fale;
Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,
Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

„Może myślała Blanka nieszczęśliwa,
„Że mnie swym zgonem od zgonu zachowa?
„Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa,
„Ja mam żyć? luba, bądź zdrowa, bądź zdrowa!“

Księżyc nad rankiem srebrzył zamku wieże,
Niech on nam powie dalszy los Hugona.
Zbójeccy sądów zniknęli rycerze,
A strasznym losem pana przerażona
Cała się służba rozbiegła z wieczora...
Hugo już nigdy nie postał w zakonie.
Gdzież się więc podział? niech powiedzą tonie!
Niech mówią Nimfy Trockiego jeziora!
Płakały po nim, a gdy z nocy końcem
Słońce promienną ukazało głowę,
Długo w dzień jeszcze ich łzy brylantowe
Na srebrnych liljach lśniły się przed słońcem.

1829.

MNICH.

POWIEŚĆ WSCHODNIA.

Jeden z braciszków zakonu w klasztorze na górze Sinai w Arabii trudniący się, zwyczajem średnich wieków, przepisywaniem dzieł starożytnych pisarzy, na ostatniéj karcie przepisanéj księgi dodaje następujące słowa.

W samotnéj celi w Sinaju klasztorze
Czekam posępny, aż wiek mój przeminie.
Modlę się, patrząc na Czerwone morze,
Albo na skwarne Arabów pustynie.
Oto jest owoc pracy zakonnika;
Oto na białym księgi pargaminie,
Co się na klamry srebrzyste zamyka,
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,
Wskrzeszone myśli, które się zatarły,
Wskrzeszona pamięć dawnych wielkich wieków,
Które bez pisma jak ludzie pomarły.
Moja to praca nadal je zachowa,
Pod mojém piórem wzrastały wyrazy.
Różnie barwiłem początkowe słowa,
Po ścianach błyszczą święcone obrazy.
Purpurę, złoto i drogie błękity
Łączyłem cudną malowidła sztuką.
Księga ta będzie dla wieków nauką,
Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.

Oto została karta nieskalana,
Zapiszę na niéj zdarzenie klasztorne.
Było to w roku — Narodzenia Pana —
W dniu, gdyśmy zbójców odparli napady;

Gdy już ucichły modlitwy wieczorne,
Stałem przy łożu śmiertelném z gromnicą,
Brat jeden konał, posępny i blady,
Tak pod spowiedzi mówił tajemnicą:

SPOWIEDŹ MNICHA.

I.

W zakonnéj celi pod habitem mnicha
Konam samotny. Włóż kamień pod głowę,
Niech na nim zasnę. Noc ciemna i cicha.
Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę.

Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne.
Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę.
A gdy mnie rozpacz przyciśnie gwałtowna,
Nie zwykłem jęków tłumić pod namiotem;
Sam cierpiąc, drugim cierpienia oszczędzę,
I cisnę sztylet; stal jego hartowna,
Tak można było pisać na nim złotem, [1])
Jako ty piórem piszesz w swojéj księdze.

II.

Marzyła dusza. Ileż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy;
Często myślałem, że już niedaleki
Odpocznę w cieniu kwiecistéj oazy;
Płoche to było i marne złudzenie.
Ale raz z wiatru zachodnim powiewem
Doszło mię dzikie, melodyjne pienie,
Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła,
Coraz doganiam wyraźniejsze tony;

[1]) Jest to oznaką prawdziwéj damasceńskiéj stali, iż potarta złotem zatrzymuje na powierzchni ślady kruszcu.

Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła,
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.

Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
Już nie pamiętam wrażenia téj chwili.
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jéj czole złoty liść rozkwita,
A pod jéj stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potém w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła;
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nademną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moję ciemną...
W ten czas rzuciłem ojców moich wiarę....

III.

Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty?
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę:
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty,
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął... „Idź, wyrodne dziecię!
„Idź w świat i zostań sam jeden na świecie!“
Przeklął, i wszyscy przedemną pomarli.

IV.

Jéj piękność wiecznie tkwi w sercu wyryta!
Piękność dziewicy jest jak piękność kwiatu,
Cudnie się błyszczy, lecz prędko przekwita.
Ale gdy róża strojna w liść szkarłatu
Utonie kiedy do mogiły piasku,
Jeśli ją tuman nakryje stepowy,
Róża w nim uschnie, lecz nie straci blasku;
Wiecznie zachowa swój liść rubinowy,
Jak gdyby wczoraj rosła wśród oazy.

Jak gdyby wczoraj zerwana na błoni;
Tak postać Zary kwitnącą od skazy
Mogiła myśli gasnących ochroni...

Pamiętam dotąd jéj dziecinne słowa,
Patrząc na śnieżne gór Iranu szczyty,
Raz mnie pytała: „Tam, pod gwiazd błękity,
„Co to za lampa błyszczy kryształowa?
„Patrz, jakim blaskiem gór wierzchołek spłonął;
„Zapewne księżyc w ich łono utonął,
„I w alabastrach błyszczy się ukryty....“

Nie przeszła chwila, już byłem na górze
Wśród śniegów lodu; i w tak prędkim biegu
Wróciłem nazad, że doliny róże
Kwitły utknięte w wazonie ze śniegu.

V.

Ja miałem brata... Całe pokolenie
Było mi niegdyś jak wierna rodzina,
Dzieliło razem i głód i pragnienie;
A teraz każdy z braci mię przeklina,
I chce mi szkodzić jawnie lub obłudnie.

Raz zapędzony na łowach daleko,
Wracałem w skwarne pustyni południe.
Koń mój z pod kopyt miotał piasek wrący,
Chwiał się znużony pragnieniem i spieką,
W rozwarte nozdrza chwytał wiatr gorący.

Wtém jedzie Arab przez pustyni błonia.
Rzekłem do niego: „Słuchaj, bracie młody!
„Musisz mieć wodę, daj mi kroplę wody.
„Widzę, że pełne twe juki podróżne,
„Wody! nie dla mnie, lecz dla mego konia“.

A on mi na to: „Czary moje próżne,
„Ostatnia pełna, ciskam ją o głazy;
„Umieraj, zdrajco! Giaur niech nie żyje!
„Gdybym gdzie wiedział pobliskie oazy,

„Z których ty pijesz, albo koń twój pije,
„Zatrułbym wody — Bogdaj nie ochłódło
„Niebo, skąd chłodu twa dusza wygląda.“

Krzyknąłem wściekły: „W żywocie wielbłąda
Dla mego konia znajdę wody źródło!“

I obà zbrojni zwarliśmy się razem,
Jako dwa wichry wśród piasków tumanu.
Upadł przeciwnik przebity żelazem...
Koń mój pił wodę!!! Turban wroga zlata,
Patrzę się, przebóg! ta twarz z pod turbanu
Dobrze mi znana — Już nie miałem brata.

VI.

Lecz koń mi został i biegł przez pustynie,
Koń, który myśli Araba przenika.
Jak struś na stepach, gdy skrzydła rozwinie,
Ledwie się ziemi stopami dotyka;
I grzywa konia z wiatrami igrała.

Lecz przebóg! koń mój chwieje się, upada.
Patrzę! a w piersiach tkwi zbójecka strzała....

Ojcze mój! Ojcze! okropna to zdrada!
Tę strzałę w twoim widziałem kołczanie!

Rumaka mego przeszło śmierci drganie,
Parsknął i głowa na piasku zaległa.
Wtenczas spojrzałem na pustyni błonia,
Pierwszy raz mi się zdała tak rozległa...
Stepy bez końca... Już nie miałem konia.

VII.

Patrz! czy to śmierci posłaniec ponury
Wleciał do smutnéj celi zakonnika?
Motyl nie strojny w złoto ni w lazury,
Ledwo z jedwabnéj dziś zmartwychwstał truny,
I znów tak blisko pogrzebu świecznika.
Skrzydła czernieją jak zmarłych całuny,

I ma na skrzydłach pisany gniew boży [1])
Co mu tak cięży, że je w ogniu pali...
Tak dziki Arab, gdy się los rozsroży,
W dzień jest spokojny i zatłumi jęki;
Lecz gdy noc ciemne przywdzieje zasłony,
Lśni przed nim jasność samobójczéj stali,
Patrzy posępny na niebios sklepienia,
Twarz ma pobladłą i wzrok zapalony,
I widać drżenie wstrzymywanéj ręki,
Silne jak drżenie głodu lub pragnienia.

VIII.

Piękny nasz kościół! u stóp jego wały
Spienione miecą na głazy ukropy;
Stoi na skale, jego krzyż nad skały
Jak ptak uleciał aż pod nieba stropy;
A cudne palmy, pustyni królowe,
Przy nim się zdają jak powiewne zioła;
Czołem zmiatają ganki marmurowe,
Jak gdyby chciały w prochu złożyć czoła..

Lecz wczoraj! wspomnij godzinę przestrachu,
Kiedy na kościół napadli Araby.
Straszliwy odgłos rozbiegł się po gmachu,
W klasztornéj sali zebrały się mnichy,
Ale cóż znaczył mnichów odpór słaby?
Już miano wydać kościelne kielichy,
Gdy ja stanąłem: „Bracia! czyż niegodnie
„Mamy się poddać? niech nas Bóg ośmiela!
„Weźcie do ręki psalmy i pochodnie
„I czarne szaty i krzyż Zbawiciela.“
Rzekłem, i zbrojny rzuciłem się pędem
W sam tłum Arabów, niósłem ślepe ciosy.
Za mną się światła snuły długim rzędem,
I brzmiały hymnów pobożne odgłosy.
Pod mieczem mnicha legł nie jeden zbójca;
A kiedy wodza spotkałem na błoni,

[1]) Na skrzydłach wielu motyli a mianowicie szarańczy, znajdują się niewyraźne znaki; lud prosty wierzy, iż to są litery arabskie i że zawierają napis: gniew boży.

Mnichu, widziałeś! on poległ z téj dłoni;
W twarz mu zaglądam ... Już nie miałem ojca.

A gdy nieszczęściu nie mogłem uwierzyć,
Rzekł mi konając: „Synu! kryłem lica!
„Abyś się w boju nie wahał uderzyć,
„Abyś wyrzucał sobie śmierć rodzica.
„Teraz, gdy możesz! teraz zapominaj
„O zmarłych, ciesz się z tymi, co zostali ...
„Ona ... umarła ... od zgryzot? od stali?
„Nie wiem, nie pytaj ... lecz ojca przeklinaj!“

IX.

I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczół matka gdy w wymarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia,
Ale łza moja pamięć przodków plami.
Myśl moja niegdyś tak cudna, skrzydlata,
Błąka się w zbrodni i jak kwiat przekwita,
Dzisiaj w księżycu widziałem twarz brata;
Lecz kiedy oko podobieństwo czyta,
Znowu spostrzegłem rysy ojca twarzy;
I znów się głębiéj oko moje wkrada,
I znowu patrzy, znowu dziko marzy:
Z łona księżyca wykwita twarz blada,
I znów poznałem ... to były jéj rysy;
Smutne pamiątki wzrastają bez końca,
I tak się krzewią jak czarne cyprysy;
Już duszy mojéj odjęły blask słońca.

X.

To moje życie ... Teraz śmierć się zbliża
I w sercu czuję nieznaną tęsknotę;
Wyznam ci, mnichu, choć ściskam znak krzyża,
Noszę na piersiach amulety złote [1]),

[1]) Amulety są rodzajem talizmanów, urobione z drogiego kruszcu zamykają najczęściéj wiersz koranu.

Przez nią mi dane, jéj ostatnie dary.
A w nich koranu drzemie myśl zamknięta,

Nie drżyj... myśl godna chrześcijańskiéj wiary,
Tak mówi prorok: „Dusza wiernych święta
„Niechaj miłością nienawiść odpłaca;
„Niech jako muszla srebrzystego łona,
„Kiedy pod ciosem chciwych ludzi kona,
„Morderce swoje perłami zbogaca“.
Mnie przyjaciele zdradzili najszczersi...
Mnichu, ty gniew mi ukazujesz z czoła,
Więc zerwij, zerwij talizmany z piersi!...
Muzułman, gdy się z amuletem dzieli,
Słyszy ostatnie westchnienie anioła...
Zerwij!... Co słyszę! czy to wiatr w téj celi
Smutnie zaszumiał?... Słyszałem westchnienie!

XI.

CIEŃ DZIEWICY ARABSKIÉJ.

Ciebie głos westchnień stłumionych zasmucił?
Zniknęłam niegdyś jak senne marzenie,
A obraz drżący i zbladły powrócił
Do twojéj myśli, gdy masz zawrzeć oczy,
Aby cię znowu do snu ukołysał.
Pomyśl! sen wieczny wkrótce cię otoczy,
A ty się wiersza pozbywasz koranu?
O luby! pomyśl, kto ten wiersz napisał!
Wspomnij na piękne krainy Iranu!
I patrzaj na mnie... tu jestem, tak blisko!
Czyliż ci moje nie znane wyrazy?...

Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko,
Te cudne, błędne pustyni obrazy,
Których cień miły podróżnego nęci,
A gdy się zbliży, we mgłach się rozpływa:[1])

[1]) Wielu podróżnych wspomina o tych dziwnych zjawiskach przyrodzenia. Pielgrzym dręczony pragnieniem często spostrzega w pustyni niedalekie jeziora a nawet obrazy palm, które za zbliżeniem się wędrowca niknąą... Są to może krainy duchów.

W nich teraz żyję, w nich cień mój przebywa,
Blady jak iskra gasnącéj pamięci.

Oto przybyłam na blasku księżyca,
Patrzaj! cień Zary ciebie nie przerazi;
Śmiertelna bladość twarzy mi nie kazi.
Chciałam być piękną, ukrasiłam lica
Kolorem róży czarownego kraju;
Chciałam być piękną, ożywiłam oczy
Promieniem rosy; woń moich warkoczy
Jest tak łagodną, jak tchnienie róż maju.

Pomyśl, mój luby! chwila już się zbliża,
Czyliż być mamy wiecznie rozłączeni?
Odrzuć daleko ten czarny znak krzyża!
On nas rozdziela, odrzuć go daleko!
Pójdziemy błądzić — para błędnych cieni —
W błędne krainy... Tam przed skwarną spieką
Wiecznie nas skryją z mgły uwiane drzewa;
Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną,
Jaśmin srebrnymi kwiatami powiewa;
Inne tam słońce lśni nad tą krainą,
Inny tam księżyc srebrzysty jaśnieje;
Jak eter czysty wody kryształowe,
Czarne cyprysy i drzewa palmowe;
A wiatr liściami wonnych kwiatów wieje.

A gdy twa dusza już od ludzi stroni,
Będziemy żyli samotni w tym raju;
Ani Araba koń nas nie dogoni,
Gdy będzie ścigał, próżno się utrudzi;
Na skrzydłach wiatrów, po piaszczystéj fali,
Kraj nasz czarowny i mieszkańce kraju,
Spłyniemy w stepy, coraz daléj! daléj!
Żeby już nigdy nie napotkać ludzi.

Ach! pomyśl! pomyśl nad szczęścia obrazem,
Powiédz mi słowo?... sen twój nie daleki...
Ty milczysz!... Chcesz nas rozdzielić na wieki?
Pomyśl!... już nigdy nie będziemy razem,

I nigdy nasze nie złączą się duchy...
Ty milczysz!...

MNICH.

Boże! zniknęła... O mnichu!
Precz mi z gromnicą! precz ze słowem skruchy!
Daj mi truciznę w święconym kielichu,
Albo mi powróć święty wiersz koranu!
Słyszałeś! smutna to była rozmowa!
Słyszałeś?...

SPOWIEDNIK.

Bracie, ufaj w niebios Panu.
Ty sam się łudzisz... swoje myśli, słowa
Brałeś za płonne wyrazy dziewicy....

XII.

MNICH.

Ojcze! zgrzeszyłem... Gniew boskiéj prawicy
Rozkruszy serce obłąkane, wrące...
Mnichu! gdzie koń mój? gdzie koń mój stepowy?
Koń, co tak prędko pustynie przelata,
Miecąc kamienie i piaski kipiące...
Wody dla konia! choćby ze krwią brata.

Ach szybkie! szybkie odbyłem dziś łowy;
Ledwo wieczorem chmura tu nadpłynie,
Którąm dziś rano wyścignął na wschodzie.

Mnichu! gdy potok lat prędki przeminie,
Zdaje się krótkim jako przelot konia.
A jam tak prędko śpieszył się przez błonia,
Anim odpoczął gdzie w palmowym chłodzie.

XIII.

Napróżno oczy podnoszę ku niebu,
Ciężka śmierć moja... z podwoi kościoła
Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu;
I orszak mnichów niosą kir, kobierce,
I światła w rękach i zakryte czoła...
Modlą się za mnie, lecz nawet pozoru

Nie ma boleści... Zimne mnicha serce!
I modły zimne jak mury klasztoru!...

Nieście mnie w stepy tam szukać grobowca,
Miło umierać wśród kwietnéj oazy.
Widziałem drzewa, co proszą wędrowca
Zachwianym liściem, by spoczął pod cieniem;
A gdy się zbliży, drżą radości drżeniem,[1])
Tam drzewa czują... tu ludzie jak głazy.

XIV.

Niech po mnie zabrzmi w pustyni jęk dzwonu,
A może Arab, co się jazdą strudzi,
Kiedy go odgłos pogrzebowy zbudzi,
Napół ockniony, nim znowu zadrzémie,
Przypomni sprawcę swego króla zgonu,
Senny, z przekleństwem wymówi me imię.

1830.

[1]) Tomasz Moor w poemacie Lalla-Rook wspomina o drzewach, które drżą liściami za zbliżeniem się człowieka.

JAN BIELECKI.

POWIEŚĆ NARODOWA POLSKA

OPARTA

NA PODANIU HISTORYCZNÉM.

I.

WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
Tu źródła bogactw w zapylonéj ramie.
Czytam... Jak dziko ten język umarły
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmuntów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinxy, te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: „kraj nasz dosiągł szczytu,
Chylić się musiał.“ Precz z myślą szatana!
Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spocznie... Okno klasztoru otworzę...
O! jak spokojne otchłanie błękitu:
Tam zdala płynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy;
Myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
Z nieszczęść obecnych, bezwładny, bez steru.
Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru,
Tam izba Parów, tu Tamiza mgława

Połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu;
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,
A oni żyli... Nie zajrzałem w urny,
Wybiegłem, więcéj nie wchodzę w te ściany...
Ale samotny wracam dziś i codzień,
W dziedziniec głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień...
Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli śpiesznie do progów kościoła,
I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniéj widomy
Niszczę do reszty śladem mojéj stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy,
Nie mając w duszy wrącego płomienia.

Posępny, siądę na odłamie głazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w księgach, a godło obrazu
Było: „kraj zdradził, lecz zdrada zabija".

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe:
Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju, nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Bereżan w cudnéj mieszka okolicy.
Zamek o[illegible] rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztór, w murach zakonnicy,
Daléj kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnéj nie ujrzysz różnicy

Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe;
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki,
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy;
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.

Pan Brzeżan hucznie wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistéj szacie, ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzoném czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłéj dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołéj szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednéj iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi: szlachta wstaje, słucha.

„Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie, a ja w krótkiém słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potém każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlachcic obraz[illegible] mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem [illegible]
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem

Widziałem wroga, nie próżno przychodził,
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczém.

„Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże,
Ja się usunę! niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!

„Hej! Szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniéj w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie.
Jak król udzielny w darowanéj grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojny między nimi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę.“

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie axamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wahały brylantowe kity
I oko ćmiły różnobarwne krasy.
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się zmięszają wszystkie barwy borów;

Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Daléj! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi...
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi.

II.

WESELE.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u Fary
Jaśnieje ołtarz; potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany:
Tam pożółkniały ksiąg pargmin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowymi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartém czołem, Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiéj zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza;
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiéj piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubéj w miłym dany upominku
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A daléj, swaty za młodym rycerzem,
A daléj, bracia husary, pancerni,
A daléj, służba w wielkiém stoi kole,
Zbroją od prostéj odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jéj szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiém piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiéj szacie
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jéj śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Axamitnego dotknęła się łona.

Dla czegoż smutna?... Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora krysztale;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze;
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały
I pochodniami świécili kozaki:
Noc księżycowa, widna jak dzień biały.
„Stójcie!“ zawołał pierwszy swat, przedemną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojéj chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniéj miedzy doorywa...
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą; sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił; prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno“ rzekł „Anno!“ wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojém objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...“ Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniéj miedzy.

Bielecki zniknął, żadnéj o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jéj serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranéj roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

III.

BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziécię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiaździstéj koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornéj godziny
Głośném wahadłem po ścianach zegary.

A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego sioła.

Siedziała Anna, przy niéj ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę;
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtém zaszczekały brytany zbudzone
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł, czapkę miał na głowie
Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
„Na wieki wieków“ starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nisko schylił głowy
I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,
„Dziś mnie posyła po paniach i panach,
„Jutro was prosi na swój bal maskowy.
„Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
„A wszyscy w dziwne przybrani maszkary.“
„Ha! precz mi z oczu!“ krzyknął cześnik stary,
„Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
„Precz! bo na Boga...“ Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą
Już gniewu swego nie mógł wywrzeć słowy...

Była to straszna chwila przed północą;
W około słychać nocnych kurów pianie,
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły;
Wszedł blady człowiek, lecz na powitanie

Jak zwykle Boga imienia nie chwalił,
I opatrzone w pieczęć zawinięcie,
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!“
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy,
I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu...“
A daléj szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: „O Boże!
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną.“

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecyi, co po morzu pływa,
Do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconymi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę .. Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica;
A w ręku jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnéj zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem, a przy niéj młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;

Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu. [1])
A pieśni majtków i szum cichéj fali
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tas się żali.

Lecz w jednę stronę zbiegł się tłum balowy:
Dziwna tam maska! dziwne jéj ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z korali...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?...
Próżna ciekawość, pod maską jéj lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

IV.

ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośna to radość, lecz radość nieszczera;
Śmiech słychać!... śmiech to wymuszony świata
Na bladych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Którymi błyszczy biesiadnika głowa;
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie
Nad jednę chwilę rozkoszy, choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale;

[1]) Wenecya.

Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiéj struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
W około stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych nie jedna twarz blada,
Któréj wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził starosta, — krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł starosta do sali biesiady,
Zawołał pazia, pomięszany, blady.
„Paziu mój, paziu! co znaczą te maski?
„Prawie połowę zajęli komnaty,
„Czoła zakryte i tatarskie szaty...“
„O panie! twojéj bojaźni nie dzielę,
„To jakaś szlachta zjechała kulikiem.“
„Nie są to, paziu, nie są przyjaciele!
„Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
„Zarazby pełne obległa szklanice,
„A oni milczą, kryją tajemnicę...
„Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
„Niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże;
„Zwodowa wieża i zamek się pali!
„O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
„Miecz mój i zbroja! prędzéj, paziu młody.“

Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem, baszą, atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,

Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świécił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł, jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emalii żaćmionym lazurem,
Obraz Najświętszéj Panny malowany,
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżyca półkole,
I gwiazdy, nad nią hełm ze strusiém piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiéty.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa.
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana;
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki,
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiał pełny słodkiéj woni;
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara,
A strasznie bladą była twarz dziewicy.

Budzi się, gdzież jest? w zamkowéj kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświécał kościoła.
„Tyż to, mój luby? tyż to jesteś ze mną?
„Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
„Niech cię obaczę, rysy twego czoła...“
I zdjął Bielecki turban muślinowy,
Anna spojrzała — i padła omdlona.
Znów po niéj życia rozlały się ślady.
I znów po chwili ciężko przebudzona
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!...“
„Cha! blady?“ przerwał rycerz z dzikim śmiechem.
„Wszak zdradzam!...“ zamilkł, lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośném powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
„Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał.
„Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
„Na mojém czole napisano: zdrada.
„Kraj cały we krwi... Wznieś na księżyc oczy,
„Patrz na te okna, na szkle malowidła.
„Gdy błyśnie słońce, ów anioł roztoczy
„Różane lica a srebrzyste skrzydła;
„Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
„Teraz do lekkiéj widm podobny larwy,
„Ciemniejszém patrzy i niepewném licem,
„Smutną ma postać, obumarłe barwy.
„Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy;
„Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
„Oświéci nieszczęść lampa? od téj twarzy
„Weselsze będą grobowe cyprysy.
„O luba moja, poco te rozmowy?
„Luba! chodź zemną wieść życie tułaczy!
„Chodź za wygnańcem potępionéj głowy!
„Na twojém łonie dożyję siwizny,
„Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“ —
„Mój Ojciec!“ — „Ojciec?“... „Ojciec przeklnie ciebie!“
„I ty się lękasz?... Przeklnie! i cóż znaczy
„Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...

„Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
„Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
„Są ludzie, wszyscy przyjaciołmi mymi,
„Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?
„Luba! jest wszystko! wszystko! prócz téj ziemi.“

V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jéj ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
W około cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać, wiejski dzwon kościelny
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny.
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa:
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzémsy zapada.

Msza się skończyła. — Oto w niskie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi

Błysnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić boskie słowo:
„O! bracia! dzieci! i tegożem dożył?
„Ja stary wiekiem z ubieloną głową,
„Że kiedy nieraz osładzałem troski,
„Dziś żal pod strzechę niosę w bożém słowie.
„Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
„Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan téj wioski.
„Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
„Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
„Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
„Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
„A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam!...“
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen, lecz amen żałoby,
Jakże niechętne? dźwiękiem ledwo żywe.
Potém się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamięszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie
Klął nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,

Spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi, twarz blada, nieżywa:
I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!...“
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą,
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
A jego litość, liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jéj nie słyszano słowa,
Czy brak w niéj czucia? bo sucha źrenica;
Twarz nieruchoma, jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
I brylantami oświécone szaty;
We włosach jasne przepaski z korali.

„O! mój najmilszy!“ rzekła „o! mój drogi!
„Jesteśmy sami, już jesteśmy sami!
„Tyś na mogile usnął, a w te progi
„Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
„Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!. .“
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potém nań kwiaty rzuciła wonnymi:
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnéj drodze,
„Sama w święconéj pochowam cię ziemi.“

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżéj darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły....
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnéj czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziéj ciemnieją kolory,

I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzał, a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna boskiéj wzywała pomocy.
Widna jéj postać przy blasku miesiąca
Jak mgły ulotnéj srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca;
Lecz echo coraz słabsze niosło razy,
I coraz słabsze, nikły, jako w Bogu
Tonące modły, jako śpiew daleki...
Dziewica blada, na kamiennym progu
Usnęła, może usnęła na wieki....

I cicho — niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornéj godzinie;
Całego świata, gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania.
I wszystko można rozróżnić w téj ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła.

ARAB.

Klęka mój wielbłąd jak Iman ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu,
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktylów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z téj skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,
Wesołych — cierpień widokiem przerażam;
Gdy na méj twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi bladną i śmiać się nie mogą..

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,
Z pod racic ogień wypryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze,
A w zębach żutéj trawy słyszę chrzęsty.
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcéj ubiegnę drogi od księżyca.

I.

Możnym być muszę, gdy za moją sprawą
Tylu na świecie płakało i płacze.
Raz, kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,
Gdym biegł na stepy, wróg ludzkiéj uciechy,
Z łez cudzych winne wybierać haracze,
Patrzę: nad morzem uklecona z trzciny
Chata uboga, z ziemi bite strzechy
Kwieciste morza okryły rośliny;
Światło błyszczało przez łatane szyby,
Po strzechach dym się błękitny rozciągał.

Ha! czyż mieszkaniec téj nędznéj siedziby
Będzie mi jeszcze weselem urągał?

Niskiéj zagrody przestąpiłem progi;
Nędza tam była, lecz mieszkaniec chaty,
Człowiek na pozór nędzny i ubogi,
Choć ciężką pracą utrzymywał życie,
Ten drżący starzec, pochylony laty,
Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziécię.
Był to ubogi nurek, a w tym piasku
Odgrzebał perły... O nędzo żebraka!
Perły... to perły! tak małe? bez blasku?...
Spojrzałem gorżko na szczęście rybaka,
I wiodłem starca po nad brzegi morza.
Patrz! rzekłem, oto z łupów karawany
Perła ogromna, błyszcząca jak zorza;
Oto ją rzucam w te wiry, w te piany;
Dostań ją z głębi, a który z mocarzy
Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
I wnet się rzucił w wiru fale ciemne;
Zginęła perła, starania daremne!
Wypłynął... była na twarzy zgryzota.

Zatrułem szczęście i pokój człowieka,
Dałem truciznę, dałem mu nadzieję.
O! jakże gorżko nad brzegiem narzeka,
O jak obfite do morza łzy leje!
Widziałem potém, jak poszedł do chaty,
Z rozpaczą upadł na liściane łoże;
I wołał z jękiem i z płaczem: O Boże!
Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty.

Śmiałem się gorżko, był to śmiech szatana!
Daléj, wielbłądzie! daléj na pustynie!
Może gdzie radość błyśnie niespodziana,
Nie dam ja urość téj bujnéj krzewinie;
Może gdzie zemsta to serce obudzi,
Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą, [1])
Nieraz się smucił, przewidując burze;
Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,
Koral jak majtek cieszył się pogodą;
Ale zerwany wichrami jesieni,
Skamieniał, błądząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,
Płynęła zwolna wielka karawana;
Gdy przypłynęła nad pustyni studnię,
Powstała wrzawa ze śmiechem zmięszana;
Tłum cały bieży prędkimi zawody,
Potém, jak stadem spłoszone żurawie,
Gwarzy wesoło i zaczerpa wody...
Ale śmierć była w téj wody przyprawie.
Była trucizna.. Ha! poco się śmieli?...
Już piją! piją! jedna twarz pobladła,
Tam upadł drugi... tam bracia skościeli,
I drżąca czara z martwych rąk wypadła.
Rzekłbyś! że Diwy, że ciemni Anieli
Na świat zarazy wyrzucili tchnienie.
Ani tak liczne na brzegu kamienie
Jak były trupy!... Z całéj karawany
Pozostał starzec, młodsi go ubiegli,
Pięciu miał synów... wszyscy trupem legli...
Przybiegł nareszcie, gdzie rozbite dzbany,
Gdzie ciała synów leżały na brzegu;
O! rozpacz! martwe było całe plemię!
Chciwie, jak sorbet ochłodzony w śniegu,
Chwycił truciznę, z synami się złączy...
Przybiegłem, starca chwyciłem na strzemię,
I szybko w biegu uniósł nas koń rączy,
Z pod kopyt iskry rozniecał w granicie.
Uniosłem starca i puściłem cało.
Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie,
Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało...

[1]) Zdaniem naturalistów koral jest istotą żyjącą, a każda z jego gałązek składa się z mnóstwa ożywionych stworzeń.

Daléj, wielbłądzie! po co zwalniasz kroku,
Gdy mię rozkoszne zajmują wspomnienia?
Tu cicho, pusto, i tylko z obłoku
Księżyc posępne czoło rozpromienia.
Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce, jak muszla wyrzucona z fali,
Pełna ślimakiem, życie zamknie w sobie;
Cicha, lecz kiedy słońce ją wypali,
Słuchaj! usłyszysz gwar w kamiennym grobie,
Rzekłbyś, że wspomnień napełniona tłumem,
Wszystkie zmięszanym rozpowiada szumem.

III.

Dawnymi laty ... Jeszcze byłem młody;
Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
Bystrego konia puściłem w zawody;
Leciał i parskał i białymi piany

Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła.
Struś nie mógł skrzydeł rozwinąć ścigany,
A koń mój leciał, jak gdyby miał skrzydła.

Wtém patrzę, między dzikie pustyń głazy,
Jakby czarowne raju malowidła,
Kwieciem błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą, między źródła kryształowe
Stała dziewica, królowa oazy,
Omglona w lekkie szaty muślinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku
W połowie widna, skryta przez połowę;
A promień szczęścia jaśniał w czarném oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
Uciekać trzeba od szczęścia widoku,
Oto koń nawet spina się i zżyma.

Daléj, mój koniu!... Sroższy nad tygrysy
Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
Koń mnie zrozumiał, zaniósł pod cyprysy,

Tam Solim w cieniu cyprysowym drzémie.
Dzięki ci, koniu! Patrzę, jego rysy
Błyszczały szczęściem... zginąłeś, Solimie!

Dziewico, wkrótce wróciłem w te strony,
Chciałem się łzami nacieszyć twoimi:
„Ha gdzież twój Solim? gdzież twój ulubiony?
„Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?

„Mój luby, rzekła, na piaskach spoczywa,
„A wiatr pustyni jego ciałem miota;
„Lecz skoro pierwsza błyśnie gwiazda złota,
„Dusza się jego od ciała odrywa,
„Ty nie wiesz, nie wiesz, jakem ja szczęśliwa!
„Jego duch, w niebios niesiony błękicie,
„Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,
„A dusza jego zgaduje przybycie.[1])

„Gdy nic milczenia nocy nie poruszy,
„Gdy nawet serca, co wzruszone bije,
„Zanadto głośne wydaje się bicie,
„On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.
„Nie są to zmysłów znikome utwory,
„Ja go tu czuję, widzę, on ponury!
„Lekki, jak z mglistéj utworzony chmury,
„Ubrany w tęczy złociste kolory.
„Jego głos długie i długie godziny,
„Jak szmer fontanny, duszę mi zachwyca;
„A gdy ustami dotknie lekko lica,
„Zda się, że spadły kwieciste jaśminy.

„Potém się zbliża i krwi krople pije,
„Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie;

[1]) Obraz, który tu następuje, jest oparty na podaniu wschodniém, że upiory wracając na świat, piją krew i dręczą osoby, które niegdyś kochali za życia. Arabowie zaradzają powrotowi na świat upiora, ucinając zmarłemu głowę.

„A kiedy od niéj błyśnie i odżyje,
„Gdy w nim już krążą mojéj krwi strumienie,
„Widzę z rozkoszą, jak źródło wysycha.
„On z piersi moich chwyta wątłe tchnienie,
„I sam z rozkoszą tém tchnieniem oddycha;
„Na chwilę moje zatrzymuje serce
„I jego serce zaczyna bić z cicha;
„Z oczu mi bierze po światła iskierce
„I jego oko tym się ogniem pali;
„Z lic mych pożycza jasnego szkarłatu
„I jego lice bierze blask korali,
„Cały rozkwita podobny do kwiatu.

„A gdy on smutny wini los i siebie,
„Serca Solima zachwycona biciem,
„Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie!
„Że Solim jeszcze żyje mojém życiem.
„Wśród nocy, w całéj piękności i sile
„Błyszczy, jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwile;
„Lecz skoro pierwsze promienie poranka
„Oświécą niebo w mgły różane strojne,
„Próżno go tuli do łona kochanka,
„On drży i zwraca oczy niespokojne
„I coraz gaśnie i coraz blednieje;
„I tak jak księżyc, kiedy słońce zoczy,
„Blednie i we mgłach topi się i mroczy,
„Tak Solim w mgły się błękitu rozwieje."

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?
Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci...
Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
Upiór mogiły stepów nie porzuci;
Teraz dziewica cienia nie zobaczy,
Napróżno czeka każdego wieczora;
I miała umrzeć w objęciach upiora,
Przezemnie tylko umarła z rozpaczy...

Daléj, wielbłądzie! tak pusto dokoła,
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,

Tylko sęp krąży nad samotną skałą
I głośno bije skrzydłami czarnymi.
Szczęśliwszych nie ma odemnie na ziemi.

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa.
Źródło się kryje pod stopami drzewa,
Patrz, jako liściem miłośnie powiewa;
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.
Lęka się oczu srebrnego księżyca,
Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
Wodom niebieskie odebrała szaty,
I dała swoję barwę, swoje lica:
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.

Stój! stój, wielbłądzie! tę palmę podpalę,
O nie, zasypię źródlane kryształy
I skona palma w piekielnym upale.
Wkrótce z jéj czoła kwiat opadnie biały.
Zostanie sama wśród pustéj krainy,
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
Niech cień uwiędłéj wskazuje godziny,
Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój, wielbłądzie, zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom, śmierć się zbliża;
Czuję do biegu muiéj polotną nogę,
I strzała z mojéj cięciwy mniéj chyża.
Widzę z daleka śmierć posępną, ciemną,
Już się czarnymi skrzydłami nasuwa;
Zasnę... Już widzę, jak wkrótce nademną
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa,
Gdy wicher w stepach posępnie zawyje
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli, że pan żyje,
Że się pod śpiące skrada karawany.
Wielbłądzie! pan twój w innym błądzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o raju.

Nie! nie chcę raju, lecz proszę proroka,
Niech mojéj duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten mych wrogów okryją mogiły;
Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takiém szczęściu serce moje marzy.
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Téj samotności przerwać się nie waży.

1830.

ŻMIJA.

ROMANS POETYCZNY

Z PODAŃ UKRAIŃSKICH

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PIEŚŃ I.

SUMAK.

Piękny to widok Czertomeliku,
Sto wysp przerżnęły Dniepru strumienie,
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie.
A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,
Jakby rusałek cudne ogrody.
Gałązką mącą wodne błękity,
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa.
Dziko Dniepr szumi gdy w jego łonie,
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana,
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła:
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
Co mu przy stopach szumi wezbrana.
A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem,
Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
Cegła koralów świéci kolorem,
Lekkie filary podobne trzcinie;
Kilka ogromnych paszcz samostrzału
Patrzy strzelnicą na Czarne morze:
A górą, zamku okna z kryształu
Świécą się, palą, jak ranne zorze;

I tysiąc barwy w każdym promyku,
Co się z tych okien nazad odkradnie.
W zamku pan mieszka Czertomeliku,
Dumny Ataman, co Siczą władnie;
Lecz czy sam mieszka? Któż to odgadnie.
Nikt nie był w zamku; mówią, że czary
Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
Nadludzką sztuką wzniosła filary;
Lecz kiedy wzniosła? Nikt nie pamięta....

Niejeden rybak wieczorną dobą,
W Czertomeliku płynąc ostrowy,
Słyszał przed sobą, słyszał za sobą
Śpiew słodszy, milszy, niż szum dnieprowy;
A rybak milczał, płynął pomału;
Kiedy wieczorne zorze zapadły,
Widział, jak w zamku okna z kryształu
To się paliły, to znowu bladły;
A z okien blaskiem konały pieśni.
Znów cicho... głucho... a rybak stary
Żegnał się drżący... to czary... czary!
Wszak rybak czuwa? wszak rybak nie śni?

Już to noc trzecia, gdy gasną zorze,
Błyska na zamku ogień jaskrawy;
Ho! to kaganiec, to znak wyprawy,
Popłyną czajki na Czarne morze.
Kozaków obóz zalega brzegi,
Pośród czaharów spisa połyska;
A po nad Dnieprem w długie szeregi
Gęsto strażnicze płoną ogniska.
Tam na mogiłę wstąpił wysoką
Gęślarz i śpiewa pieśni z mogiły;
Jeśli w tych grobach nie śpią głęboko,
Może ich dzikie pieśni zbudziły?
O śpijcie! śpijcie! przeszła wam pora,
I wyście żyli... tu... w Ukrainie,
I wyście żyli... to było wczora!
My dziś żyjemy, czas szybko płynie.
Pocóż tu wracać z licem upiora,

Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?
Jutro na naszym powiedzą grobie:
I wyście żyli! to było wczora.

Płyńmy więc! płyńmy w natolskie grody
Burzyć pałace, rąbać fontanny,
Żelazem niszczyć Turków narody,
I porwać obraz Najświętszéj Panny,
Obraz, co płacze rzewnymi łzami;
A gdy go człowiek w fali zanurzy,
Morze gniewliwe bije falami,
Pieni się, huczy, pryska i burzy,
I póty gniewne podnosi tonie,
Aż wrogów statki w falach pochłonie...

Lecz gdzież jest Hetman? w rannéj godzinie
Wyszedł i w stepach błądzi od rana,
Oto przy brzegu czajka Hetmana
Powiewnym żaglem bieli się w trzcinie.
I w koło gwarzy zgraja zebrana,
Wszak nam na drogę brak na zwierzynię;
Idźmy na łowy! idźmy na łowy!
Lecz gdzież nasz Żmija, Hetman Niżowy?

Ty śpisz, sumaku! ty śpisz, sumaku!
Między błyszczące rosą czahary;
A tutaj strzelce w stepach Budziaku
Otoczą wkrótce knieje i jary.
Sumak nie słyszy! sumak nie słyszy!
Bo milcząc strzelce idą na łowy!
I coraz ciszéj
Między parowy,
Pomiędzy trawy,
Toną i toną;
A zorze płoną,
I świt jaskrawy
Pozłaca niebo na wschodzie.

O! jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w stepowe knieje.

Jak tajemnicza ta chwila nocy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje;
Już dzień na wschodzie, a na północy
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
I wschód się złoci, blednie, czerwieni,
Niebo się mieni;
Gwiazdy w lazurze
Już gasną, gasną;
I polne róże
Powstają z rosy perłami.

I cicho łowce szli manowcami.
Trzymaj, myśliwcze, ptaka na dłoni,
Zakryj mu oczy złotym kapturem;
Niech nastrzępioném nie szumi piórem,
Niech się nie trzepie, w dzwonki nie dzwoni;
Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze sidła
Zwierz się dostanie, wtenczas posłuży.
Sokół się chmurzy,
I ociemniony
Nastrzępił skrzydła,
Wyciągnął szpony,
Ponury, piersi napuszył.

Tam jakiś szelest! czy to zwiérz ruszył?
To nadto wcześnie! to nadto skoro!
O! nie, to lekki chart tam na smyczy,
Niechętny więzom piszczy, skowyczy,
Skarć, łowcze, charta ręką i sforą.
Pierwéj wyśledzić sumaka tropy,
Potém go gończe podniosą głosem,
A potém charty... I chart karcony
Przypadł do stopy;
Okryty wrzosem,
Kwiatem zroszony,
Ciągnie się smutny na sforze.

Wysłać strzelców na rozdroże,
Gdzie się kończy ta dolina,
Tam, kozacy, wielkiém kołem

Stójcie cicho, — a drużyna
Niech tam idzie drogą, dołem,
Niechaj tonie w trawy, zioła,
W téj dolinie sumak leży.
Gdy starszy strzelec zawoła,
Niech służba w trąby uderzy.

Dane rozkazy, i dzikie jary
Otoczył kozak, tonie w czahary.
W krzakach się kryją ponure czoła,
I cicho, jakby ludzi nie było!
Jakby się tylko o łowach śniło!
Wiatr wieje w kniei i szumią zioła,
Zniknęły zbroje, łuki, oszczepy;
Świt płonie ogniem umalowany,
I słońce wstaje nad martwe stepy.
Oblane złotem świtu burzany
Ognistéj barwy kwiatem się palą,
I gną się z wiatrem: fala za falą
Przebiega stepy milczące.

Cicho... Wtém trąby zagrały grzmiące,
I zagrzmiał razem pod niebo wzbity
Z brzękiem surm, kotłów, okrzyk wesoły,
I uwolnione z więzów sokoły
Szybko w powietrza lecą błękity,
Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
I psy spuszczone jęczą i gonią.
Czekają łowce: wśród strasznéj wrzawy
Patrzą na niwy złocone świtem,
I oto śmiga
Sumak zbudzony;
Ledwo kopytem
Dotyka trawy,
Charty wyściga,
I przez zagony
Przed szybką smyczą
Sadzi przez doły;
Gończe skowyczą,
Kraczą sokoły.

I jeden sokół już zleciał nisko,
Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił.
Chart wiatronogi za zwiérzem tropił,
Już go dościgał... już blisko, blisko...
A sumak leci, bojaźnią ślepy,
Leci w zasadzkę, wpadł na oszczepy,
Drgnął tylko, upadł... A tłum wesoły
Znów w trąby dzwoni, znów w kotły bije,
Żeby wystraszyć, co tylko żyje
Pomiędzy trawy. Lecą sokoły,
Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
Ogary znowu jęczą i gonią.
Czekają łowce. — Wśród kwiatów fali
Znów coś mignęło? to sumak nowy?

O nie! to Tatar miga od stali,
Jak wiatr stepowy,
Jak wąż piersiami
Trawy rozcina;
Między kwiatami
Złotem połyska,
I łuk napina,
I strzały ciska,
I rohatyny kolczate miota.
Dziwi kozaków ta zbroja złota,
Musi to jakiś być wódz Tatarów?
Puścić ogary: — jeden z ogarów
Już go dościga, ha! zobaczycie!
Ogar to stary, dobrze się sprawi,
Wskoczy na piersi, i w strasznéj męce
Wydrze mu życie,
Zgniecie, zadławi.
Już go doścignął, rzecz niespodziana!
Skacze na piersi, liże mu ręce,
U stóp się kładzie, wyje, skowyczy:
Wszak to jest ogar, ogar Hetmana!
Pierwszy z ogarów! tak sławny w Siczy!
Nieraz Tatara wytropił w jarze,
A dzisiaj znalazł pana w Tatarze.

Wróciła nazad psiarnia zagnana,
A Tatar leci i trawy łamie.
Patrzcie! i sokół siadł mu na ramię
O dziwy! dziwy! sokół Hetmana!
Siadł na ramieniu, nastrzępia pióra,
Zda się, że skrzydłem nagli go w biegu.
W łowców szeregu
Okrzyk dokoła;
Strzał lekkich chmura
Ściga Tatara;
I jedna w piersi trafia ogara,
Druga pod skrzydło trafia sokoła,
Trzecia Tatara w czoło drasnęła.
Czy krew płynęła? czy łza płynęła?
Nie można wiedzieć; stanął, zakrywa
Oczy zalane czy krwią, czy łzami.
Z piersi ogara obróżę zrywa,
Z szyi sokoła pierścień z dzwonkami;
I znów przez stepy,
Wprost na oszczepy
Leci w zasiane wrogiem parowy.
Tam go wstrzymają? nie, nie wstrzymali!
Daleko zdradne prześcignął łowy,
I zniknął w burzanów fali...

Nie, to nie było senne widziadło,
Bo tam gdzie przebiegł, pośród wądołów,
Bez życia sześciu kozaków padło,
I sześć ogarów — i sześć sokołów.

PIEŚŃ II.

PŁACZKA.

Z tętentem konia leci przez wrzosy,
To pan nasz, Żmija, Hetman na Niżu.
Bielą się wzbite tumany rosy,
Z pod kopyt konia spłoszone wrony
Stadem się zbiły, siadły na krzyżu.
W burzanie miga kołpak czerwony,
Stalowa zbroja miga w burzanie:
„Witaj, Hetmanie! witaj, Hetmanie! ..“

„Zdrowia! drużyno, co słychać w Siczy?
„Czy szumią żagle? czajka gotowa?
„Czy nam złą wróżbą wrona nie krzyczy?
„Czy zawsze nasza fala dnieprowa,
„Tak jak płynęła, płynie do morza?
„Ha! tak? to dobrze... Nim błyśnie zorza,
„Być w pogotowiu... Teraz niech czara
„Zaszumi miodem; pieśń grzmi wesoła...
„Lecz gdzie mój ogar? puścić ogara!
„Gdzie jest mój sokół? puścić sokoła.“

Stróż psów hetmańskich, ptasznik Hetmana,
Dzieci nieletnie, wyszli z drużyny;
Pobladli oba uczuciem winy,
I wyczytali gniew w oczach pana.
Potém rzekł starszy: „Nieszczęsne łowy!
„Na nasze łowy ktoś rzucił czary.
„Gdzie niegdyś leżał sumak stepowy,
„Dzisiaj okryte zbroją Tatary
„Trudzili charty i skrzydła ptaków.
„Od strzał tatarskich sześciu kozaków
„Pośród stepowych padło wądołów,
„I sześć ogarów, i sześć sokołów.
„Tatar ci zabił psa i sokoła.“
„Kłamstwo! to kłamstwo!“ Hetman zawoła,
„Gdy w polach jęczą wasze cięciwy,
„Smycz moja pada a Tatar żywy...
„Umiem wybadać prawdę za mgłami
„Uwitą w słowa krzywoprzysiężne.
„Znacie tę obróż? pierścień z dzwonkami?
„Śmiercią wam biją dzwonki mosiężne.“
Snać, że obróżę charta poznali,
Pieśń śmierci w głosie dzwonków odgadli;
Oba zadrżeli, oba pobladli,
Łza im błękitne oczy krysztali...

„Parę kłamliwą, co razem wzrosła,“
Rzekł srogo Żmija, polecić Bogu,
„Wsadzić do czajki, w czajce bez wiosła,
„Niech z dnieprowego spływają progu.“

Już odszedł Hetman... Powstały gwary,
Skądże wie Żmija o naszych łowach?
Czy mu przynieśli pierścień Tatary?
Czy gdzie ukryty sam był w parowach?
W różnych domysłach zabrzmiały struny.
Jako żórawi nuta wędrowna
Pieśń przez srebrzyste płynie piołuny,
Miesza się z echem, dzika, czarowna,
Bo kiedyż kozak o czarach nie śni?...
Może domysły rozkwitną z pieśni.

POWIEŚĆ KOZACKA.

RUSAŁKA.

I.

Nad mogiłą w mgłach wysoko
Krąży sokół, siadł na krzyżu.
Pod tym grobem śpi głęboko,
Niegdyś Hetman, pan na Niżu.

Jeszcze sława Zaporoża
Jako miesiąc blady, nowy,
Nie przebyła w czajkach morza,
Nie wzleciała nad ostrowy.

Na ostrowach rosły głogi
I samotna róża bladła.
Zapienione skalne progi
Mgliły błękit wód zwierciadła.

Przy Rusałce, wysp Hetmana
Widać było w blask miesiąca.
Jego luba z mgły uwiana,
Z mgły dnieprowéj, zimna, drżąca.

Choć mroziła mglistą dłonią,
Zapalała czarném okiem....
„Luby, rzekła... tam się płonią
„Polne róże nad potokiem,

„Dzwonki barwą lśnią błękitną:
„Uschną dzwonki na pokosach,
„Lecz z różami, gdy przekwitną,
„Rozkwitają w moich włosach.

„Duchem zmarłych na tym świecie
„Żyję, kwitnę jak mogiła.
„Cóż po łąkach? cóż po kwiecie?
„Niechaj uschną, bym ja żyła....“

„Czarna duszo! precz odemnie,
„Już miłości nie ocucę.“
„Wyrzekasz się? lecz daremnie!
„Znów zawołasz, znów powrócę.“

II.

Rusałka się w mgłę rozpływa.
Nocą blady miesiąc świéci,
I po łodziach lśnią łuczywa,
I do Dniepru toną sieci....

Hetman smutny i ponury,
Płynie zwolna łódź Hetmana;
Przed nią postać z mglistéj chmury,
Płomieniami malowana.

Taka piękna, po nad falą,
Gdy się o nią blask roztrąca.
Wpół się ogniem lica palą,
Wpół się srebrzą w blask miesiąca.

W zachwyceniu, nieprzytomnie,
Choć to może duszy zguba,
Hetman wołał: „Chodź tu do mnie!
„Chodź tu do mnie, moja luba!“

III.

Odtąd zawsze, zawsze razem.
Hetman w więzy lgnął widziadła,

Choć jéj dusza zimnym głazem,
Na twarz różne barwy kładła.

Zawsze piękna... z polnych głogów
Róże złote włosy wieńczą
I kradzioną z nad porogów
Mgliste szaty złoci tęczą.

Gdzie zarastał gaj odludny,
Jedném słowem, jednym rankiem
Wzniosła z wyspy zamek cudny,
I obwiodła złotym gankiem....

Z koralowéj zamek cegły.
Wieża druga, trzecia, czwarta,
Na skinienie w niebo biegły:
Lud go nazwał zamkiem *czarta*. [1])

W zamku, jak kładzione kosą,
Powiązała róż szkarłaty;
Brylantami jakby rosą
Poiskrzyła jasne kwiaty.

Hetman patrzał na kobierce,
Okiem blask brylantów ścigał:
Ciągle patrzał, stygło serce,
Dla Rusałki już ostygał...

Ta, choć zimna pod obłokiem,
Zimne serce wnet odgadła;
Szybko, szybko, czarném okiem
Brylantowe blaski kradła;

Kwiaty brała do warkoczy. —
Hetman spojrzał, wzrokiem tonął,
Nad brylanty skrzą jéj oczy!
I znów kochał, i znów płonął,

[1]) Czertomelik.

„Luba! ty masz blask anioła...“
„Więc mi nagródź, jeślim warta?
„Daj sokoła, daj mi charta,
„Zabij charta i sokoła.“

„Czarna duszo, precz odemnie!
„Sercem się z szatanem kłócę.“
„Znów zawołasz? lecz daremnie!
„Przyjdziesz do mnie — ja nie wrócę.“

IV.

Odpłynęła... Hetman kroczy
Zamyślony po komnatach...
„Co! nie wróci?... a jéj oczy
Takie cudne, włosy w kwiatach...“

Myślał... Z oczu łzy ogromne
Po niemęskiéj płyną twarzy.
Rzekł do siebie: „Już nie wspomnę!“
Nie wspomina, ale marzy...

„Nad zamglone chmur błękity
Oto niesiąc już się płoni;
Już mój sokół, chart zabity,
A jéj nie ma?... pójdę do niéj...“

Jakże miłe tchnienie wiosny!
I woń fali świeża, chłodna!
Nad porogiem czarne sosny
Szronem bieli mgła nadwodna.

Pod skałami ciągłe burze
Łamią w falach blask księżyca,
Nad falami w mglistéj chmurze,
W blasku srebrnych tęcz dziewica.

Przy jéj stopach chart bladawy,
Niespokojny i ponury,
Na ramieniu sokół mgławy,
Nastrzępiony, patrzy w chmury.

„Jakżeś piękna! Hetman woła,
„Któż ci może ujść bezkarny?
„Chodź tu, luba, spłosz sokoła,
„Chart niech leci gonić sarny.

„Tu pod moich ust płomieniem
„Twe się blade mgły rozpłonią.
„Jak tu miło! pod sosn cieniem!“
Prosi, błaga, okiem, dłonią.

Lecz dłoń jego, ciężka wina!
Czy przypadkiem, czy po myśli,
Na krzyż srebrną mgłę rozcina,
Znak zbawienia święty kréśli.

Przed krzyżem się mgły rozpierzchły
Jak złamane wód błękity;
I Rusałki rysy zmierzchły,
Obraz zniknął w mgłach rozbity...

V.

Znikła... słychać tylko burze
W głębi Dniepru, i szum piasków.
Lecz mgła spływa, spływa w chmurze
Zabłąkanych kilka blasków.

I rozbite mgły zwierciadła
Wiatr przybliża, zmniejsza, zmniejsza;
Lśni Rusałka, lecz pobladła,
I pobladła, i smutniejsza...

Potém rzekła: „O mój miły,
„Żegnam ciebie, ginę, ginę.
„Jak mnie z wiatrem mgły rozbiły,
„Tak w uściskach się rozpłynę.

„Prosisz, błagasz nadaremno,
„Próżno czekasz na téj skale;
„Lecz chodź zemną! lecz chodź zemną!
„Droga do mnie przez te fale.

„Mgły tu zimne ale jasne;
„Gdy i ciebie mgła okryje,
„Patrz, mój luby, teraz gasnę,
„W twych uściskach znów ożyję.

„Sokół żywy, chart twój żywy.
„Z tobą razem jak z sokołem
„Pójdę błądzić nad te niwy,
„Nad dymiących chat padołem.

„Pójdę z tobą, tak w mgłę ciemną
„Osłoniona jak w krysztale.
„O chodź zemną! o chodź zemną!
„Droga do mnie przez te fale.“

Hetman kochał, obłąkany,
Hetman kochał, ogniem płonął;
Z progu spojrzał w Dniepru piany,
Padł do fali, i zatonął...

Gdy go skryły burz odmęty,
Potrzaskały w proch granity;
Duszę zbawił obraz święty,
Krzyż na piersiach miał wyryty.

Od grzechowéj zmazy czysty,
Już ulata w nieba stropy;
Za nim wzleciał sokół mglisty,
Chart Rusałki rzucił stopy,

A Rusałka, nad ostrowy
Sama jedna... we łzach woła:
„Kiedyż! kiedyż Hetman nowy
„Da mi serce, psa, sokoła.“

Pieśń kona z echem... i wnet jałowe,
Dzikie domysły urosły w gminie:
Więc Hetman kocha fali królowę?
Na oślep leci w przepaść i ginie.

Zawsze samotny... zawsze nie z nami;
Gdzieś na cmentarzach, nad mogiłami....

Ciszéj!... tam zachód krwawy, ponury,
Ozłocił stepy, jary i chmury,
Zagasa słońce... słychać, jak zdala
O brzegi bije spieniona fala.
Ciszéj!... tu smutne mogił wybrzeże.
Oto ostatnie zachodu blaski
Złocą wichrami burzone piaski,
Złocą trzy cerkwi posępne wieże,
Co nad brzeg Dniepru wybiegły stromy.
I tysiąc grobów, gdzie przez wyłomy
Posępne trumien wieka świéciły.
O! dzika Siczy! twoje mogiły
Z piasku uwiane... a grób tak kruchy,
Gdy pod przechodnia zapadnie nogą:
Potém w mgłach srebrnych płynące duchy
Wczorajszych mogił znaleść nie mogą.

Tam białą postać słońce oświéca.
Łatwo z wybladłéj odgadnąć twarzy,
Że to posępna mogił dziewica,
Że to siczowych płaczka wyspiarzy.
Stała na wieku spróchniałéj truny,
A wiatr jéj czarne unosił włosy,
I wzruszał wianku srebrne piołuny,
I róże wianku, lśniące od rosy.
Mówią, że niegdyś płaczka ta miała
Czoło wesołe, lica różane;
Lecz przymuszona płakać, płakała...
I dzisiaj zmysły ma obłąkane
Zmyślonym płaczem..- i we łzach oczy.

To Hetman Żmija na cmentarz kroczy;
Stanął na grobie, rzekł: „Witaj. Kseni!
„Witaj, o sławna płaczko pogrzebu!
„Ty nas modlitwą polecasz niebu;
„Przez ciebie pieśnią w grobie uśpieni,
„Sen mamy cichy, gdy zbroja rdzawa

„Zimną się rosą ziemi napawa.
„Straciłem dzisiaj ptaka i charta,
„Wierni mi byli... i tém boleśniéj;
„Jeżeli zgraja twych pieni warta,
„Chart mój i sokół wart także pieśni;
„Śpiewaj nad nimi.“ — „Bluźnisz, mój miły!
„A ja do takich próśb się nie zniżę.
„Czujesz to zimne tchnienie mogiły,
„Słyszysz! jak skrzypią spróchniałe krzyże,
„Jak z dzikim wrzaskiem rybitwa biała
„Po nad błękitną falą się wiesza;
„Pieśń moja smutna, gdybym śpiewała,
„Wszystkie te dzikie głosy pomięsza.
„Ciszéj!“ Lecz Hetman nie słuchał mowy,
Wzrok miał ponury.... Pomiędzy trzciny
Lśni Dniepru fala i próg dnieprowy.
Wśród skał posępnych fale się zwarły,
Na skałach dzikie rosły kaliny,
I mech czerwony i sosny karły.
Na progi czajka z falami leci
I już zawisła po nad urwiska,
A w czajce dwoje płynęło dzieci.
Łódka z pianami w głazy się wciska
A pod nią otchłań pieni się, burzy.
Te dzieci połkną dnieprowe fale...
Młodsze chwyciło za kwiecie róży,
Co się po nagiéj zwieszała skale,
I padło w przepaść z gałązką kwiatu.
Starsze po sosnach pnie się na głazy,
Napróżno ręce podaje bratu,
Słyszy huk fali i obłąkane
Mając na ustach modlitw wyrazy,
Rzuca się z krzykiem w przepaść i pianę...

I nic nie wyszło z fal tajemnicy,
Nic z głębokiego serca Hetmana;
Dłoń swoję oddał w ręce dziewicy,
Ta zachmurzona i pomięszana
Wiodła go w cerkiew... W cerkwi tak ciemno!
Posrebrza szyby księżyc na nowiu;

Serce przenika trwogą tajemną
Szyba brzęcząca w ramach z ołowiu;
I przez otwarte dachu szczeliny
Wglądały z kwiatem drżące kaliny.
„Kseni, rzekł Hetman, co to się znaczy?
„Słyszę jęk smutny i płacze rzewne:
„Czy to jest nocne pienie puhaczy?
„Czy ty chorągwie wzruszasz cerkiewne,
„Że się bez wiatru smutnie kołyszą?“

„Luby! chorągwie spokojnie wiszą,
„Może je wzrusza tchnienie mogiły.
„Czego się lękasz? czego? mój miły!
„Chodź za mną.“ Zdjęła lampę z ołtarza,
Weszli w podziemnych lochów zakręty.
O! jak tu głucha cisza przeraża,
Tu połamane Turków okręty;
W spróchniałych deskach, w zbroje przybrani
Leżą do koła śpiący hetmani.
A jako kazał obyczaj grecki,
Każdy miał w ręku święte obrazy,
Na nich tajemne modlitw wyrazy,
Usta przymknięte, w nich piastr turecki.
Kseni do małéj zbliża się truny;
I strasznie drżała ręka dziewicy,
Gdy podnosiła czarne całuny,
Splamione gęsto łzami gromnicy.
O nieba! dziécię pod całunami
Piękne i żywe... Kseni pobladła,
I przed hetmanem zalana łzami
Klasnęła w dłonie, do nóg upadła.
„Mój luby! rzekła, to dziécię, dziécię!
„Teraz się w ciemnych grobach ukrywa.
„Luby, niech pop nas połączy skrycie,
„Pop moim ojcem... Ja nieszczęśliwa!
„Łzy moje płyną na wzgardę światu.
„Gdy plotę z polnéj róży zawoje,
„Wnet drżące liście padają z kwiatu.
„Wszystko usycha, wszystko, co moje.
„Świat mi szyderczym śmiechem przygania.

„Zlituj się, luby...“ Lecz próżne słowa,
Już wyszedł Hetman... śmiech obłąkania
Połknęła w ziemi cisza grobowa.

PIEŚŃ III.

POŻARY.

Pieśń odpływających.

I.

Ho! daleko Czarne morze,
Gdzie się czajki kąpią w pianach.
Palmy zamki na Bosforze,
Jako trzciny na limanach.
Piękny to pożar łąk, oczeretów,
Lecz jakże płonie wspaniale
Wielki las masztów, las minaretów.
Szumcie czajki! szumcie fale!
Ho! kozak panem
Błękitnéj fali.
Urra ho! daléj! urra ho! daléj!
Z naszym Hetmanem.
Urra ho! daléj!

II.

Nasza czajka szybka, zwrotna,
Choć nie błyszczy w malowidłach;
Jak jaskółka czarna, lotna,
Na sitowia leci skrzydłach:
Pięćdziesiąt wioseł w biegu ją nagli,
Dla Turków niesie podarek:
Dwa dział ze spiżu i sto janczarek,
Z szumem wioseł, z szumem żagli.
Ho! kozak panem
i t. d.

III.

Lećcie z nami, morskie wrony,
Gdzie południa świéci gwiazda;
Lećcie z nami, wam na gniazda
Damy turban zakrwawiony.

Za nami, wrony! za czajek śladem!
Dla was, co pożar ocali,
Łachmany żaglów, zaszumcie stadem,
Z szumem wioseł, z szumem fali.
Ho! kozak panem
i t. d.

IV.

Jak wesoło czajki płyną;
Piękny widok przy pogodzie,
Gdy chorągwie się rozwiną,
Gdy obwieją nasze łodzie...
Mijamy cmentarz, nasze mogiły,
A tam nas żaden nie słyszy?
Sen ich szanujmy, sen słodki, miły,
Żagle ciszéj! wiosła ciszéj!
Ho! kozak panem
i t. d.

V.

Zmarłych uśpi blask miesiąca
I szum brzozy, pieśń ołtarzy;
Równie smutna, dzika, drżąca,
Jak zbłąkanych pieśń wioślarzy...
Chaty, mogiły znikają nagle.
Zaszumcie! zaszumcie wiosła!
Bogdaj nas do nich fala odniosła.
Szumcie czajki, szumcie żagle.
Ho! kozak panem
i t. d.

VI.

Pieśń dziś smutna, czajka pusta,
Lecz powrócą pełne łodzie.
Tym, co zginą, włożym w usta
Piastr wybity w Carogrodzie.
Pacierze za nich a potém wina,
Wina w weneckim krysztale:
Za pamięć druhów pije drużyna.

Szumcie czajki, szumcie fale.
Ho! kozak panem
Błękitnéj fali ..
Urra ho! daléj! urra ho! daléj!
Z naszym Hetmanem
Urra ho! daléj...

Tak dziką pieśnią, przy wioseł pracy,
Chaty żegnali, a przed chatami
Na brzegu stali tłumem rybacy,
Starce siczowi zalani łzami.
Jeszcze niekiedy nuta wędrowna
Od zabłąkanych powraca czajek...
O! pieśni dzika, pieśni czarowna,
Zmięszana z dźwiękiem wioseł i grajek,
Upływaj z echem, jak upłynęła
Młodość... tak rybak marzy i wzdycha,
Wrócił ponury, milczał — sieć cicha
W błękitne fale Dniepru tonęła.

Niech wolniéj pieśń płynie — na moim torbanie
Strun braknie... Któż wyda kozackie pożogi,
Huk ognia, trzask domów, co lecą w otchłanie?
Rwę struny torbanu i ręka drży z trwogi.
Spiewając, sam jestem jak Turek wybladły,
Choć widzę ogniska płonące po chatach;
Zatrważa mię każdy liść z drzewa opadły
I szelest sumaka, co śmiga po kwiatach...

Jak ciche, błękitne przystanie Synopy.
W około na palach podnosi się szaniec,
A fala błękitna konała u stopy
Latarni portowéj, gdzie w nocy kaganiec
Oświécał dalekie błękitu odmęty.
Dla kupca, dla majtka, to widok jedyny,
Te mnogie przy groblach uśpione okręty,
Gdzie siatkom podobne krzyżują się liny,
I bielą się żagle — ze strzelnic galery
Wygląda blask spiżu, gdzie drzémie grom bitwy,
Na masztach różnego koloru bandery,

Tak lekkie, krajane jak skrzydła rybitwy.
Gdy niebo i morze nie łączą się mgłami,
Ciekawe wejrzenie z wież puszcza się szczytu,
I ściga okręty z białymi żaglami,
Co zdają się płynąć do nieba błękitu.

Dziś tłumem się grobla napełnia portowa,
I fala spieniona od huku zadrżała.
Poznali huk Turcy — to mnogie grzmią działa:
Lecz w której to stronie? Od stron Oczakowa.
To może znać dają galery Sułtana,
Ażeby strzec portów od hord Zaporoża.
Ha! cóż nam te czajki? nam trwoga nieznana,
Sam huk je dział naszych zatopi do morza.
Tak Turcy mówili... Lecz kiedy po fali
Noc ciemna posępne rozciąga całuny,
Na czarnych niebiosach błysnęły dwie łuny:
To płonie Białogród — Trebizont się pali.
Noc była ponura, a łuna szeroka
Pozłaca księżyce i szczyt minaretów.
Otwarto żelazne podwoje meczetów,
Przy lampach lud wzywa modlitwą proroka;
A potém, ufając w przeznaczeń wyroki,
Skończywszy modlitwy, lud wrócił do domów.
I wszystkich w haremach sen ujął głęboki...
Obudzą się może wśród ognia i gromów.

Gdy Ulem meczetu zamykał podwoje,
Nie postrzegł zapewne, lampami olśniony,
Że Turek posępny ubrany we zbroje
Stał między filary jak gdyby uśpiony,
I ani się ocknął — choć słyszał ponury
Jęk rdzawych zawiasów i ryglów łoskoty,
I widział po ścianach, jak łuny blask złoty
Oświécał żyłami krwawione m[illegible]

W haremie nie widać, że niebo się pali,
Bo mury wysokie, krzew gęsty i drzewa.
Dziewice w złocistéj zebrały się sali,
Gdzie płoną pochodnie, róż tchnienie przewiewa.

Jak szczere tam śmiechy! jak miłe zabawy!
Bo Basza daleko, na czterech fregatach
Na Czarne gdzieś morze przedsięwziął wyprawy.
Eunuchy w odległych usnęli komnatach.

Dziewice obsiadły sadzawki, gdzie z głazu
Tryskają fontanny, lamp ogniem iskrzone.
Z westchnieniem widomém przez gazy zasłonę
Słuchają miłosnych gazalów Szirazu.
Ta żądzy tajemnéj kraszona rumieńcem,
Choć przyszłość zna swoję, a jednak ciekawa,
Dziecinnie się śmieje, gdy w dłoni jéj trawa,
Węzłami spojona, rozwija się wieńcem.
Ta smutna, kwiat róży po listku obrywa,
Liść każdy opadły ma tajne znaczenie,
Ostatni liść róży jéj przyszłość odkrywa;
Zerwała ostatni i słychać westchnienie;
I długo dumała nad kwiatem opadłym
Ze łzami na twarzy i z czołem pobladłém.
Ta kwiaty obrywa, ta patrzy, jak kwitną;
Ta chroniąc płeć dłoni od wiosny upału,
Podrzuca na dłoni dwie kule z kryształu,
Lub płoszy wachlarzem mgłę kadzidł błękitną.

Zulema, szukając zaciszy i chłodu,
Usiadła samotna na złotém węzgłowiu
I okno otwarła na kwiaty ogrodu.
Noc była tak ciemna, bo księżyc na nowiu.
Cieniami pokryte fontanny i drzewa;
I tylko przez okna barwione i kraty
Od sali się światło złociste wylewa
[illegible] pod oknem z kwiatami granaty.
[illegible]nebo zamglone patrzała dziewica,
[illegible] myśl jéj igrała z ciemnością i mgłami.
Czy sen to? [illegible] blasku niepewnym księżyca
Widziała [illegible]między drzewami;
Na szczycie z ołowiu, jak światło poranku
Mignęły płomienie niepewne jak zorze.
Ukazał się rycerz na wieży krużganku,
W turbanie na głowie, w tureckim ubiorze.

Spojrzała dziewica, westchnęła boleśnie
I oczy odwraca, zapomnieć by chciała,
Bo tego rycerza widziała gdzieś we śnie.
Znów patrzy — o nieba! tatarska to strzała,
Puszczona pod chmury ze skrzydłem płomiennem,
Wróciła na wieżę i zgasła na szczycie.
To może w jéj oku zroszoném i sennem
Lśni gwiazda przelotna po niebios błękicie?

Lecz skądże się nagle szczyt nieba rumieni?
W około płomienne rozlały się blaski,
I słychać zdaleka trzask głuchy płomieni,
I słychać jęk ludu, gwar dziki i wrzaski,
I straszny szczęk broni i grzmienie janczarek.
Na wieży krużganku znów nowe zjawiska:
Od króla polskiego kosztowny podarek,
Złocona chorągiew hetmańska połyska.
Gdy miasto w płomieni okryło się wianku,
Chorągiew dla Turków — to całun grobowy;
A przy niéj stał kozak na wieży krużganku,
Żelazem błyszczący od stóp aż do głowy.

W światłości czerwonéj haremu ogrody;
Odkryły się kręte gaików zarysy,
I ciche kanałów złociły się wody,
Po wodach cień smutne rzucały cyprysy;
Fontanny, jak ze snu zbudzone pożarem,
Tryskają pod niebo złotymi słupami.
Wieść straszna, wieść śmierci przebiega przez harem.
Rzezańce, wzruszeni rozpaczą i łzami,
Prowadzą dziewice po jasnym ogrodzie
Nad kanał w około drzewami zarosły;
Tam róże haremu usiadły na łodzie,
A wiosła je szybko od brzegu odniosły.

Czy mamże powiadać, jak [illegible]ka w haremy
Przez kraty skruszone na kanał wybiegła?
I krzyki żon Baszy — i radość Zulemy,
Gdy z wieży rycerza przed sobą spostrzegła.
Ta postać, wpół żaglem na czajce owiana,

Znajoma Zulemie... Nie zdradzę tu w pieniach
Tajemnic ukrytych w nieśmiałych westchnieniach,
I w oczach Zulemy i w oczach Hetmana.
. . . . . .

„Skorzéj, żeglarze! skorzéj! czas nagli,
„Księżyc jaśniejszy i dłuższa zorza.
„Może nam wicher uciec z pod żagli,
„Może nas cisza przykuć do morza;
„A ciężko będzie po martwéj fali
„Tłuc się wiosłami i bladnąć z głodu?

„Cóż to za gwiazda we mgle się pali?
„Ho! to latarnia z wież Carogrodu.
„Daléj za światłem! daléj! i daléj!
„Jak trzaj magowie za gwiazdą wschodu,
„Jak trzaj magowie za gwiazdy lotem,
„Lećmy po złoto, choć nie ze złotem.

„Ho! ho! ostrożnie. Czajka na czatach
„Niech daje baczność, zdala i zbliska...
„Szczęśliwi oni w rodzinnych chatach,
„Wieczorne teraz palą ogniska;
„Pełne ryb sieci i piwa dzbany,
„I pies ich nawet w chacie spoczywa;
„A tu na morzu kozak zbłąkany,
„Gdy się przez czajkę fala przeléwa,
„Jak morska wrona, ze srebrnéj piany
„Otrząsa skrzydła, na wierzch wypływa;
„Byleby w fali znalazł dolara,
„Lub piastr turecki... Ho! baczność, wiara!

„Lecz my szczęśliwsi niż oni w chatach,
„Gdy nas obwieją dymem pożary;
„Miło w tureckich błądzić komnatach,
„I pić, i złote chować puhary;
„Lub leżeć w siatce, gdy kołysana
„Lekko się waha, buja na maszcie;
„I patrzeć w niebo i drwić z Sułtana.

„A teraz, bracia, dobrze rozważcie;
„Oto zdaleka wieża drewniana,
„Czy ją zapalić? czy zrównać z piaskiem?
„Oto na wieży latarnia miga,
„I brylantowym pali się blaskiem.
„Niech moja czajka brzegu dościga,
„Ja sam pod zręby ogień podłożę.
„Lecz jeszcze okiem rzucę na morze;
„Jak cudny widok?... Tu czajek dwieście,
„Które noc kryje i groźna strzeże.
„Zdala rząd świateł, Pera przedmieście,
„Daléj Sofijskie złocone wieże;
„Ledwo ich blade widać zarysy
„Na ciemném niebie... Tam krzew żałoby,
„Tureckich grobów widać cyprysy.
„I w nocy nawet czernią się groby.
„I gwar daleki i morza szumy,
„I myśl o wschodnich roi straszydłach:
„Zda się, że widzę, jak widmo Dżumy
„Płynie nad miastem na czarnych skrzydłach.

Już zniknął Hetman — czas szybko bieży...
Cicho i głucho, słychać jęk dziki...
To pewno strażnik skonał?... Na wieży
Błękitne siarki widać płomyki,
I nagle światło na morze pada;
Krwawo się czarna fala rumieni,
I twarz miesiąca zagasa blada.
Słychać huk ognia i trzask płomieni,
I ożywione jak malowidłem
Dalekie miasto z minaretami
Z cieniów wypływa — a tu chmurami
W dymach pożaru zbudzone wrony
Niekiedy białém migają skrzydłem.
Słychać pisk ptactwa — ogień szalony
Wzmaga się, rośnie. Ogniem owiana,
Straszniejsza niźli widmo pomoru,
Niźli pochodnia w gmachach szatana,
Świéci kozakom wieża Bosforu.

„A teraz, druhy — hej do zabawy!
„Daléj! w przedmieścia, gdzie Grek zdradziecki,
„Gdzie kryje złoto kupiec wenecki;
„Lecz pamiętajcie, gdy świt jaskrawy
„Pozłoci niebo, wrócić do łodzi
„I przynieść wiele złota z wyprawy;
„Będziemy piastry mierzyć na garce.
„Lecz jeśli kogo szatan uwodzi,
„Jeśli się z łupu nie wyspowiada,
„Niechaj pamięta, w Żmii janczarce
„Pięć kul się kryje, biada mu! biada!“

Już świta — świta... Ognie pożarów
Gasły przed słońcem, a wschód był krwawy.
Patrzcie! pod miastem chmura kurzawy,
Czy to się zbliża rota janczarów?
Migają zbroje... Zasiąść na ławy,
I szyję harmat zwrócić do wałów;
Jeśli się zbliżą? wnet stem wystrzałów
Przywitać Spachów... Nie będzie boju...
Biała chorągiew błysnęła w tłumie,
Posłowie niosą słowa pokoju:
Oto kadzidło hetmańskiéj dumie...
Słyszę ich trąby i rozstrojony
Dźwięk surm tureckich, dziki i huczny;
A w tłumie miga kolor zielony:
To jakiś Emir, Basza buńczuczny.
Koń jego szybki jak błyskawica...
„Cóż tam, Emirze, od twego pana?“
Emir pozdrowił nisko Hetmana
I rzekł... „Syn słońca a brat księżyca...“
„Ho! przerwał Hetman, wasz Sułtan stary
„Jak brat księżyca zbladł przed pożarem.
„Jeśli cię z jakim przysyła darem,
„Chętnie przyjmiemy Sułtana dary;
„Lecz póki jestem w brzegach Bosforu,
„Póki mam silne prawo zdobyczy,
„W darach mieć mogę prawo wyboru.

„Pierwsza jest cerkiew... Dla cerkwi w Siczy
„Żądam obrazu... Między ikony

„Jest w Carogrodzie obraz święcony,
„Obraz, co płacze rzewnymi łzami;
„A gdy go człowiek w morzu zanurzy,
„Morze gniewliwe bije falami,
„Pieni się, huczy, pryska i burzy,
„I póty gniewne podnosi tonie,
„Aż pogan statki w falach pochłonie.
„Lecz to dla popa — słuchaj, Emirze!
„Niech sobie mnichy walczą cudami;
„Póki mam szablę i czajki chyże,
„I zamek w Siczy, król nad zamkami,
„Póki mam tysiąc raźnego chłopa,
„Co po obrazie?... Obraz dla popa.“

„Słuchaj, Emirze! dla méj drużyny
„Złota potrzeba cudnego blasku!
„Nie rodzą kruszców nasze krainy,
„Dniepr się nie toczy po złotym piasku;
„Gdyśmy go cały orali flotą,
„Pytając? Dnieprze, ma twoje łoże
„Złoto?... On czajki wyniósł na morze,
„Aż pod Carogród, — rzekł: tam jest złoto.
„Tu pięć tysięcy jest młodzi z Siczy,
„A więc syn słońca, pan twój łaskawy,
„Da pięć tysięcy piastrów odprawy;
„Dla mnie?... jednego niech nie doliczy.“

„Emirze! teraz dar dla Hetmana,
„Nie piastr turecki, nie malowidło...
„Widziałem pyszny pałac Sułtana,
„Gdzie się on kryje blady ze strachu.
„Każcie rozrzucić pałacu skrzydło,
„A każdy kozak gruz weźmie z gmachu,
„Z kamieniem w pola Siczy powróci,
„Jak skarb przechowa na dnie skarbnicy;
„Potém ten kamień na grób mi rzuci,
„Wstanie mogiła, pod tą mogiłą
„Głucho śpiącemu będzie się śniło,
„Że w czajce grożę waszéj stolicy.“

PIEŚŃ IV.

CZAJKI.

Kozacy wygnani nad Donu brzegami,
Gdy Dniepr opuszczali, pieśń smutna i szczytna
Z rozpaczy wyrazem, zmięszana ze łzami,
Na głowę carycy przekleństwa miotała.
O falo błękitna! o falo błękitna!
Tyś czajki nosiła... tyś łzy te widziała....
. . . . . .

„Zda się, że słońce piękniejsze świta,
„Gdy do powrotu czajka zwrócona,
„Miła téj fali barwa zielona,
„Czajkami w srebrną pianę rozbita.
„Jak się te nurki spokojnie pławią,
„Pod słońca blaskiem skrzydły trzepocą.
„Lecz kto wie, druhy, może przed nocą
Srebrne się morza fale zakrwawią?...

„Ha! zgadłem, bracia... tam na obłoku
„Turecki żagiel z wiatrem ucieka.
„Zaczęte łowy! mieć go na oku,
„Lecz się nie zbliżać,... zawsze z daleka.
„Niech żadne wiosło czajki nie nagli,
„W dzień się nie zbliżać, nie stawić czoła,
„Galery mają oczy sokoła,
„Zaraz dostrzegą.... Zwinąć pół żagli....

„A przed obrazem Bogarodzicy,
„Co burzy morze i czajek strzeże;
„Zapalić świécę... a przy téj świécy
„Niech pop odmawia głośno pacierze.
„Gdy wydam rozkaz... za mym rozkazem
„Wziąć pośród siebie czajkę z obrazem,
„Lecz niech się teraz pop nie przysłuży,
„Niechaj obrazem morza nie burzy,
„Niechaj się modli... innéj usługi
„Teraz nie żądam... Jakże dzień długi!...

„Ho! ho! szalony ten sułtan stary,
„Budować takie wielkie galary,
„Co trzykroć tyle nabiorą wody,
„Niż nasza czajka; za to z czajkami
„Tureckim statkom nie iść w zawody:
„Gdy pełnym żaglem płyną za nami,
„My na mielizny... często w pogoni
„Okręt ich pryśnie o piasków ławy,
„I tak jak szklanny puhar zadzwoni...

„Widzicie, druhy, jak zachód krwawy,
„To wiatr nam wróży... korzystać trzeba.
„Więc nieco białych żagli rozwinąć
„I robić wiosłem... ku słońcu płynąć.
„Postawić czajki w płomieniach nieba,
„Tak, aby słońce było za nami...
„Ze zwiniętymi teraz żaglami
„Utonąć w blasku... pod tą opieką
„Nas nie wyśledzi ów upior smoczy,
„Co ma z kryształu stokrotne oczy,
„Tymi oczyma sięga daleko...

„Dzięki Ci, Boże! oto do końca
„Dzień nachylony blado się pali,
„Oto nad falą widać pół słońca,
„A pół do ciemnéj kryje się fali,
„I na świat rzuca odbłysk ponury...
„Już się nad słońce fala podniosła,
„Po niebie krwawe snują się chmury,
„Teraz do żagli! teraz do wiosła!...“

Okrzyk stokrotny
Bije o chmury;
I żagiel lotny,
Jak skrzydło ptaka,
Białymi pióry
Czajkę kozaka
Niesie... Ta drżąca
Wygina szyję,
Kąpie się w wodzie,

Fale roztrąca;
I kozak żyje,
I czajka żywa.
Już lecą... Blady na wschodzie
Z za chmury księżyc wypływa....

„Ho! dobra wróżba — galera Baszy.
„Lubię mieć sprawę z Baszy galerą,
„Znam tę banderę, a nad banderą
„Buńczuk, co płoche jaskółki straszy.
„Widzę przy ogniach tureckie twarze,
„Zdają się blade... Czekać w pobliżu,
„Aż nam galera boki ukaże,
„Aż na nas spojrzy okiem ze spiżu.“

Galera okropną cichością owiana,
Jak widmo posępne, jak pałac zaklęty,
Choć wiosło nie szumi choć żagiel zwinięty:
Bez ludzkiéj pomocy, czarami szatana
Odwraca pierś złotém ozdobną straszydłem,
I boki jéj księżyc bladawy oświéca.
Trzydzieści paszcz widać przy blasku księżyca,
Skąd wkrótce ognistém wyleci zgon skrzydłem...

„Druhy! do wioseł! już dają znaki,
„Ażeby iskrą podrażnić działa;
„Lecz my pierzchniemy stadem jak szpaki,
„Próżno nas będzie kula szukała,
„Daléj! do wioseł!...“ I mnogie wiosła
Wnet zaszumiały.
Czajkę zbłąkaną
Fala rozniosła.
I żagiel biały,
Z białawą pianą
Zmięszany, zniknął na morzu...

I rzekłbyś, że fala te czajki pożarła?
Że kozak grób znalazł w błękitnych fal łożu?
I cichość posępna i cichość umarła
Okryła na chwilę błękity odmętu.

Lecz iskrą galery zbudzone już działo
Wzruszyło sen głuchy, błysk widać z okrętu,
I dział trzydzieści zagrzmiało.

Dym czarny chmurą na morzu drzémie,
I okręt zabrzmiał szatańskim śmiechem;
Lecz nim śmiech skonał z trzykrotném echem,
Czajki stadami błysnęły w dymie.
Pobledli Turcy... Oto kozaki
Na pierś okrętu rzucają haki,
Drą się na pokład. Nad pogan karki
Widać wzniesiony miecz Atamana,
I nad turbany pióro Hetmana,
I atamańskiéj odgłos janczarki.
Wśród damasceńskich krzywych pałaszy,
Miece się Żmija okropnym bojem;
Gdzie walczył Basza, syn młody Baszy
Na wpół makowym spity napojem.

„Ojcze!“ do Baszy rzekł Selim młody.
„Giniemy, pozbądź niewczesnéj dumy.
„Łódź okrętową spuścić do wody;
„Gdy ja sam wrogów zatrzymam tłumy
„Uciekaj, ojcze!“ — Na środek skoczył,
I pośród tłumu swój turban biały
Błyskiem krzywego miecza otoczył.
Jęk na pokładzie, janczarki grzmiały.
Pośród pałaszy w błysku i dymie
Hetman młodego spotkał Selima;
I dwa się miecze starły olbrzymie.
Żmija miecz wroga na mieczu trzyma,
A drugą dłonią z janczarki błysnął,
Strzelił pod maszty, i płomień nagle
Szybkim poskokiem wpłynął na żagle,
Aż na banderze złotéj zawisnął:
I maszt sosnowy zajął się z trzaskiem...

„Byłaby walka w cieniach schowana,
„Trzeba ją takim oświécić blaskiem...
„Oto pochodnia błyszczy Hetmana.“
Z trzaskiem pożaru znów szczęk oręża

Słychać, i dźwięki hartownéj zbroi.
Miecz straszny Żmii jak żądło węża
Krwi wroga szuka i krwią się poi.
Koszula Żmii utkana w druty,
Hartowna wprawdzie na próbę kuli,
Lecz miecz Selima w Damaszku kuty
Przedarł druciane węzły koszuli.
Krew popłynęła aż na kobierce,
Co okrywały Baszy okręty.
Żmija się zemścił — ugodził w serce,
Schylił się Selim jak kwiat podcięty,
Upadł na pokład ze chrzęstem stali;
Padając, okiem rzucił po fali,
Przez fale płynie łódź okrętowa,
Tam jego ojciec. — Selima głowa
Spadła na piersi ..

Czajka wesoła
Znów śliską piersią roztrąca piany,
I na błękitne wpływa limany;
Nad limanami z ołowiu czoła
Wież Oczakowa widać wysoko;
A wież turecka załoga strzeże.
Dostrzegło czajek pogańskie oko,
I wiankiem ognia błysnęły wieże;
Dym widać srebrny, huk słychać głuchy.
Lecz czajki ciche, ciche jak duchy,
Gdy wiatrem wzdęta żagli pierś biała,
Płyną wstecz Dniepru daléj! i daléj
Znów z wież tureckich zagrzmiały działa,
Lecz huk bezsilny skonał na fali.

Jak cudnie błyszczą czajek szeregi,
Słońce pozłaca barwy orszaku;
Jak cudnie błyszczą dnieprowe brzegi,
Kwiat oczeretów szkarłatem świéci.
Niekiedy w ciszy Tatar Budziaku
Mignie na koniu, jak wiatr przeleci;
Lub w oczeretu kwiatach ukryty,
Patrzy na czajki, na fal błękity.

PIEŚŃ POWROTU.

Czajki! czajki! Sicz przed nami!
Oto brzegi Zaporoża!
A daleko, za czajkami,
Już pożarów gaśnie zorza;
I wśród morza,
Między mgłami
Płonie wielka masztów sosna,
Siła żaglów spadła.

Gdy nam błyśnie nowa wiosna,
Znowu zadrży dzicz wybladła,
Znowu zagrzmi śpiew janczarek;
Lecz w tym roku dość zachodu,
My do miodu!
Z brzękiem czarek
Pijmy w naszej Ukrainie
Miód nasz przepalony.

Gzieśmy byli, kto popłynie?
Za trupami chyba wrony,
Wrony czajek przyjaciółki,
Co śmierć kraczą Asawule;
Kiedy kule
Jak jaskółki
Nad czajkami, po przestworzu
Lecą chmurą czarną.

My kozacy siejem w morzu.
Gdy się z wiosną plony zgarną,
Pełnym workiem piastry świécą
Podłe, jako liść zżółkniały;
Jak wleciały,
Tak wylecą.
Przez pół roka pan dostatni,
Kozak Wojewodą.

A gdy wyjdzie piastr ostatni,
Znów z Kijowa Dniepru wodą
Do chat naszych. — Kozak śpiéwa,

A gdy nędze zakłopocą,
W łodziach nocą
Lśnią łuczywa;
I do ciemnéj Dniepru wody
Cicho sieci toną.

Miło błądzić, gdzie ogrody
Wschodnich Baszów, kędy płoną
Złota blaskiem jabłka duże;
Lecz się miléj schylić z konia,
I wśród błonia
Polną różę
Zerwać, zanieść z ranną rosą
Lubéj w upominku.

Pierwéj fale wyspy zniosą,
Niźli kozak dla spoczynku
Tknie się pługa.. gdy raz złotem
Da zakupić ręce panu,
Wśród limanu
Zlany potem,
Zlany łzami,. będzie w stożec
Składał kryształ soli.

O! nie pójdzie Zaporożec
Zaprzedany do niewoli
Błądzić! . . . . . .

O cicho! cicho drużyno!
Czy tam widzicie żagle za nami,
Żagle się galer bielą za trzciną,
Za kozackimi płyną czajkami.
W Czertomeliku płyńmy ostrowy,
Tam będą czajek bezpieczne floty:
Próżno nam buńczuk zagraża złoty,
I pierś galery i żagiel płowy.
Oto na brzegu nasze rodziny....
Czajka ma czucie, wierność brytana,
I tak jak brytan o stopy pana
Tak się o wodne otarła trzciny.

PIEŚŃ V.

BASZA.

Wrócił syn stepów wyprawą dumny.
Jakże mu piękne zdają się chaty!
Róża je polna ubiera w kwiaty,
Malw różnobarwnych drżące kolumny
Aż po nad strzechy rosną i kwitną.
Owdzie spróchniałe skrzypiąc żórawie,
Sięgają w studni wodę błękitną:
Tam Zaporożec napawa konia,
Śpiewając dziką pieśń o wyprawie,
I gwarząc z echem, wraca przez błonia,
Kiedy wieczorna zabłyśnie gwiazda.
Na śpiew szczekaniem pies się odwoła.
Chaty wiszące w parowach sioła,
Jako jaskółcze czernieją gniazda....

Ale dla Turków jakże zdradzieckie
Czertomeliku wysep zakręty!
Gdy w nie galery weszły tureckie,
Utkwił na miejscu żagiel rozpięty.
I tak za czajką płynące wrogi
Co wprzód grozili, blade od strachu,
Nie mogli znaleźć powrotu drogi,
Jakby w egipskim zbłąkani gmachu.

Kozak spokojne porzucił chaty
I biegł na brzegi; tam pop z gromnicą
Przywdziewał lśniące złotem ornaty,
Trzykroć oświęcił Dniepr kadzielnicą,
A gdy odmówił z księgi pacierze,
Rzekł do Hetmana: „Mój wierny synu,
Czy wierzysz w cudy?“ Hetman rzekł: „Wierzę“.
Lecz uśmiech jakby na wzgardę gminu
Oświęcił blade lica Hetmana.
A pop rzekł daléj: „Więc w imię Pana,
„Jeśliś ochrzcony, weź obraz święty,
„Gdzie malowana Bogarodzica,
„Zanurz do fali, niechaj okręty

„Zatoną — zgasną jak ta gromnica“.
Rzekł... i gromnicę rzucił do wody.
Tłum cały milczał, a Hetman młody
Jakby ze wzgardą słuchał rozkazu;
I malowidłem cudownem błysnął,
Lecz nim tknął fali ramą obrazu,
Obraz się w drobne sztuki rozprysnął.
A pop zbladł drżący... zbladła drużyna...
Hetman zawołał: „Czemuż bledniecie?
„Jeśli pękł obraz? nie moja wina,
„Spróchniał w tureckim wisząc meczecie.
„Ale ten okręt zastrzągł do mułu,
„Turków wytracę przed wschodem słońca;
„Jednego tylko zostawię gońca,
„By o tém zaniósł wieść do Stambułu...
„Cóż ten szmer znaczy?... czyż szabla Żmii
„Tak się na karkach tureckich starła,
„Że już kozackiéj nie tknie się szyi?!
„Do chat, kozaki!... niech myślą Turki
„Że już drużyna nasza wymarła:
„A gdy noc głucha padnie na wzgórki
„I na parowy... być w pogotowiu
„Na odgłos trąbki... Do chat, kozaki!...“

Już przy zachodzie dnieprowe ptaki —
Czaple się kładły do snu w sitowiu,
Galera piersią nie miała wody,
A spód jéj ledwo w trzcinach widomy;
I nad zielone wysep ogrody
Wyrastał wielki maszt nieruchomy.
Słońce złociste, niećmione mgłami,
Tonie w oczeret... blaski niknące
Spały na żaglach, a nad żaglami
Zwieszały liście brzozy płaczące.
A jeszcze wyżéj, na żaglów szczycie
Bandera Baszy połyska złotem;
I jeszcze wyżéj, w nieba błękicie
Jaskółki szybkim krążyły lotem.

Tak cichy widok... Niech Turki marzą,
Że są panami stu wysp na Niżu;

Niech śpią głęboko... bo już na krzyżu
Usiadł jak do snu sokół stepowy,
Smutny wszedł miesiąc z płonącą twarzą
I na zamglone patrzał ostrowy.

Cichość posępna i noc głęboka.
Na straży Turek zbrojny połyska,
I z chat kozackich nie spuszcza oka:
Ale po chatach gasły ogniska.
Turek odmawia modły proroka,
I tak się rajską otoczył chwałą,
Że ani dostrzegł, jak pośród cienia
Mierzonym razem światło łyskało,
Jakby budzone ognie z krzemienia.

Podobnie, kiedy Turków ogrody
Bogatym w kwiaty błysną granatem,
Tak zdala trzciny nad Dniepru wody
Nagle rozkwitły ognistym kwiatem.
I blask pozłaca ciche brzóz czoła,
Cztery płomieni błysnęły koła;
A gdy znalazły upływu łoże,
Pobiegły szybko w jedno się zlały,
I wnet ogromne pożaru morze
Pod okręt wzniosłe toczyło wały.

Na krzyk strażnika ze snu zbudzeni
Zbiegli się Turcy. Rozpacz straszliwa!
Rozpacz bezsilna! morze płomieni
Suche okrętu deski podmywa
Zawyli strasznie i odurzeni
Umilkli... Cisza spadła straszliwa.
Potém w téj ciszy, galerom znana,
Dziko zabrzmiała trąbka Hetmana.

Na odgłos trąbki, jak z ogniów piekła,
Wstali kozacy na czarnych skałach,
Rzekłbyś, że zemstą dzicz ta zaciekła
Gasi pragnienie w ognistych wałach.
Na nagich głazach, obwiani w dymie,

Jako posągi stali olbrzymie;
Rzekłbyś, że dusza ich marmurowa
Nie słyszy jęku, głosu rozpaczy.

I słychać grzmiące Hetmana słowa:
„Druhy! nim płomień Turków obsaczy,
„Kto do okrętu dopłynie z wodą,
„Jeśli jest Basza? Baszę wyszuka,
„Baszę wykradnie, takiego kruka
„Bogatą piastrów uczczę nagrodą.“
Kozacy milczą... Za skarby świata
Któż pójdzie w piekło?... Patrzcie! sam Żmija,
Jak istna żmija ogień przelata,
I padł do fali, wśród fal się wzbija,
I znów zatonął... Tam iskry padły.
Ho! ho! z téj wanny nie wyjdzie cały...
A teraz słychać Turków wystrzały.
Widzę go znowu, gdzie tłum wybladły,
Wpadł... oto Turek w rękach Hetmana.
Już maszt się pali, już żagiel spłonął.
Hetman do fali z Turkiem zatonął,
A płomieniami fala zawiana;
Miło to płynąć w takie ukropy!
Patrzcie tam! patrzcie! Hetman na skale,
Na znak tureckie rozwija szale;
Wąż mu się — Turek wije z pod stopy.

Nad rankiem, kędy oczeret płonął,
Błękitne tylko krążyły dymy.
Galerę Baszy pożar pochłonął,
Na skałach czarne znikły olbrzymy.
Tak na skinienie Hetmana ręki
Wznoszą się ognie, gasną pożary.
Po wyspach słychać wesołe gwary
I dzikie śpiewy, torbanow dźwięki.
Czemuż tak głośne wesele w Siczy?
Czemuż się tłoczy lud do téj lipy
Z tak głośnym śmiechem? Czy dział zdobyczy?
Czyli po zmarłych wyprawia stypy?
Czy mu chorągiew przysłał król polski?

O! nie stąd radość... Pośród drużyny
Wznosi się wielka klatka ze trzciny,
A w klatce siedzi Basza Natolski.
Przed kilku dniami stu miast był panem,
Zamykał tysiąc dziewic w haremie,
Był ojcem syna; a dziś bez ziemie,
Syn jego poległ walcząc z Hetmanem;
Z Hetmanem dzikie żywioły w zmowie
Zniszczyły miasta, a zgraja dzika
Jak na tygrysa patrzy w sitowie,
Plwa mu na czoło, palcem wytyka.
Co musiał cierpieć? nikt nie wypowie,
Ale cierpienia w sercu zamyka;
Gdy go raniło goryczy słowo,
Na wzgardę chował twarz marmurową.
Lecz chociaż duma wiele wytrzyma,
Gdy z uraganiem wystąpił hardo
Kozak ubrany w zbroje Selima,
Basza na niego spojrzał z pogardą;
Lecz gdy stanęły w oczach przytomne
Syna pamiątki, piersi nabrzmiały,
W oczach się długo dwie łzy zbierały,
I spadły na twarz dwie łzy ogromne.

Już ciemném skrzydłem noc się nasuwa,
I gmin się rozszedł, po chatach gwarzy.
Tam zbrojny kozak, stojąc na straży,
Liczy godziny, nad więźniem czuwa.
I okolica mgłami zawiana.
A teraz słychać hasło strażnika:
„Kto idzie?“ „Hetman!“ „Witam Hetmana!“
Żmija milczący klatkę odmyka.
Potem odwraca twarz zamyśloną:
„Precz stąd, kozaku! Żmija na straży.“
Wszedł zgięty, odkrył lampę tajoną,
Potém ją światłem podniósł do twarzy:
„Żyć będziesz, Baszo! wzgardę przeżyłeś.“
„Znasz mnie?“ „O znam cię! znam cię, szatanie,
„Syna zabójco! krew za krew stanie...“
„Baszo, mojego ojca zabiłeś.

„Blask cię buńczuków zaślepił wabny,
„Tyś go oczernił, ty od Sułtana
„Przyniosłeś Baszy stryczek jedwabny,
„I sam na Baszę! i sam na pana!
„Ja słabe mając do zemsty ramię,
„Ja sam, syn Baszy, z miasta wygnany,
„Gdym okiem żegnał rodzinne ściany,
„Widziałem głowę ojca na bramie;
„I dotąd jeszcze, dotąd w noc ciemną
„Tę bladą głowę widzę przedemną,
„Jak mnie krwawymi ściga oczyma.
„Lecz teraz Żmii cienie nie straszą,
„Sen mój kupiłem śmiercią Selima,
„Jeszcze krwi twojéj trzeba mi, Baszo.
„Krew swoję oddasz za łzy Zulemie,
„Łzy, które lała w twoim haremie;
„Lecz w równéj walce oddasz ją zbrojny.
„Teraz idź za mną, nie bój się zdrady.“

Szli oba we mgłach. Basza spokojny
Oczy obracał na księżyc blady.
Szli krętą ścieżką, gdzie wśród wybrzeży
Wznosi się zamek nad Dniepru wały.
Koło ogromnéj środkowéj wieży
Wież mniejszych lekkie wybiegły strzały.
W wieżach się smutny puszczyk odzywa,
Śpi blask księżycą i mgła przepływa.

Weszli do zamku, weszli do sali;
Po ścianach błyszczą zbroje, a z góry
Blask od kagańca padał ponury,
I słychać zdala szum Dniepru fali.
W dalszych komnatach, o dziw nad dziwy!
Jakie tam cuda w zamku dnieprowym?
Na ścian wysokich tle lazurowém
Płoną lamp gwiazdy, kobierców niwy
Kwiatem zabłysły, a kwiat tak świeży,
Jak gdyby z ranną rosą zerwany.
Gdzie niegdzie kryształ zastąpił ściany;
W zwierciadłach oko bieży i bieży,

Nową odkrywa salę za salą.
W każdéj te same lampy się palą.
Czy to są czary? tak długim gankiem
Mógłby wędrowiec zajść aż do Boga.
Z marmuru sali cięta podłoga,
A delfin złoty obrzucał wiankiem
Kryształ, co daje miłe ochłody,
A światła płoną pod szkłami wody.
Patrząc na ognie, kryształ i kwiaty,
Oko zalśnione w ciągłym zachwycie,
Przez okna sali bieży z komnaty,
Bieży odpocząć w nieba błękicie;
I wpada nagle jak w otchłań ciemną,
Przez którą srebrny księżyc przepływa.

Hetman sprężynę ruszył tajemną,
Złota się nagle ściana odkrywa;
I nowa sala... Sali połowa
Alabastrowém światłem zaćmiona,
W połowie ze mgły spada zasłona,
A za mgłą srebrną znów jasność dniowa.
Gdy na złocistym siedli dywanie,
Na znak Hetmana zdala za mgłami
Zabrzmiały arfy, słychać śpiewanie
Stłumione zrazu echem i łzami
Cichéj fontanny... Potém ze śpiewem
Dwanaście dziewic kwiaty kobierca
Depce — i płynie z zasłon powiewem.
Basza dłoń prawą podniósł do serca,
Potém zbladł cały, oczy odwrócił,
I twarz rękami zakrył obiema,
I rzekł: „Mój sztylet tak mię porzucił,
Sztylet niewierny, jak ta Zulema,“
„Baszo! rzekł Hetman, ona szczęśliwa,
„Z waszych pałaców bierze podarki;
„Dla niéj po morzu czajka ma pływa,
„Błyszczą pałasze i grzmią janczarki;
„Dla niéj to Żmija przez długie lata
„Zdradzał i zaprzał swego proroka,
„I twarz zmienioną nosił dla świata,

„Choć w sercu była rana głęboka.
„Hetman i razem wróg méj drużyny,
„Często, przebrany, z bracią Tatary
„Na własne sioła niosłem pożary;
„Często przez długie, długie godziny,
„Pamiętam, nawet przed dniem wyprawy,
„Jak wąż ukryty pomiędzy trawy,
„Patrząc na słońce, leżę dzień cały,
„By choć dzień jeden ukraść obłudzie,
„By świst kozackiéj usłyszeć strzały;
„Sokół mnie poznał prędzéj niż ludzie,
„Tak twarz wprawiłem, aby udaną
„Nosiła barwę. W takiéj niewoli,
„Jak liść dwubarwny srebrnéj topoli,
„Cierpiałem mękę — niewypłakaną.
„Gdym własne sioła palił i burzył,
„Gdym na przekleństwa gminu zasłużył,
„Błogosławili... Ale już blada,
„Już gwiazda Żmii mroczy się, spada;
„Gdy w mojéj dłoni pękł obraz święty,
„Odkryją zdradę, spadnie ta głowa,
„Przeklną!...“ Głos grzmiący przerwał mu słowa:
„Więc bądź przeklęty! więc bądź przeklęty!“
I przed Hetmanem stanął w komnatach
Ze srebrnym krzyżem pop w czarnych szatach.

PIEŚŃ VI.

WALKA.

Szczęśliwe czasy dawnych rycerzy!
Szczęśliwe czasy! gdy cud po cudzie
Barwił powieści. Dziś kto uwierzy,
Jacy to byli żelazni ludzie,
Jakie to były zamki zaklęte,
W czarnych cyprysach dusze zamknięte?
Takie powieści śpią niewierzone,
Takie powieści kryją klasztory,
Gdzie mnich, przez szyby patrząc barwione,
Światu nadawał tych szyb kolory.
Dziś kto uwierzy? że na skinienie

Ręki Hetmana, we mgnieniu oka,
Zagasły światła. — Arf kona brzmienie,
Z ciemnością spada cichość głęboka.

Popa okropna przejęła trwoga,
A Hetman mówił z twarzą wesołą:
„Biada, kto tutaj w imieniu Boga
„Wstąpi w czarami skreślone koło.
„Lecz gdyś tu przyszedł, bądź pozdrowiony!
„Zostaniesz moim gościem na wieki,
„Słońca nie ujrzą twoje powieki,
„Rdzą się okryje ten krzyż srebrzony;
„Nikt nie usłyszy jęku, prócz Boga."
Skinął, zapadła nagle podłoga.
Pop, przeniesiony w lochy podziemne,
Zniknął — i słychać było westchnienie...
Znów skinął Hetman, a na skinienie
Dzień świateł wpłynął w komnaty ciemne.
Gdy się rozjaśnił, obaj rycerze
Znów przez te same wyszli podwoje,
I do narożnéj wstąpili wieże,
By się do walki stroić we zbroje.

Basza wziął turban stalą podszyty,
Piersi drucianą kryje koszulą,
I miecz Damaszku z dwóch mieczów zbity,
I ciężki czekan z kolczatą kulą.
Tak uzbrojony, lekki i rzeski,
Za pasem sztylet zawiesił Fezki;
Wziął tarcz z sitowia, jakiéj do wojny
Używa w stepach Tatar budziacki;
I już był gotów. Hetman kozacki
Bezpieczniéj wprawdzie, lecz ciężko zbrojny,
Zakuł pierś mężną w pancerz ze stali,
Niósł hełm z przyłbicą ściśle zakrytą;
A z piór i włosów na hełmie kitą
Rośnie we dwoje do sklepień sali.
Kopią wstrząsa do rzutu celną,
Przy boku błyszczy miecz obosieczny.

Tak z Baszą sercem i zbroją sprzeczny,
Wychodził staczać walkę śmiertelną...

Już się na biały dzień zabierało,
Gdy wyszli z zamku. Jakby zbudzone
Chmury nadrannym wiatrem kręcone,
Już się z mgłą dolin mięszały białą.
I słychać oddech poranku świeży,
Co lekko wzrusza nadwodne trzciny;
Świegocą wróble na zamku wieży,
Napół uśpione między kaliny.
I księżyc blady i gwiazdy bladły,
Szarzeją światłem nieba błękity;
A kawki krążąc stadem obsiadły,
I ołowiane wież czernią szczyty.

Wsiedli do czajki obaj rycerze,
Płynęli z wodą. Hetman ponury
Patrzał na wichrem kręcone chmury,
Na mgły tumany, na zamku wieże;
A jego serce, choć stalą zbrojne,
Tak mocno bije, tak niespokojne,
Jakby w przeczuciach; zadrżał, i nagle
Chwycił za wiosło, rozpuścił żagle,
I pędził czajkę; ta w szybkim biegu
W chwilę na drugim stanęła brzegu.
Tam z serca trwogę odpędził płonną:
„Jak los osądził, rzekł, niech się stanie.
„Baszo, czy walczysz pieszo? czy konno?“
„Gdy Arabczyka dasz mi, Hetmanie,
„Ujrzysz, jak lekko na siodło wskoczę,
„Jak z konia biję i koniem toczę.“
Hetmana trąbki słychać odgłosy:
Wnet, nauczone, na trąbkę pana
Dwa szybkie konie lecą przez wrzosy:
„Biały twój, Baszo! czarny Hetmana.“
Oba rycerze siedli na konie,
Oba pędzili szybko przez błonie,
Póki kaganiec z wież Oczakowa
Nie błysnął gwiazdą ze mgły wywity.

Za wodzą Żmii stanął koń wryty,
A Hetman rzecze: „Na próżne słowa
„Nie traćmy czasu, poleć się Bogu.
„Tam twój Oczaków, kędy się palą
„Mnogie kagańce w masztowym lesie,
„Tam twoje wieże, do wież tych progu,
„Gdy mię zwyciężysz, koń cię zaniesie,
„Gdy padniesz, trup twój popłynie z falą.“

Rzekł, ściśléj zamknął w przyłbicę czoło,
I czarnéj tarczy okrył się skrzydłem.
Basza jak jastrząb krążył wokoło,
Na różne strony zwijał wędzidłem,
I rzucał czekan i koniem toczył.
Tarcza Hetmana wydała dźwięki,
Trzykroć od tarczy czekan odskoczył
I na rzemieniu wrócił do ręki;
Trzykroć odskoczył — za czwartą razą
Zgruchotał twarde hełmu żelazo,
Lecz ugrzązł w hełmie. Żmija zań chwyta,
Nie pośpiał Basza odciąć rzemienia;
Tak związanego, gdy zbył strzemienia,
Hetman pod końskie ciągnął kopyta.
Skrwawiony ostem i oczeretem,
Czołga się Basza jako gadzina;
Żmija miecz wznosi, Basza sztyletem
I lewą ręką rzemień przecina,
Wstając pod koniem, ów sztylet srogi
Aż po rękojeść wraził pod strzemię.
Rumak Hetmana runął o ziemię,
Lecz Hetman szybko powstał na nogi,
Odrzucił dzidę, miecza dobywa;
I znów grzmi walka, walka straszliwa!

Daleko słychać szczęki pałaszy,
I tarcza daje odgłos jak dzwony.
Już krew turecka, krew świeża Baszy,
Lśni po burzanach jak kwiat czerwony;
Ten widok siły Hetmana dwoi,
Więc w obie dłonie miecz chwyta silny,

Podniósł i spuścił, lecz raz był mylny,
Sam padł, zwalony ciężarem zbroi;
Nim powstał z ziemi, już wróg straszliwy
Tłoczył mu piersi, wzniósł sztylet mściwy,
I nad bezbronnym mszcząc się rycerzem,
Gdy mu się sztylet po zbroi zwinął,
Podniósł pancerza i pod pancerzem
Wbił po rękojeść, aż krwią zapłynął.
Basza siadł na koń, spiął go ostrogą,
Leciał jak z wiatrem chmura stepowa;
Lecz nie do Turków, do Oczakowa;
Na północ wsteczną poleciał drogą.

Już zniknął... Blado wschód się czerwieni,
Już się oddala tętent po wrzosie.
Tu koralową barwą jesieni
Błyszczą burzany w srebrzystéj rosie,
I szpaków stada po nieba sklepach
We mgle się kąpią i lgną na łozy.
Gdzie dwie samotne płakały brzozy,
Hetman kozacki konał na stepach...

Ciszéj!... tam jakiś śpiew obłąkany,
Z echem przez suche płynie burzany;
Pieśń taka smutna, dzika i rzewna.
Oblana złotem słońca promieni
Zbliża się postać, jak cień niepewna,
Dziewica mogił — to młoda Kseni!
Pieśń jéj, jak lutni niesfornéj głosy,
Nagle skonała, krzykiem ucięta,
Bo koło Kseni skrwawione wrzosy;
A choć przyłbica Żmii zamknięta,
Już go poznała — tak dziewic oczy
Wprawne w miłości, choć obłąkane.
Ale napróżno wyśledza ranę,
Chce krew zatrzymać rąbkiem warkoczy.
Gdy mu przyłbicę wzniosła na czole,
Żmiję do życia wróciły bole;
Spojrzał i poznał, lecz nie rzekł słowa,
Ani się zdradził nagłém poznaniem.

I była cisza, cisza stepowa,
Przerwana czasem łzami i łkaniem
Smutnéj dziewicy. Kseni oczyma
Ściga wejrzenie zgasłe Hetmana;
A Żmija oczy wlepione trzyma
W stronę, gdzie mglistą chmurą owiana
Wznosi się zamków Siczowych wieża.
Nagle blask ognia stamtąd uderza,
Potém się rozlał po Dniepru fali,
Między wieżami płomień się wije.
„Zdrajca, rzekł Hetman, Kseni, klnij Żmiję!
„Oto mój zamek, zamek się pali!
„W zamku twój ojciec!... A Basza mściwy
„I nad nią jeszcze zemsty dokonał.
„Przekleństwo jemu!“ westchnął i skonał.

Zaledwo skonał — przez kwiatów niwy,
Rzucając za się wzrok niespokojny,
Na koniu Turek przeleciał zbrojny,
I zniknął we mgle... Śmiech dziki Kseni
Smutnie po rosach zabrzmiał. „Mam syna!
„Ojciec mój skonał pośród płomieni.
„Syn mój jak świeża rośnie kalina;
„A Hetman... Syn miał ojca Hetmanem,
„I żyć nie będzie pod innym panem.
„Lecz wam, kozacy, wam nie pokażę
„Syna mojego — w grób go zakopię;
„Ale krew jego przyniosę w czarze,
„I krwią mogiłę ojca pokropię.“

Jakie tam było po chatach łkanie!
Gdy wieść okropna biegła przez sioła.
Zgasłeś! wołali, zgasłeś, Hetmanie!
Któż, jak ty w czajce lotem sokoła,
Z nami na Czarne popłynie morze?
Kiedyż takiego ujrzymy pana?
Kiedyż drugiemu słać będziem łoże
Gruzami z wielkich gmachów Sułtana?...

Wieją tłumami kozackie kity,
Hetmańska trumna już nad mogiłą;

A w trumnie Hetman leży odkryty.
Coś mu się we śnie strasznego śniło,
Bo wyraz wzgardy w twarzy wyryty.
Z żaglów tureckich śmiertelna chusta
Spowiła ciało. Złotym obrazkiem
Pop go opatrzył, posypał piaskiem,
Kawałek chleba włożył mu w usta,
Zgrają tym samym obdzielił chlebem;
A gdy wymówił ostatnie słowo,
Płaczki zaczęły pieśń pogrzebową.
Lecz jedna z płaczek szła za pogrzebem,
Śmiechem zbłąkała pieśni odgłosy;
A choć wesela taić nie umie,
Na przekór śmiechom, jak srebrne rosy
Łzy jéj do wielkiéj płyną łzawicy;
A gdy łzy cudze zbierała w tłumie,
Gdy w czarę padło światło gromnicy,
Kołem się wszystkie chmurzyły twarze.
Widzieli wszyscy, krew była w czarze!
I krew do grobu wylała cieśni...
Padła, skonała. — Konaj, o pieśni!

1831.

OBJAŚNIENIE.

Romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacyi. Na Ukrainie lud dotąd pokazuje wał ogromny, wałem Żmii nazwany; niektórzy sądzą, że Żmija był jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporoża; inne podanie niesie, że szatan pod postacią Żmii niósł wielki kamień, chcąc nim kościół przywalić i, przerażony kura zapianiem, głaz na stepy upuścił. Idąc za pierwszą z tych powieści, utworzyłem osobę bajeczną, będącą bohaterem mojego romansu i z nią powiązałem różne przez historyą wspominane wypadki. I tak, prawdziwą jest rzeczą, że Kozacy z czajkami wybiegali na Czarne Morze, spalili wiele miast Natolii i Cylicyi, a zapędziwszy się aż pod Carogród, ogień w przedmieście Pera zanieśli. Sułtan przerażony, widząc płonące wieże Bosforu, złotem okupić się musiał. W papierach znalezionych w kuli na kościele Śgo. Jana w Warszawie, a które Niemcewicz w pamiętnikach o dawnéj Polsce umieścił, znajduje się wzmianka o Kozakach. Stamtąd powziąłem wiadomość, iż któryś z Baszów w niewolę przez Kozaków ujęty, na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet był uwięziony. Opisy miejsc po części z Grądckiego, po części z Beauplana wyjęte; za czasów tego ostatniego, widziano na najwyższéj z wysp Czertomeliku ruiny zamku, tak postawione, aby ich woda, wiosną inne wyspy zatapiająca, dosięgnąć nie mogła. — W tymże autorze wyczytałem, jak galery tureckie, zapędziwszy się za czajkami, zginęły w labiryncie wysp Czertomelickich obłąkane; tenże pisarz opisuje sposób, jakim Kozacy i Tatarowie na sumaki polowali, a obraz téj obławy starałem

się wiernie w pieśni pierwszéj romansu wystawić, równie jak sposób zdobywania czajkami okrętów tureckich w czwartéj pieśni opisany. Niekiedy, idąc za duchem poezyi ludu ukraińskiego, chcąc obraz żywiéj wystawić, porzucam sposób opisowy, i opowiadanie wkładam w usta sternika kozackiego, nie sądzę zaś, aby taka wolność imaginacyą czytelnika obrażać miała.

Wiersz dziesięcio-zgłoskowy w niniejszéj powieści użyty, a może nadto wyraźną miarą nieprzyjemnie mordujący ucho czytelnika, w mojém jednak przekonaniu najwłaściwiéj do takiego rodzaju utworu zastosować się daje. Z użycia takowego wiersza wynikała potrzeba, nie inne jak dwunasto- lub ośmio-zgłoskowe łączyć z nim rytmy; tak, ażeby średniówka zawsze w połowie wiersza przypadać mogła.

PRZEDMOWA

DO TRZECIEGO TOMU PARYSKIEGO WYDANIA.

Przed rokiem ogłosiłem drukiem w Paryżu dwa pierwsze tomy moich poezyj; niezachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze połknęła. Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszéj, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię poety. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dzienne, zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiéj; szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianéj wierzył. Dziś dziennikarze, owi tworzyciele literackich królów milczą. Gazeta Warszawska umieściła wyjątkami, w sześciu numerach, całego prawie Żmiję, nie czyniąc żadnych uwag nad tak pociętym kozaków wodzem.

Niespodziewam się, aby Lambro mógł się kiedy podobnież ukazać na szaréj bibule dzienników, bo Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań, jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czém być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczém.

Lambro stanął niegdyś na czele Greków namówionych przez Katarzynę do powstania, i zdradzony przez północną carową, po wielu bezskutecznych usiłowaniach, morskim został korsarzem. Ryga, drugi bohater powieści, autor

sławnego hymnu powstańców, wydany przez Austryą w ręce Turków, niesławną śmierć znalazł, powieszony na maszcie fregaty.

Pisząc niniejszą przedmowę, postanowiłem zamknąć się w jak najściślejszych obrębach potrzeby; dla tego nie będę tu bronił układu, ani żywotnéj myśli poematu. Świat myśli tak jest obszerny, że można w nim wyciągać nieodparte granicami ramiona. Szanuję szkołę religijną, owę wieczerzę pańską polskich poetów, do któréj zasiedli w Paryżu — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiéj religii źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya, była obrazem wieku. Dant pisał o piekle, kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem materyalizmu, Byron, rozpaczający o wątpliwą przyszłość poeta zaczął wiek dziewiętnasty; ci trzej ludzie wyobrażają epoki w których żyli, oblicza wieków odbite są na ich umysłowéj twarzy; gdyby z myśli większéj liczby ludzi w owych czasach żyjących utworzyć można było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżéj nad nich wzniósł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie niezależne od epoki przesądów malował i stwarzał władzą do boskiéj podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowymi zamknięci obrębami, jak Goethe, Kalderon, Walter-Scott, stoją jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnymi drogami treściwéj myśli żywotnéj naszego kraju; szczęśliwy, kto w ogniwie duszy własnéj najwięcéj promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którém trzeba szukać duszy narodowéj lub duszy świata.

Znajdziemy poezyą narodową, albowiem dziś dwory królów nie łamią i nie psują rozwijających się talentów, ani każą im sztucznie pod szkłami pałacowymi rozkwitać. Dziś poeci są minstrelami narodów i, podobni dawnym minstrelom, śpiewają milionowo-głowemu panu, gdy usypia,

budzą go pieśnią, i przy śmiertelném łożu narodów przepowiadają zmartwychwstanie. Jeżeli literatura nasza wzrośnie na wygnaniu i przyczyni się do uświetnienia obecnéj epoki, to kiedyś o tém będą rozpowiadać ze łzami wnuki nasze, i płynącego teraz czasu nie nazwą już wiekiem Stanisława Augusta, lecz wiekiem nieszczęścia narodu. Więc przebaczcie mi, Polacy, że się dobijam o jedno z niższych miejsc we wspomnieniach szczęśliwéj niegdyś przyszłości.

Pisałem w Genewie, dnia 17. kwietnia 1833 roku.

Autor.

LAMBRO

POWSTAŃCA GRECKI.

POWIEŚĆ POETYCZNA

W DWÓCH PIEŚNIACH.

PIEŚŃ PIERWSZA.

. . . . . Should we again provoke
Our stronger, some worse way his wrath may find
To our destruction; if there be in hell
Fear to be worse destroy'd . . . . .

MILTON.

I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,
Niech mu po morzu ściele księżyc złoty
Ścieżki obłędne, niech przed nim ucieka,
Gdy po téj drodze puści żaglów loty;
Kołysz go, falo, i łódkę Majnoty
W samotną morza obłąkaj krainę,
I tam mu powiédz: ja nosiłam floty
Na moich skrzydłach aż pod Salaminę;
Płynęłam taką, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś gó ostrowy.
Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy;
Nad nimi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,
I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.
A ludzie cierpią, że umrzeć nie śmieli;
Twarz ich boleści rysem naznaczona.
Gdyby tu błysnął dawny wzrok Meduzy,

Gdyby ci ludzie, jak są, skamienieli,
Ileżby nowych posągów przybyło
Łamanych wiecznym bolem Laokona.
Tu, nad pomników i ludzi mogiłą,
Księżyc posępny płynie co wieczora.
Gdy góry światłem błękitném przenik..,
Mgły zasłonami doliny ośnieżył,
Szuka posągów, które widział wczora,
Do których twarzy wiekami przywyknął;
Blady jak starzec, co na ziemi przeżył
Zagasłe, mrące co dnia dzieci koło,
Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie,
Tak ma wiekami wyniszczone czoło,
Że się nie chmurzy żalem ani bladnie,
I nikt cierpienia z twarzy nie odgadnie.

II.

Archipelagu wysp wieniec różowy
Lekkich kaików przerzynają wiosła.
Jak dawne Nimfy, tak dziś te ostrowy,
Przed tureckimi uciekając gwałty,
Odmienne pierwszym biorą na się kształty.
Jak niegdyś Dafne w liść lauru porosła,
Tak dzisiaj Hydra zielona laurami.
Ipsara skalnym błyszczy stroma brzegiem,
Podobna córce głazowéj Tantala;
Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,
Wiecznie od czoła wieńczonego śniegiem
Kryształowymi upłakana łzami.

Ipsarskie miasto, jak dłutem snycerza
Ze skał ciemnego łona wydobyte,
Barwy ma szare, od tła nie odbite,
I lasem masztów na poły schowane.
Gdzieniegdzie lekka minaretów wieża
Niesie pod niebo szczyty ołowiane.
Tam rzędy okien od łuny zachodu,
Jak mnogie lampy rozpalone, drżące,
Co chwila bladsze, co chwila gasnące,

Już zaszły mrokiem, ale szczyty grodu
Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło...
[illegible] to miasto na pół obumarło,
Gwar słychać w mieście, bo bezludne gmachy
Głośniejszém odgłos odbijają echem;
Gwar smutny, rzadko pomięszany śmiechem,
I tajemniczy jako te odgłosy,
Które wiatr z martwéj muszli wydobywa.
W głębiach haremów lśniące perłą rosy
Palą się róże, smutno słowik śpiéwa;
Przez szczyty murów na ciche ulice
Wonnych akacyj zwieszają się kwiaty;
Czasem pochodnia błyśnie z po za kraty;
Księżyc turbanu olśni bawełnicę.
To Turek dąży w znajomą gospodę,
Co inne gmachy przenosi wytworem:
Gdzie wielkie kotły wrącą zródeł wodę
Leją w kanały złotym dziwotworem;
Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,
I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;
Opryska warem, parą ją omroczy
Wprzód, nim zezwoli iść do wspólnéj wanny.
Tam woń arabskich napojony duchem
Przechodzi Turek w marmurowe sale:
Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,
Kłamane daléj w zwierciadeł krysztale.
Tam Grek usłużny obiega w około,
Dla muzułmanów nie szczędzi ukłonu:
Do ziemi chyląc osiwiałe czoło,
Nalewa mokkę w łono róż z Japonu;
Potém przed Grekiem stawia czarę z gliny,
Chowając aspra, do czary nalewa
Napój z makowéj tłoczony rośliny,
Co śmierć sprowadza, jak cień tego drzewa,
Które usypia snem głębokim zgonu.
Mrok spada w dymu stambulskiego chmurze,
Gdzieniegdzie tylko z Etrusków wazonu
Widać w połowie wychyloną różę;

Gdzieniegdzie błyszczą sztyletów głowice;
Tam nieruchome wyznańców turbany
Porosły kołem jak łąk tulipany;
Nad turbanami palą się księżyce.

III.

Wchodzi do sali młody Ipsaryota,
Jak u śpiewaka twarz blada i smutna;
I na ramieniu miał kapotę z płótna,
Niegęsto nićmi przetykaną złota.
Widać z gitary, znać po blasku oka,
Że z pieśnią sioła i grody przebiega...
Wnet go tłum Greków do koła oblega,
Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.
Greki i Turki zarówno ciekawi,
Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?
Czy ich upiorów powieścią zabawi?
Czy brylantową bajką Alraszyda?
Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,
Jak gdyby liczył tureckie turbany;
A potém spojrzał w mnogie Greków twarze
I gdy w nie patrzał, znalazł dźwięk w gitarze.

POWIEŚĆ GREKA.

IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,
Miłość ją kraju i rozpacz uprzędły.
Tu zżółkłe twarze, może serca zwiędły?
Miałem tu znaleść ludzi, widzę trupy.
Niezdolni z życia wybić się skonaniem,
Wyście odważni, lecz na pół otrucia,
Wyście przywykli zabijać pół czucia,
I zmartwychwstawać, lecz pół zmartwychwstaniem,
Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.
Pieśń często z kajdan iskry wydobywa,
Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień jeśli jest w iskierce.

Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu, na dnie.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,
Jest jako fala umarłego morza:
Co jéj powierzysz, wnet wyrzuca z łona,
Lecz barwą ciemnych głębi przyodzieje,
Da nieśmiertelność kamiennego łoża,
Kwiat w niéj nie tracąc barwy kamienieje.
Lecz jeśli wieszczek nie znajdzie wyrazów,
W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;
Często podobny sam do zimnych głazów,
Choć pieśń ognista w myśli się wylega,
Często go słuchacz odbiegnie wesoły...
A pieśń, co ledwo dopłynie połowy,
Jak mórz zamarłych owoc rubinowy,
Bezpłodne w sobie zamyka popioły.

V.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie
A potém chytra bezsilnych odbiegła.
Widziałem walkę, widziałem to błonie,
Gdzie siła naszych rycerzy poległa.
Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty...
Powietrze chmura proporców krajała,
W tureckich szykach lśnił księżyc bogaty,
Nad nim dym srebrny wyrzucały działa;
Stamtąd huk leciał, stamtąd ziemia grzmiała,
I grad pocisków wyrzucały spiże;
A stąd, zachodnim złocone promieniem,
W ten dym ognisty szły błękitne krzyże,
Z upornem, z głuchém rozpaczy milczeniem.
Potém je dymy spiżowe pożarły,
Mignęły w ogniu złote, i pobladły.

Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,
I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

VI.

Tak się zwycięstwa przeważyły szale...
Lambra tureckie ominęły gromy,
Wdarł się na skałę, całą noc na skale,
Patrzał na groby, na groby bez końca!
I tak nazajutrz jeszcze nieruchomy
Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca...
A stamtąd poszedł błąkać się po świecie.
Lecz nie samotny, znalazł się ktoś drugi,
Co przy nim giermka podjął się usługi;
Kto to był taki? — może odgadniecie.

Po długich latach, z krainy wygnania
Ujrzał jak Grecy z wiatrem na wyścigi
Nieśli po górach hasło zmartwychwstania;
Pieśń grzmiała w dzwonach, była to pieśń Rygi.
Ale niedługo Grek o szczęściu marzy:
Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony,
Gdzieniegdzie snuł się Kleft, lecz zakrwawiony,
I z krwią miał rozpacz przysechłą do twarzy.
Płacz, narzekanie wstrząsa Greków chaty,
Echami skał się rozpłakały łona.
Jutro, wołają, na maszcie fregaty
Haniebną śmiercią młody Ryga skona.

VII.

Na dzikich brzegach skalistéj Ipsary
Wznosi się klasztor wysoko nad morze;
Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,
Ostatnie słońcem złocą się filary.
Koło klasztoru bez czoła kolumny
Stoją jak palmy pozbawione liści.
Tam mnich pracuje koło własnéj trumny,
Tam od tureckiéj uciekł nienawiści...
Ów dzwon, co dzisiaj ogłasza pacierze,
Nieraz do broni powoła Majnotę;
Nieraz od Turków okrążone wieże

Czoła dział srebrnym uwieńczają dymem,
Z tych okien błyszczą śpiżu paszcze złote,
I mnich pokorny staje się olbrzymem.
Nieraz rozpaczy naglony potrzebą
Rozwala miną poświęcone ściany;
Rzekłbyś, że mnich ten chce zdobywać niebo
Skał odłamami, jak dawne Tytany.

Na niższych skałach cmentarz muzułmanów,
Czarowny, cichy, pełny drzew i kwiatów,
I dłutowanych w marmurze turbanów,
Jak odłam z rajskich oderwany światów
I przesadzony na skalne urwiska.
Tam byłem wczora... Słońce zachodziło...
Za marmurowe skryty grobowiska,
Widziałem dwoje ludzi nad mogiłą;
Widziałem Klefta i Greczynkę młodą:
Ona, do Peri podobna urodą,
Jak była piękną, wyraz nie określi!
Gdy długo, długo patrzałem w jéj lica,
Kiedy się potém obudziłem z myśli,
Tak byłem tęskny, rozmarzony, smutny,
Jak gdybym długo patrzał w twarz księżyca.
Snać, że jéj życie był to czas pokutny
Za całą przeszłość szczęścia pogrzebaną;
Miała na twarzy smutek, lecz nie żałość,
Barwę koralu łzą nie opłókaną;
Rumieniec tonął w bezpromienną białość,
I w białych szatach stała między drzewa
W pół przeświécona blaskami zachodu,
Podobna srebrnéj fontannie ogrodu,
Z któréj wiatr mgliste warkocze odwiewa.

Kleft, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem,
I wierne rysom członków nosił szaty:
Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,
Co się od słońca w różne barwy łamie,
Wypukło w złote wyszywany kwiaty.
I miał kapotę rzuconą na ramię,
Białą jak śniegi, i pas złotolity;
Nogę złoconym wiązaną rzemieniem,

Małą misiurkę, któréj axamity
Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem;
Na niéj z misternie ułożonéj zwici
Węzeł w złociste rozpadał się nici.

Choć stłumionymi przemawiali słowy,
Mogłem dosłyszeć ułamków rozmowy.

VIII.

„Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę,
„Nie odpowiadasz szczérze, gdy zapytam.
„Na twojém czole z przerażeniem czytam
„Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.
„Blask twego oka nie odbłyska z duszy.
„Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,
„W każdym odłamie iskra się zawiesza,
„A każda czystym lśni tęczy promieniem:
„Lecz na twém czole jakiś szatan mięsza
„Rozpacz ze śmiechem, śmiech blady z cierpieniem...
„Ty jesteś z ludzi, których serce żywi
„Łzami, lub gorżką trucizną laurową.
„O! bo też prawda, że my nieszczęśliwi,
„I czasem czuję, że pociechy słowo
„Ma dźwięk szyderczy i na serce spada.
„Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,
„Widzę, jak przy nas stojąc, rozpacz blada
„Czekała szczęściem niepełnéj godziny,
„Aby się poznać z nami — i być z nami..
„Czekała długo, przyszła choć nie skora;
„Ze wspólnych myśli jednego wieczora
„Myśmy się w stronę rozbiegli myślami.
„I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi,
„Milczysz?...“ —

„Dziś nie chcę zabijać słowami.
„Bo każde słowo do serca utonie,
„I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;
„A potém długiém rozpamiętywaniem,
„Jak żar piekielny rozpali się w łonie,
„I potém, potém — cała przyszłość twoja
„Stanie się długiém i ciężkiém konaniem.

„O! patrzaj na mnie, ta złocista zbroja
„Dzikiego Klefta nigdy nie stroiła,
„Zmieniłem szaty, tyś serce zmieniła.
„Winnaś wyczytać na pobladłém czole
„Myśli ukryte i obecne bole,
„I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!
„Tak jak wędrowiec wśród grobowych głazów
„Nie umiesz czytać napisów cmentarza?
„Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali...
„Jam dzisiaj królem błękitnawéj fali,
„Mszczę się... Dziś czarna bandera korsarza
„Rzuca cień śmierci, gdzie dosięgną działa;
„I zapomniałem zetrzeć z mego czoła
„Cieniu, co dzisiaj rzuciła nań rano;
„Otarłem tylko szablę krwią skalaną.
„Kłócę niebaczny spokojność anioła...
„Napój przeklęty, napój zapomniany,
„Rozpalam ogień miłosnéj pochodni,
„I wiążę serce dwoma talizmany:
„Wielkością nieszczęść i wielkością zbrodni.
„Mój obraz kształty przybierze olbrzymie
„W głębi twéj duszy — jak anioł upadły,
„We krwi skalany, w dział omglony dymie,
„W blasku brylantów i złota wybladły.
„O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!
„Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,
„Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,
„Kędy pod stopą zżółkłe liście kruszę,
„I gardzę liściem, co ścieżki pozłaca
„Barwą uwiędłą, lecz szum ich zasmuca!
„Wolę niech moją łodzią fala rzuca,
„Niechaj mi wzgardą za wzgardę odpłaca.
„Morze — to wielka mogiła stworzenia,
„Dumającemu na niéj myśli płyną.
„Nieraz na fali umieram z pragnienia,
„Jak obciążony tantalową winą,
„I mogę niebo przeklinać i morze.
„Usłałem sobie rozwahane łoże,
„Co mi piastunki daje kołysanie;
„Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz

„Często mię zorza śpiącego zastanie,
„I nie obudzi skrawém światłem — nieraz
„Działo mi dając ranne powitanie,
„Zbudzić nie może — często sen przedłużę,
„Aby w tém życiu żyć jak najmniéj — nie snem.
„Dziś nieszczęściami są mi niebios burze,
„Lina zerwana ujęciem niewczesném;
„Mam jeszcze czucie, bo dziś mię rozczula,
„I łzy mam w oku, gdy rozryje kula
„Maszt, z którym długie przebiegałem drogi,
„Wycięty z rosłéj Epiru topoli,
„Co mi rodzinne wspominał rozłogi;
„Lecz gdy mrą majtki, wtenczas poniewoli
„Na moich ustach błyszczy uśmiech dziki,
„Jak gdybym szydził, że niezręczni byli
„Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli
„Ze mną przez długie lata trosk, cierpienia,
„Jak krwi tygrysy, druhy, niewolniki...
„Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,
„Skamieniałego serca nie poruszy...
„Ze złotem stawię człowieka na szale,
„A potém złoto rzucam w morskie fale,
„Jakby w tém była jaka wielkość duszy.“

IX.

Słucha dziewica, jéj rumieniec mgławy
Zrazu rozkwitał i blasku nabywał...
Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy
Twarz jéj oświécił, we łzy się rozpływał,
I znów powracał tak w odcieniach zmienny,
Że słów kochanka wydawał się echem;
A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,
Gdy obumierał zadumaniem senny,
Podobną była do niewiasty Lota
W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem
W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,
I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona...
I tak posągów brała kształt nieżywy,
Tak opuściła bezwładnie ramiona,

Że z ramion szata płynąca do ziemi
Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usty drżącymi
Mówił: „O luba! wybacz, że te słowa
„Zanadto czarną malowały duszę;
„Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,
„Patrzeć, jak cierpią i śmiać się szalenie.
„Lecz twoja boleść, bladość marmurowa,
„To już nad moje siły, nad sumienie!
„Czy wierzysz, luba? ja się wyznać wstydzę,
„Ja, korsarz krwawy, ja ludzi morderca!
„Że się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,
„Że mam myśl jednę, wielką, w głębi serca,
„Co kiedyś zbawi nawet pamięć moją.
„O luba! teraz niech się ludzie boją;
„Niech się przed czarnym chronią pawilonem;
„Znajdę ich, zbudzę... jeśli nagłém zgonem
„Bóg wielkiéj we mnie myśli nie rozłamie.
„Na mojém czole widzisz dumy znamię,
„To jest przeczucie sławy; tam, tam w dali
„Widzę okropną przyszłość, ale sławną!
„Precz te obrazy... Luba! jakże dawno
„Z tobą po obcych błądziliśmy światach?
„Jakżeśmy dawno w przeczuciach szukali,
„I w oberwanych po liściu róż kwiatach
„Naszéj przyszłości? Z tobą moje losy
„I z tobą dotąd wiążę myśli moje.
„Często przed ludźmi w kajucie ukryty,
„Jak dziécię trefię przed zwierciadłem włosy,
„Szaty poprawiam, brylantami stroję,
„Bo widzę jasno, widzę w twych marzeniach
„Mój własny obraz wyraźnie odbity;
„Więc podobieństwa szukam w ukraszeniach,
„I póty śmiechem rozjaśniam jagody,
„Aż póki czyste wróci mi zwierciadło
„Obraz twych wspomnień z twarzą mniéj pobladłą
„I mniéj posępny, i smutny, i młody.

„O! świat ten gorżki, śmiechem przeraźliwy
„Dla tych, co płaczą czy to krwią czy łzami.

„Chroń się ty świata, bo on nie był z nami
„W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;
„Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,
„I nie przebacza tym, co toną w błędzie.
„Patrz, jak ten klasztor czoło w chmurach trzyma,
„Ja ci wynajdę mieszkanie w klasztorze;
„Zamknij się w cichéj celi, i ze skały
„Patrzaj nocami na rozległe morze,
„I błękitnymi po fali oczyma
„Mojego statku ścigaj żagiel biały.
„A gdy zagrożą fali niepokoje,
„Kiedy się będziesz modlić zdjęta trwogą,
„Razem popłyną w niebo, jedną drogą,
„Twoje modlitwy i przekleństwa moje.

„Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek,
„Jutro nim zorza świtem się rozpali,
„Przyjdź do mnie sama, tam, nad brzegi fali,
„Odziana płaszczem bogatych Turczynek.
„I miéj kalemkiar ciemny z musselinu,
„Lub czewrę gęsto haftowaną złotem;
„Niechaj się z wiatru nie wznosi polotem,
„Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.
„Jutro, pamiętaj! tam łódź moja czeka,
„Gdzie się przy skale załamało morze.
„Ja sam przebrany w tureckim ubiorze
„Płynę na pogrzeb ostatniego Greka.“

Skończył, a kiedy z ostatnimi słowy
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladłą,
Zda się, widziałem, kilka łez upadło...
Nie wiem... to może z silniejszym powiewem
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?
Nie wiem, czy płakał, czyli zachwiał drzewem?

X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem
Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,
Potém portową groblą odłamane,
Brzegi spokojnym oblewa błękitem;

A brzeg wysoko szarzeje granitem.
Wyżéj palm błyszczy zieloność wesoła.
Te palmy w niebo sięgające szczytem,
Jako nam istność malują anioła:
W mgle mają stopy — a w błękicie czoła.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,
Co się z cichego morza wydobywa!
I ten las masztów, jako las jesienny,
Z którego burza północy gniewliwa
Połowę jasnych liści poobrywa;
A pozostałym da rozliczne szaty,
Liść Statudera złotem się pokrywa,
Róż Albionu płonią się szkarłaty,
Szronem się Franków osrebrzyły kwiaty.

Słysząc szum żagli, słyszysz jakby we śnie
Gwarzące różnym językiem narody...
Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,
Jakby mówiły doznane przygody,
I prześcignięte z wiatrami zawody.
A fala milczy, choć może w niéj tonie
W téj chwili okręt nadziejami młody;
I jęk rozpaczy wydany przy zgonie
Uczuła fala, lecz zamknęła w łonie.

XI.

Okręt troistą opasany śpiżą
Zatknął na maszcie księżyc, trzy buńczuki,
Omglił się dymem, dział rozesłał huki,
I wtenczas niby szatana był tronem.
Gdy wiatr poddany dym unosił chyżo,
Wszystkie go maszty witały pokłonem;
A okręt ucichł, pił dumy kadzidła.
Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,
Srebrne po masztach zawieszała skrzydła;
Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.
Nie ma wyrazów język niezaskarbny
Malować słońcem ukazane czary.

Jako rozkwitłe Nilu nenufary
Z kwiatów kobierzec wiążą różnofarbny;
Jak odświeżone muszle i kamyki
Pieszczotą fali — tak na cichéj wodzie,
Wiążąc się razem w jasne mozaiki,
Spłynęły żaglem oskrzydlone łodzie.
Tam turban kitą ozłocony świetną,
Tam srebrna dziewic zasłona powiała;
Od łodzi fala różny połysk brała,
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru.
Cała ta przestrzeń była łąką kwietną,
Była doliną, szalem kaszemiru.
Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga,
Pod maszt fregaty, gdzie ma skonać Ryga.
I tak jak chciwe sępy albo kruki,
Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli
W bogatych łodziach, po morskiéj topieli,
Z męczarni Greka różne brać nauki.
Wielu jest w tłumie, co się śmiać nauczą,
Śmiech taki wrzkomo wielkość serca kłamie!
Wielu stąd wróci i miecze rozłamie,
Co jutro w królów miały tonąć łona.
Gdy tacy zemstę Aniołom poruczą,
Nieliczny może z męczarni wyłamie
Prawdę, że skonać nie trudno — i skona.

XII.

Wstąpił na pokład Ryga wśród janczarów;
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali,
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry.
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,
W szmer się zamienił gasnący, ponury,
I była cisza... Z ciszy wybłąkana
Pieśń między Turków urodzona tłumem,
Na kilka cichych głosów rozłamana,
Rośnie i z fali kołysze się szumem;
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła:
Powstańcie, Grecy! ale Grek nie słyszy,

Powstańcie, Grecy! brzmiało — ale ciszéj
Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.
Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,
Lecz radość widna z twarzy i z postawy,
Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy...
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy.

XIII.

Widziałem! ja sam widziałem, o Greki!
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,
Widziałem wszystko, i tłumiłem łkanie...
On był tak młody, nie zmrużył powieki,
Choć śmierć tak bliska! choć śmierć tak straszliwa!
Jeszcze go widzę, jak zasłonę zrywa,
Jeszcze go widzę, jak pod nieba stropy
Na rusztowaniu stanął — i smutnymi
Oczyma dawał pożegnanie ziemi,
Siłom młodości, marzeniom młodości.
Wtém szczeble pękły, wymknięte z pod stopy...
Nie mam wyrazów... Któż mu nie zazdrości
Śmierci teutońską sprowadzonéj zdradą?
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawało na wschodzie,
I promień z rannéj otrząśniony rosy
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,
I na ramiona spływające włosy.
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,
Uratowaną z męczarni rozbicia;
Na twarzy walczy senna boleść życia
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

XIV.

A w tłumie widzów jedna łódź ożyła;
Jak po jeziorze trzcinami zarosłém
Wężową ścieżką z tłumu się wywiła;
Turek ją pędził obustronném wiosłem,
I bawił Turków, rzucając nad głowy

Tysiączne kręgi wodnistych obręczy,
Umalowane kolorami tęczy.
A łódź, jak delfin w wodzie rozigrana,
Czasem tonęła w odmęt lazurowy
Równa powierzchni morza, tak że piana
Żagiel srebrzyła; czasem statek złoty
Po wierzchu fali szedł ptasimi loty,
I coraz bliższy fregaty sułtana,
Nie bacząc niby, pod srogimi kary
Wzbronione łodziom granice przechodzi.
Nie śmieli strzelać strzegące janczary,
I od płynących zdrady się nie bali;
Bo w téj złocisto-malowanéj łodzi
Ujrzeli postać dziewicy, i głośno
Śmiejąc się wszyscy, wszyscy przeklinali
Szatę turecką, zamkniętą, zazdrośną,
I ów kalemkiar z musselinu biały,
Tak gęsto lśniącym haftowany złotem,
Że go powiewy wiatru nie odwiały,
Ani łódź szybkim odsłoniła lotem.
Ta pod zasłoną róża niewidoma
Snać z ciekawością dziecinną haremu,
Może przejęta zgrozą, nieruchoma,
Chciała się bliżéj przypatrzeć zmarłemu?
Może się pod tą zasłoną ukrywa
Uśmiech w połowie ciekawy, wesoły?
Z takim uśmiechem liście róż obrywa,
Z takim uśmiechem te ziemskie anioły
Widzą zgon róży, serca, lub człowieka.

A wtém okrętu piersi niedaleka
Łódka uczuła silny popęd wiosła,
Biegła po fali, z fregatą się zrosła:
I wnet z jéj łona dym się wybił szary,
A potém jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzał na pożary;
A gdy mu płomień ramiona otoczył,
Odrzucił turban i do fali skoczył.
Za zbiegłym setne strzeliły janczarki,

Przed kulą w morzu zanurzony zginął...
Po chwili błękit pianą się zakłócił,
Majtek na fali powierzchnię wypłynął,
Pobladłym Turkom śmiech szyderczy rzucił...
A gdy śmiech echo okrętu powtarza,
Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła,
Śmiech ten poznałem, był to śmiech korsarza,
I twarz poznałem, to twarz Lambra była.

XV.

Spłonęła łódka, a w dymie z lazuru
Błękitna siarka błyska — z razu blada
Całuje okręt jak czarę z marmuru,
Jąć się nie może, ślizga się i spada,
Wgląda na pokład, potém z trzaskiem nagle
Czerwona dębu zajęła się ściana,
I w dymu kłębie iskra zabłąkana
Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.
Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,
Spodem okrętu roztwiera szczeliny...
Pękały szyby i rwały się liny,
I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.
Odgłos rozpaczy w trzasku się rozlega,
A tysiąc jęków, było jednym jękiem...
Ucichły razem... huk płomieni głuchnął;
Ciszą się zdawał, gdy doń słuch nawyknął.
Nagle, w płomieniach nowy blask wybuchnął.
Jak tknięty rószczką czarowną aniołów,
Z gromem wulkanu cały pożar zniknął,
Zostawił przepaść, i w niéj wrącą pianę,
I wszystkie łodzie burzą kołysane,
A na nie chmura upadła popiołów.

XVI.

Takim był Ryga uczczony pogrzebem..
Nie poszedł próchnieć w marmurowe lochy,
Stos miał wzniesiony pod błękitném niebem
Z dębów i trupów; jako do łzawicy

Do czary morza spadły jego prochy.
Lecz jak okropna śmierć młodéj dziewicy!
Anielskim niby ożywiona duchem,
Kiedy ją ogień dokoła obchodzi,
Boleści żadnym nie zdradziła ruchem,
Bez jęku prochem opadła do łodzi.

XVII.

A Lambro w morzu przechował się cały,
Do korsarskiego dopłynął okrętu;
Przywołał pazia, i napół omdlały
Padł na kobierce, mówił, a z odmętu
Myśli zburzonych płynie mowa skora,
W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita....
Mówił do Pazia: „Już pora! już pora!
„Zmienić banderę... ale czy powstaną?
„Gdy krzyż na czarnéj banderze zaświta,
„Może powiedzą: szalony! za rano!
„Więc dla niczego tyle znieść męczarni?
„Paziu! idź w góry, gdzie się klefty kryją,
„Do marmurowych zazieraj kawiarni,
„I pieśń im śpiewaj, i zobacz, czy żyją?
„Zobacz, na grobach czy płaczą mściciele?
„Lecz wróć jak zwykle lać napój makowy,
„O każdą kroplę napoju się spierać;
„Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,
„I ciężar myśli... wypiłbym za wiele.
„Dzisiaj chcę marzyć dłużéj, i spać dłużéj,
„Ale żyć muszę, z Grekami umierać...
„Idź, dobre wieści przynieś mi z podróży...“
Poszedłem...

Śpiewak cały się zapłonił,
Czuł, że się słowem nieroztropném zdradził;
Kryjąc zmięszanie, silnie w lutnię dzwonił,
Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.
Obejrzał koło Greków... myśli czyta.
Zaśmiał się gorżko, rzucił wzgardy okiem
I wyszedł... Za nim śpiesznym wyszła krokiem

Jakaś Greczynka zasłoną okryta.
Może ciekawa pieśni tajemnicy
Za odchodzącym paziem zawołała?
Potém z nim długo, długo rozmawiała
Na osrebrzonéj księżycem ulicy.
A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,
Snać gorącymi prosiła go słowy...
Musiał zezwolić, bo na jego ręku
Błysnął księżycem pierścień brylantowy.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje; jak w piekła krainie
Mrok był ognisty i cisza grobowa,
Piekło to było... i te same słowa,
Co na piekielnéj wypisane bramie,
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją;
Bo kto tu wejdzie, żegna się z nadzieją.
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny.
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,
Choćbyś wrażenia powiązał łańcuchem,
To się rozprysną, ogarnąć nie mogą
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,
Pojęty tylko jednym zmysłem — trwogą.
Jest ktoś w kabinie, bo chociaż wśród cienia
Nie widać kształtu żyjącéj istoty,
Lecz słychać często ciężkie odetchnienia.
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy;
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgryzoty,
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

II.

Paź wszedł, postawił na stół lampę kryształową.
Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,
I zadrżał, bo to światło z marzenia go budzi,
Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,
Co widząc blade czoło, o szaleństwo woła.
Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła,
Twarz jego jakby z kruszcu łamała się twardo,
Malowana na przemian śmiechem, bolem, wzgardą;

A potém się w bezwładną spokojność przybrała —
Jeśli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.
I spoczywał bezwładnie, na stole oparty,
Przed nim rozwite świata znajomego karty,
Cała ziemia, ramieniem Lambra opasana,
Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.

A te ściany są krwawą powieścią korsarza.
Lampa, co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,
Świéci zbrodni, jak niegdyś przyświécała Bogu.
Tam daléj blask księżyca rzucony na progu
Odbłyska jakby kawał śniegu błękitnawy.
I różne pawilony, z obcéj wzięte nawy,
Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.
A tam, lampa oświéca pergaminu kartę,
Firman złotem w sułtańskie ustrojony słowa;
Na nim jak pieczęć ż wosku leży trupia głowa,
Od sułtana samego głowy mało mniejsza,
Żółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.
Daléj złotem wybite, krwią rdzawe oręże,
Nad czarami ze spiżu okręcone węże
Zginają kark do czary po szczątki trucizny.
Z tych ścian wyczytaj zbrodnie wygnańców z ojczyzny;
A sumieniem kajuty są ścienne zwierciadła,
Których powierzchnia parą wilgoci pobladła,
I co dnia zasłonami grubszymi ciemnieją,
I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją.

Czasem słychać szum morza, czasem cichość głucha.
W ciszy korsarz podnosi blade czoło — słucha.
Jego myślom, w dalekie rzuconym zawody,
Odpowiadają dźwiękiem krople morskiéj wody,
Co ze szczelin sączone dźwięk wydają szklanny,
Jak płacz łzawy dalekiéj w cytrynach fontanny.

III.

Czegoż paź czeka? — powinien co nocy
Podawać czarę, w niéj napój makowy.
Bo Lambro, co dnia bladszy, o północy
Szaleje trucizn namiętném piciem;

I życie mieni na sen gorączkowy,
Sen tak jasnymi grający barwami,
Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.
I co dnia czara, o kroplę pełniejsza,
Te same widma i sny mu dawała.
A choć twarz bladła, źrenica świetniejsza,
W ciemność wlepiona, krwawa, potém biała,
W krainę duchów biegła — i wracała
W krainę myśli... wtenczas cierpiał, szalał,
Żebrał u pazia trucizny nad miarę,
Lecz paź jak dziecku groził, nie pozwalał,
I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła,
Paź jak zazwyczaj nie podaje czary?
I korsarz milczy, choć mu twarz pobladła;
Snać, że się lęka ze wspomnień zwierciadła
Zamglić szaleństwem gorączkowéj mary
Owego widma płonącéj fregaty,
Co stoi przed nim pełna jęków, wrzasku
Przeraźliwego, wśród płomieni blasku,
Dotknięta palcem anioła zatraty.
Więc nie chce trucizn, ale czy wytrzyma
Przez noc zwyczaju przełamać narowy?
Obłąkanymi spogląda oczyma,
Wstał — i na pokład wyszedł okrętowy.

V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy
Niepełnym żaglem brał wiatru pieszczoty.
Powietrze szkliste, pełne tajemnicy,
Księżycowego blasku i tęsknoty.
I tak się błękit ochylił do koła,
Że maszt najwyższy, schylony u szczytu,
Nie śmiał jakoby wznieść dumnego czoła
Pod kryształowém sklepieniem błękitu.
A w drżącéj fali jak srebrne delfiny
Igrały w koło blaski księżycowe,

A daléj mgłami błękitne krainy,
Archipelagu wyspy cytrynowe,
Na widnokręgu nieraz czarna skała,
Albo w lodowéj — albo w gwiazd koronie,
Przejdzie przez księżyc — i we mgłach zatonie.
I nieraz z szumem fali doleciała
Pieśń, którą słowik napełnia ogrody;
I róż woniami, co na brzegach kwitną,
Nieraz wiatr drżącą falę zakołysze.
I wszystkie barwy topią się w błękitną,
I wonie w zapach tajemniczy wody,
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza
Długo, ciekawie śledzi rysów lica...
Twarz jego straszną bladością przeraża,
Pobłękitniała od blasku księżyca.
Odeszli... Lambro osłoniony w żagle
Patrzał na morze, na odległe skały,
I patrzał długo, dumał... potém nagle
Zachwiał się, chylił i upadł omdlały.

VI.

Wnet go tłum majtków dokoła otoczy...
Blady był strasznie, napoły nieżywy.
I paź krzyk wydał z piersi przeraźliwy,
Gdy omdlałego przyniesiono pana.
Lambro zbielałe na krzyk podniósł oczy,
Twarz mu roztlała, śmiercią obłąkana.
Otworzył usta — mówił nieprzytomnie:
„Kto tutaj jęczał, kto tu płakał po mnie?
„Jeden znam tylko taki głos na ziemi,
„W płaczu z miłosnym pomięszany dźwiękiem.
„Pazia, płakałeś łzami nie twoimi,
„Ty mnie zabijesz takim drugim jękiem!
„Ten jęk dziewicy posłyszany we śnie
„Dziwnym połamał myśli moje kształtem;
„I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem
„Z letargu wstałem... gdzież ona?... tu była!
„Nie, tu paź tylko. Jakże mię boleśnie

„Noc ta urokiem ciszy przeraziła!
„Noc księżycowa, czemu nie ciemniejsza?
„I noc przeklątem i morza zwierciadło.
„Morze tak ciche, czemu burz nie miało?
„Gdy w nie patrzałem, moje czucie mdlało,
„Patrzałem w czucie, moje czoło bladło,
„I mgły na serce spadały jak śniegi.
„Lecz to minęło... niechaj noc przemarzę.
„Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,
„Niech wiem przynajmniéj, że w obfitéj czarze
„Śmierć trzymam pełną, dotkniętą ustami;
„Nie spełnię całéj, chociaż drżącéj ręki
„Nikt nie odchyli prośbą ani łzami,
„Lecz nie chcę skonać, póki ziomków jęki
„Będą pacierzem i grobu hymnami."

Wnet paź, posłuszny rozkazowi pana,
Podał mu czarę i odstąpił krokiem.
A czara była kształtnie dłutowana,
Niepełna z roślin wytłoczonéj śliny;
Chwycił ją Lambro i pożerał okiem,
Blady na czole i na ustach siny.

VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita;
Z czoła zasłony opadają mgliste,
W źrenicy płomień obłąkania świta,
Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,
Że można było przejrzeć w nie daleko,
Straciły barwę — stały się iskrami,
I gorączkową rozpalone spieką,
Kryształowymi pokryły się łzami.
A potém czoło wsparł na drżącéj dłoni,
Oczy nie miały wzroku, choć bezsenne,
I wszystkie żyły wybłysły na skroni,
Jakby gałązki bluszczu powiązane;
I wszystkie włosy jak liście jesienne
Drżały na czole wiatrem nie rozwiane;
I w marmurowéj na pozór postawie
Rozkołysanie widać zmysłów piane.

A o czém inni śnią, widział na jawie,
Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały
Rozcięte widma jedném życiem drgały.

Ciszéj! bo właśnie teraz sen czarowny
Rzucił go lotem po nieba błękicie...
Dzikiéj rozkoszy urok niewymowny
W nagloném tchnieniu zamknął zmysły, życie,
Słowo poczęte śmiech porywa, łamie,
I śmiech poczęty w odetchnieniu kona.
Bo to nie skrzydło, ani silne ramię
W lekkiéj powietrza pławiło go fali;
Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Stanął i nagle tysiące błyskawic
Wieńcem ognistym mignęły do koła.
Rzekłbyś, że tysiąc zamachniętych prawic
Wiało tysiącznym mieczem archanioła.
Pogasły, w błękit stopiły się ciemny,
Tak przezroczysty, głęboki, tajemny
Jak nieskończoność... I słychać szum morza.
Potém z ciemnego błękitu przestworza
Wykwitał mglisty obraz sennych czarów.
I gmach z tysiącznych złożony filarów,
Lekką jasnością w powietrzu skreślony,
Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony
Po całém niebie. A jedna połowa
Uwiana była z promieni księżyca,
Jasna i blada, jak noc księżycowa,
Cała w przezroczu błękitnawo szklista;
A druga strona posępna, ognista
Jak piekło. Wielkie zwierciadło egidy
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;
Pod niém schylone duchów karyatydy,
Dwubarwnym światła uwiane promieniem,
Z bliska ogromne, jak ciemni szatani,
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,
I coraz dalsze, i coraz świetniejsze,
Jak mgliste gwiazdy niknęły w otchłani.

A Lambro nie śmiał tchnąć, bo choć wyniosła
Była duchami otoczona sala,
Lecz taka lekka, że powietrza fala,
W otchłań człowieka tchnieniem potrącona,
Możeby duchów kolumny rozniosła.
Więc stał i tchnienie połykał do łona,
By czarownego nie zamglić zwierciadła.
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,
Kleftów oddawna pomarłych widziadła;
A wszyscy w gmachu wplątani promienie,
Bladzi — posępno-srebrni lub ogniści,
Lekcy i liczni, jako chmura liści
Wiatrem zwichrzona, wiązali się w tłumy.
Ale dotknięci żywego oczyma
W twarzach zdradzili wiele ziemskiéj dumy.
Widać, że znaczni rysami Kaima
I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów,
Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów;
I przed oczyma Lambra, napół sini,
Napoły lśniący od złota, szkarłatów,
Ziemskimi barwy, jak oazis kwiatów
Stali na srebrno-ognistéj pustyni.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,
Milionowe patrzały nań duchy;
I tak go w spojrzeń zakuli łańcuchy,
Że nie mógł zamknąć oczu — i na czole
Palące uczuł znamię duchów wzroku,
I drżał, gdy szmerem rosnącym potoku
W ciszy setnymi głosy zawołali:
„Czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali?“

VIII.

Straszna twarz Lambra łamana cierpieniem —
Otworzył usta, chciał mówić, i nie mógł...
A potém słowo złamane westchnieniem
To słowo „żyję“ rzucił z głębi łona...
I wstał z dywanu, wyciągnął ramiona,
Widać, że walczył ze snem i sen przemógł.
Spojrzał w około... „Paziu! daj mi czarę;

„Za mało trucizn zapalonych piłem,
„Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem...
„Że nie zginąłem, życie mam za karę;
„A to piekielna kara niebios — życie...
„Być w świecie dźwiękiem rozwiązanéj struny,
„Co razi serca tonące w zachwycie!
„Być jako wieko przysypanéj truny,
„Co zrazu każdéj garści zapomnienia
„Posępnym, głuchym jękiem odpowiada;
„A potém milczy... Paziu, chcę marzenia!
„Léj mi trucizny, pić będę — pić będę,
„Póki się wszystkich myśli nie pozbędę,
„I téj ostatniéj, co serce przejada.
„Paziu, daj czarę...“

„Próżno błagasz, panie,
Téj czary żadna nie zdobędzie siła;
Bo dziś, jak niosło twoje rozkazanie,
Jam czarę (kłamał) do morza wrzuci...“

Nie skończył, Lambra przerażony wzrokiem,
Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,
I pochylony naprzód stąpił krokiem,
Patrzał w twarz pazia i krzyknął: „to ona..“
O nie! to widmo z piekielnéj otchłani,
To mi upiora przysłali szatani,
Aby tak za mną wiecznie szedł po świecie...
Ha! wy anieli piekieł! wy nie wiecie,
Że ona żyje, i tylko dziś rano,
W jéj szaty lalkę ubrałem słomianą;
I tym podstępem omyliłem straże,
Palnego statku Turcy nie poznali...
O! gdyby ona spłonęła w pożarze;
Chciałżebym z morskiéj wynurzyć się fali?...
Pocóż to widmo?... we mnie, lub koło mnie
Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarze
W jéj twarz się mienią? paziu! chodź tu do mnie,
Chodź! niech przy lampie...“

Lecz paź nieprzytomnie
Nalewał napój w pozłacaną czarę,

I z drżącéj ręki nieliczonych wiele
Kropel trucizny upadło nad miarę.
I szedł zachwiany i stąpał nie śmiele,
Jakby od blasku ręką zakrył oczy;
I tak przed lampą stanął, że ją cieniem
Swojéj postaci nachylonéj mroczy...
Lambro miał usta spalone pragnieniem;
Oczy, sennymi tłoczone ciężary,
Z oblicza pazia upadły w głąb czary.

XI.

Wypił. Wnet całe spłonęło mu lice,
W tym blasku, w oka obłąkanym rzucie
Nieodgadnioną widać tajemnicę;
Jakby niepewne boleści przeczucie.
Znów mu się senne ukazały barwy:
Ciemno-ognista i miesięcznéj bieli;
I znów te same widział kleftów larwy.
Stanął w ich kole, słuchał, lecz milczeli.
A przed kleftami stali dwaj anieli:
Jeden, ognisty jak piorunu strzała,
Bezkarnie wzrokiem człowieka nie tknięty,
Był w Lambra myśli jako płód poczęty,
I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.
Drugiego istność księżycowa, biała;
Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.
Widać, że kiedyś był Boga aniołem,
Lecz barwy skrzydeł spłowiały, pobladły,
Musiał je zrosić ów anioł upadły
We łzach człowieka nad świata padołem.
Ma w ręku czarę, z któréj błękitnawy
Płomyk wytryska i lice mu bieli...
I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli
Śpiewali razem hymn straszny i krwawy.

HYMN ANIOŁA.

Falo ludzi! falo ludzi!
Przewracasz się, pienisz — i mętna
Bez wiatru usypiasz... któż ciebie obudzi?
Czy sława paląca, czy miłość namiętna!

Falo ludzi! falo ludzi!
Przed tronami niższa czołem,
Przerzedzona mieczem wroga!
Gdy chciałaś się modlić i modlić do Boga,
Modliłaś się do mnie, jam zemsty aniołem.
O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu
Na ustach zmarłego... Ja stoję przy grobach,
Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach,
A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,
Wzywają mnie więcéj, i więcéj niż Boga.

Płynęła od wschodu
Szarańcza złowroga;
Niszczona od głodu,
Na Stambuł upadła;
Z téj chmury lazuru,
Jak ciemne widziadła,
Wybiło się wieży tysiące;
I rzekłbyś, że wielkie olbrzymy milczące
Szarańcze rozgniotły stopami z marmuru.

A potém te mrące na głazach owady
Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jéj była.
I gryzły bezsilne z marmuru posady,
I marły — a mrących myśl we mnie ożyła.
Myśl zemsty mrącego narodu.
A kto chce iść za mną, gdy nie śmié lud cały,
Na inne uczucia niech lice ma z lodu;
Gdy lud będzie milczał do zemsty nieśmiały,
Gdy grobów gęściejsze porosną cyprysy,
Gdy głośne łez będą rozpacze,
Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,
Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;
I będzie go zgraja przeklinać spłakana,
Że z nimi na grobach nie płacze.

Wylany ze łzami
Mój duch obumiera,
Mnie światło dnia plami,
Mnie księżyc otwiera
Jak kwiaty, co kwitną nocami.

Ja czekam, aż Turki wychodzą z meczetu,
I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte.
Ja jestem modlitwą na stali sztyletu.
Ja mieczem ognistym anioła
Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,
Co o krew woła.

HYMN ANIOŁA.

Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wrące powietrze
Drży przebiegane falą żółtawą płomyków,
Tam ja byłem na spiekłym urodzony wietrze,
Tam jak szakal pilnuję gryzących się szyków.
A kiedy trupami pustynię pokryją,
Nim księżyc się w niebie wysrebrzy dwa razy,
Szakale nocami pieśń sławy im wyją,
Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy,
I lecę ich żony zabijać i dzieci,
Ażeby nie długo umarłych płakały.

A moje skrzydło krwi plamami świéci,
Ani ich w morza opłóczę kryształy.
I lecę miasta zamieniać w pustynie;
A w miastach ludzie czują, że ja lecę
W srebrno-błękitnéj, w nadpowietrznéj rzece,
Co nad krętymi ulicami płynie.

Z sułtana powracam ja grodu;
Sto głów dziś sułtański ściął miecznik;
A każda na postrach narodu
Z bram miasta jak żółty słonecznik
Spogląda za słońcem zachodu.
I oczy wlepiły w mgłę białą,
Co kraj im rodzinny zakrywa;
I każda się zda jakby żywa —
Krwią płaczą, gdy łez im nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem,
Mścijcie się, rzekłem, dam broni...
Czarnym zarazy łańcuchem
Sułtańskie grody związały,

W meczetów zakradły się woni.
Za bramy wybiegł lud cały,
Na bramach była zaraza;
Lud martwe dał jéj pokłony.
Głowy, jak królów korony,
Świécą na słupach z żelaza,
I mają poddanych — trupy.

Z syryjskimi łupy
Ja okręt przez wały
Po morza błękicie
Do portu zawiałem.
I stał oniemiały,
Nie spuścił szalupy,
A na żaglu szczycie
Nad cichymi trupy
Ja anioł siedziałem.

Lud widząc bitny
W grobów popiele,
Chciałem, by groby otwarli.
Złoty aniele!
Rzekli umarli,
Weź z naszych grobów płomyk błękitny
I mścij się za nas... Duch grobów wziąłem
I lecę mściwy,
Bo lud nieżywy
Nazwał mnie zemsty aniołem.

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia.
Lambro je we snach gorączkowych składał.
Hymn ostatniego tak rymami spadał,
Jak gdyby w piersi marzeń brakło tchnienia.
Wstał, chciał się zbudzić, lecz padł na dywany;
Usta mu tylko drżały blade, sine,
Jakby chciał mówić — i wzrok obłąkany
Przebiegał marzeń zamgloną krainę.
A jego twarzy powleczonéj w bieli
Nawet szatani marzeń się przelękną.
I rzekł: „O Duchy! o ciemni anieli!

Wyście mi zemstę malowali piękną,
Jak najpiękniejszą ze wschodnich Odalisk,
Bo w mojém sercu miłość zapaliła.
Choć sny wygasną, ona będzie żyła,
Dla niéj utworzę, pośród myśli zwalisk,
Krainę czucia, brylantowy Eden...
I nie sam będę... choć klasztorna krata
Już mię na wieki rozdzieliła z Idą...
Szalona zemsta!... burzę świat sam jeden.
Mamże być znowu piekieł Danaidą,
I krew lać wiecznie do téj czary świata,
Co się krwią nigdy napełnić nie może.
Czyż się bezemnie sam nie zemścisz, Boże!
To są anieli twoi... ci... przedemną,
Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną,
Całą na czołach ogniem wypisaną,
Ale nie mogę wyłamać z niéj słowa.
Słuchajcie, ludy, mścić się nie za rano...
Nie... dziś nie mogę, dziś mi cięży głowa...
Jutro — dziś w marzeń upływam potopie...
Jutro. Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką... potém tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,
W czarze z kryształu, i dam czarę ludom...
A one może w chwili obłąkania
Odepchną czarę... wieczna im mogiła;
Jeżeli czarę od siebie odrzucą,
Jeżeli usta dlatego odwrócą,
Że się w krwi ludzkiéj myśl ta roztopiła,
Chociaż tak była bezcenna i droga,
Że o niéj dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.
Lecz niech ją pojmę, niech przeniknę jasno,
Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów
Zemsta człowieka i zemsta narodów...
Jest w sercu... w myślach... moje myśli gasną...
Znów mię ogniste porywa marzenie;
Widzę je sercem i okiem zamkniętém.
Powietrze zda się wielkim dyamentem,
W którym kolory grają i płomienie,
Szatani! o ciemni szatani!

Jak płyną wirem obrazy!
To mój okręt korsarski na ciemnéj otchłani
W skrzydlate widmo się mieni;
A z prawéj strony anioł zarazy,
A z lewéj anioł ognisty,
Liny z promieni...
I morza obrus błękitno-szklisty
Nie łamie się w pianę pod statku piersiami,
I okręt białymi nie szumi żaglami;
I tylko czuję, że płynę,
Jak duchy w północną godzinę,
Posępny, okryty mgłami.
I mgła błękitna pobiela
Uciekające wstecz brzegi,
Topią się, nikną jak śniegi.
Znów widne... tam palma drżąca,
Jako kapłan Izraela,
Do cichéj twarzy miesiąca
Wznosi dłonie, twarz odwraca
I mówi modlitwy szmerem.
Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,
Odbłyskiem swego lica ciemny brzeg pozłaca.
Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,
I brzeg cały przeraża pożarów ogromem,
Tylko czarne cyprysy, niedotknięte gromem,
Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny...

A tam... Kolonny wybrzeże,
Białe posągów narody.
Wśród kolumn tureckie wieże,
Na gmachach las ostów szumi,
Jak Babilońskie ogrody,
I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumi,
Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.
A tam, gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa,
Wybłyska jedna, druga i czwarta kolumna;
Szczęty gmachów Jowisza ścięta mają głowę.
Jakaż to jaskółka dumna
Na te gzemsy marmurowe
Zaniosła gniazdo? — skonała

W tych gmachach wiara i chwała,
A ta jaskółka nie skona?
O nie... to chata Santona
Na gzemsów zawisła szczycie.
Posępna w około cisza...
Przed chatą postać derwisza
W nieba skreślona błękicie,
Jako posąg nieruchoma...
Modli się... depcąc świątynie."

Lambro marzył... a w twarzy zgryzota widoma
Czerni się, i łza wstydu po licach mu płynie.
Patrzał w anioła zemsty w anioła zarazy,
I oba stali cicho, posępnie jak głazy,
I w ich postawach ogień potępieńców bladnie.
„Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie"
Rzekli... i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala, okryta mgłami
Turków stolica w Bosforze.
Tysiące gmachów, meczetów,
I tysiące minaretów,
Jakby złotymi głoskami
Jakiś napis alkoranu
Pisały w nieba błękicie.
Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu,
Anioł zarazy siada na sofijskim szczycie.
I patrzy na stolicę... Gdzież sen mój? ciemnieje.
Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,
W którém czytałem wszystko na te oczy.
Rozbić musiałeś, bo wszystko tak mgleje,
Czerni się, pierzcha, rozbija, pobladło.
I coraz grubiéj wzrok mi się zamroczy,
Tak, że nie widzę nic prócz myśli własnych.
O męka! męka! z tych obrazów jasnych
W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma.
O jak głęboko pośród myśli tłumu
Wzrok mój zabiega, jeszcze dna nie trzyma,
To wzrok ocknienia... to promień rozumu
Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty..."
Tu korsarz zamilkł, sam w sobie zamknięty,

Długo na łożu leżał rozciągnięty,
Potém się zerwał, krzyknął: „jam otruty.“

X.

Zrazu się wahał i myśli przędziwa
Żadnymi na jaw nie śmiał wydać słowy,
Jakby się lękał, aby śmierć skwapliwa
Nie rozwiązała wpół zaczętéj mowy;
I widać było, jak na jego czole
Ze snu chmurami łamały się bole.
Chwyta za sztylet złotem wybijany,
A tak był drżący, że go ledwo dźwignął;
I krwi gwałtownem rozigraniem chwiany,
Nad bladym paziem dłoń wzniesioną trzyma.
Palił się cały, potém cały stygnął...
Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.
„Paź błękitnymi ściga mię oczyma,
On ma twarz Idy, zabić go nie mogę!
Idź w świat, tam ludzie wszyscy ciebie godni,
Obłudą w serca wkradaj się tajemnie;
Ty się odemnie nauczyłeś zbrodni,
Na Boga, szczęścia nie ucz się odemnie!
Idź, weź to złoto... może niém zapłacisz
Za snu godzinę, za czarę trucizny.
Weź i tę czarę, wśród domowych zacisz,
Jeżeli kiedy dożyjesz siwizny,
Niech do téj czary twoje dzieci własne
Cypryjskich jagód nalewają wina;
A może zaśniesz, jak ja teraz zasnę.
Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,
Śmierć od trucizny, bezsławna i marna
I nadto wczesna... Głębi mego łona
Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,
Dał samobójczą myśl: ta wykarmiona
Rosła jak bujne, głuszące rośliny,
Stała się zmysłem duszy, rozkwitała.
Czekałem tylko szczęśliwéj godziny,
A wtenczas dusza, rozwiązana z ciała,
Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń
Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.

Wtenczas koło mnie stałyby w około
Z grobów wezwane dawnych druhów twarze.
Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,
Niechby widzieli, że śmierć była w czarze;
Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem
Śledzili we mnie męstwa, niedostrzegli..
I dziś, dziś jeszcze nie wszyscy odbiegli.
Widzę ją, widzę, tam, z błękitném okiem,
O nie! to szatan ubiera w mgłę ciemną
Takie obrazy. Wściekłość mnie porywa!
To paź... to ona... martwa... jeśliś żywa?
Ja konam! konam! chodź ze mną! chodź ze mną!
Paź upadł we krwi. Lambro drżący, blady,
Zbył w nim sztyletu, szedł — i niezatarte
Stopami krwawe powyciskał ślady,
Pot miał na czole, usta wpół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przeklęci.
Na czole myśli biegające tłumem,
Niepowiązane czuciem i rozumem,
Zlały się w ciemną niepewność pamięci.
Niepomny zbrodni, którą był wykonał,
Sennymi słowy trzykroć pazia woła;
Paź jeszcze słyszał, podniósł nieco czoła,
Westchnął głęboko, chciał mówić i skonał.
Lambro spalony truciznami bladnie,
Potém się drżący przyczołgał do stoła,
Chwycił za czarę, w czarze znalazł na dnie
Męty napoju — wypił je i ożył;
I sen od powiek na chwilę oddalił,
Śmierci przyśpieszył, lecz marzeń przysporzył;
Jak lampa blaskiem ostatnim się palił.

XII.

„Oto mój żywioł, ta ciemność ponura,
Już do otchłani myśl moja należy.
I nieskończoność, jako ciemna chmura,
Świat opłynęła; myśl gdy w nią pobieży,
Wraca zbłąkana i znów się zamyka

W sennych marzeniach, moja nie wróciła....
Już nie mam myśli, odbiega mnie — znika.
Raz nad świat wzbita, nie jest częścią świata.
Zna nieskończoność, znała piekło, żyła.
Niech jak zabójca pierworodny brata
Leci płomienną naznaczona blizną,
W małéj z początku żywiona iskierce,
Kiedy w popioły obróciła serce,
W proch się rozpadło dotknięte trucizną...

. . . . . .

O jak tu ciężko... poco pod sklepienia
Zamknięto kwiaty? ta woń kwiatów nudzi!...
Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia,
Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.
Rozbić te okna! rozbić szklanne stropy!
Czy mi się zdaje? zali w tym wazonie
Rosnące róże i heliotropy
Podobne z siebie jak krew dają wonie?

. . . . . .

Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie:
Sławę... i zbrodni przebieżone stopnie,
I krew — o sława! sława! to okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie.

. . . . . .

Wyście mnie wpletli w koło Ixyona,
Wyście się po mnie wiele spodziewali;
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumu zanurzony fali
Nie mogłem czoła wznieść nad tłum, cierpiałem.
Precz, ludzie... dajcie spokojnie mi zasnąć!
Ha! i ta lampa chce zemną zagasnąć,
Świéć, blada lampo, kiedy ja się mroczę,
Świéć i świéć jutro nad korsarza ciałem...
Dotknąłem lampy i całe przezrocze
Krwią poplamiłem. Tu wrogi być muszą ..
Wpadli na pokład i krew się rozlała.
Słyszę nad głową, jak się deski kruszą,
Jak pierś okrętu rozbijają działa.
Chodźcie tu wszyscy, choć mam twarz pobladłą,
To nie od trwogi... Chodźcie wszyscy razem!

Jeszcze nad głową powieję żelazem...
O jak mi ciemno!... więc wszystko przepadło?
Przekleństwo temu, co pomiędzy tłumem
Jękiem rozpaczy przeraźliwie wrzasnął,
Przekleństwo fali, co z piekielnym szumem
Drze się, szczelinę rozwierając kruchą.
I okręt z głębi łona westchnął głucho...
W głąb idę . . . „Upadł na dywan i zasnął.

XIII.

Lampa zagasła. A korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki...
A teraz... słychać tajemnicze kroki,
Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty
Wchodzi ostrożnie w krainę męczarni...
„Cicho? rzekł, cóż to oboje uśpieni?“
Więc nieco tajnéj otworzył latarni,
Rzucając kołem kilka mdłych promieni.
A gdy te biegły po ścianach komnaty,
Gdy od zwierciadeł wróciły przezroczy,
Widać przechodnia... Pazia nosił szaty,
Do zabitego szat podobne krojem,
I równie bliski postawą jak strojem:
Ale miał czarne, jak noc czarne oczy,
I mniéj był młody i piękny na twarzy;
Bo na niéj uśmiech i bladość korsarzy,
Jako na miękkim wosku odciśnięte,
Świadczą, że bolem przed latami dojrzał;
Że miał już serce na czucia zamknięte.
Stał, słuchał chwilę, potém ku drzwiom spojrzał,
Chcąc niezgłębioną rzucić tajemnicę,
I tak jak ludzie niepewnością chwiani,
Znów się odwrócił, z potu otarł lice,
I wołał coraz głośniéj: „Pani! pani!“
Już ranek świta... Pani! o na Boga!
Uciekaj ze mną, korzystajmy z cieni . . .
Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga,
I on się zbudzi... korzystajmy z mroku...
Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,
Za sto pierścieni nie chcę czekać kary,

Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,
Bo on jak człowiek, on się mści bez miary.
Pani! odpowiédz... chwil mamy nie wiele...
A korsarz... Cóż to? podłoga zroszona,
I krew... na martwém spotknąłem się ciele.
Lampę odkryję... O Boże! to ona!
Sztylet ma w piersiach, to ona — zabita."
Umilkł, tysiączne uczucie nim miota,
Martwy z przestrachu, przerażeniem ożył.
Spojrzał przez okno, krzyknął: „świta! świta!"
I z obłąkaniem chwycił za wór złota,
Wybiegł i rygle za sobą założył.

XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu
Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy;
Deszczem spadały do morza błękitu,
Inne blask zorzy płonącéj pochłonął.
Lambro otworzył mgliste snami oczy;
Połową czucia jeszcze we śnie tonął,
Połową myśli sen przenikał zdradny,
Rozkołysany pośród burzy wrażeń.
Lecz boleść była nicią Aryadny,
Po któréj wyszedł z labiryntu marzeń.
A szatan ciemny, co się karmi łzami,
Skąpy swych darów, żadnych nie uronił;
I chwil boleściom ukradzionych snami
Większém cierpieniem i bolem dogonił.
Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,
Lambro krew ujrzał, stał nad martwém ciałem
I rzekł: „sztyletu głowicę poznałem.
To jam go zabił, to mój sztylet własny.
Boże! czyż w świecie byłem tak splątany
Z tym tłumem ludzi? że nawet samotny
Umrzeć nie mogę; ale w tłum wmieszany
Konam — i ludzie koło mnie padają
Jak oberwany z drzewa liść stokrotny.
O! boleść! boleść! umierać ze zgrają,
Jak pod gruzami zawalonéj ściany!
Gdzie nawet śmierci ostatnie westchnienie

Głośnymi jęki ludzi zagłuszone;
Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie
Nie na człowieka, lecz na tłum upada...
Wzniosę ten zawój, pióra zakrwawione,
Ujrzę twarz pazia czy mściwa i blada?

XV.

Lambro schylony z drżeniem i nieśmiało
Zdjął zawój pazia ze strusimi pióry...
I uderzony jak gromem, o mało
Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma
Na pół otwartéj źrenicy lazury.
Upuścił zawój, sztyletu się ima...
Potém przypomniał śmierć, sztylet odrzucił...
Bo miał na ustach gorycze napoju.
I z obłąkaniem odszedł i znów wrócił,
I znów rękami od śmierci drżącymi
Zdejmował zawój; wtenczas z pod zawoju
Włos uwolniony sypał się po ziemi
Ze smutnym szmerem, i dokoła twarzy
Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.
Okropny widok! Ta krew, co się warzy,
Co poplamiła jéj szat axamity,
Na twarzy smutek i miękka omdlałość
I przezroczysta alabastru białość;
Kilka uwiędłych kwiatów w martwéj dłoni
Trzyma na piersiach, a drugą dłoń dała
Jak śpiące dziecko za węzgłowie skroni,
W takiéj postawie martwa, jakby spała.

XVI.

Siły korsarza na pomoc zwołane,
W serce wrzucone, z boleścią się łamią.
On tak jak ludzie, co przed sobą kłamią
Moc wielką duszy, wstydzi się cierpienia.
A gdy mu własne serce zlitowane
Niosło jałmużnę łez i użalenia,
On ją odrzucił, on sercem hartownie
Boleści ciała brał i nie wydawał.
Ale po chwili, nowych cierpień nawał

Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.
Straszna to boleść! rwał na czole włosy,
Ręką bił w piersi i krwawymi ciosy
Rozdzierał w bojach odebrane blizny.
Skądże ta rozpacz? oto w głębi łona
Uczuł niknące cierpienie trucizny,
I myśl okropna, że siłami ciała
Bole zwyciężyły — trucizny pokona,
Że się wyłamie śmierci — zabijała.

„Tak, rzekł posępny, pochowam ją święcie
W grób mój rodzinny, w ciche fal błękity.
Sam dałem rozkaz, aby na okręcie
Pod tą zasłoną pawilonu krwawą
Nie przeszła stopa ani cień kobiéty...
Miałżebym pierwszy łamać dane prawo?
Mogliby ze mnie urągać niegodni!
Przed nimi trzeba kryć wszystko, prócz zbrodni.

XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,
Siadł nad cichymi morza zwierciadłami.
Morze się lśniło ciemno-lazurowe,
Złociste słońcem, osrebrzone mgłami;
I wiatr po żaglach okrętowych szumiał.
Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki,
I długo z martwą rozstać się nie umiał.
To patrzał w odmęt ciemny i głęboki,
To na jéj lice zwracał smutne oczy;
A wiatr mu ranny przesłaniał oblicze
Mgłą rozwiewaną jéj długich warkoczy;
Wtenczas czuł włosa wonie tajemnicze,
I dumał długo cichym wspomnień żalem.
Ani go zmarłéj twarz raziła zbladła;
Na płeć jéj niegdyś płonącą koralem
Śmierć bledsze barwy, ale piękne kładła.
Widząc jej kształty, zda się, że upadła
W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;
I tylko drżąca tuli się do łona,
O nadto skore rozstanie lękliwa.

Zda się, że szumem morza przerażona,
Od grobu lice odwrócone trzyma;
I z okiem Lambra wiąże się oczyma,
I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.
O! patrząc na nią, musiał czuciom kłamać,
Jeśli łzy nie miał na cierpienia nowe!
Gdy przyszło z objęć martwych się wyłamać,
Odrzucić z szyi ręce lilijowe,
I twarz odsłonić z wonnéj włosów chmury,
Przebył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył...
Rzucił ją w morze i patrzał ponury,
Jak się krąg fali złamanéj rozszerzył;
Patrzał, jak odmęt zrastał się rozbity,
A martwe ciało na poły widome,
Na pół morskimi przykryte błękity,
Wzruszonéj morza fali się broniło,
Łamiąc się w kształty życiem nieruchome;
I utonęło pod morza mogiłą.

A Lambro... on był szatanem, czy głazem!
Lambro schylony nad takim obrazem
Śmiech miał na licach, wesołość na czole.
Ten śmiech ustami wydany bladymi,
To były trucizn wracające bole,
Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro milczący usiadł na dywanie,
Cały się mroczył i bladnął i gasnął.
A potém głośno w obie dłonie klasnął,
Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.
Lambro rzekł: „Majtku, niech pop okrętowy
„Zapali lampy jak o wielkiém święcie;
„I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy,
„Przy mnogich światłach, w mrocznym kadzidł dymie
„Za tych, co mają skonać na okręcie
„I co skonali...“

„Panie! jakież imię
„Wspomni w modlitwach? czyjeż gaśnie życie?“

„Powiesić pazia na masztowym szczycie.
„Za niego modły niech wzniesie do Pana.“
„Lambro! twój rozkaz spełnić się nie może.
„Twój paź gdzieś uszedł i zniknął od rana,
„Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.
„Lecz choćby w Pera ukrywał się wieże,
„Choćby się w gmachach zamykał sułtana,
„Nakarmię kruki ciała jego ćwiercią.“
„To nic... Pop niechaj odmawia pacierze
„Za konających i za zmarłych dusze;
„Teraz ty odejdź... ja sam zostać muszę,
I cicho dodał: „sam jeden ze śmiercią.“

XIX.

Oto na czarnéj okrętu banderze
Martwe korsarza spoczywają zwłoki.
Majtkowie wyszli na pokład szeroki,
I słychać było szeptane pacierze;
Szarawe kadzidł snuły się obłoki,
W dymach żółtawe płonęły gromnice.
I był to widok pięknością straszliwy,
Gdy majtki, patrząc w umarłego lice,
Cicho brzęczące zrywali kotwice,
I okręt płynął — a Lambro nieżywy
Po raz ostatni wędrował przez morze.
A skoro trzecie zabłysnęło zorze,
Umalowane czerwonymi świty,
Do fal rzucili ciało — i zniknęło...
I dział trzydzieście głęboko wystchnęło
Na bezechowe otchłani błękity.

1832.

PRZYPISY

DO POEMATU LAMBRO.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Podobna córce głazowéj Tantala
Gdy, etc.

Te cztéry wiersze są tłómaczeniem z Antygony Sofoklesa.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie
A potém chytrze bezsilnych odbiegła.

Mowa o Katarzynie Carowéj, która Greków podburzyła do powstania i zdradziła oczekujących od niéj pomocy.

..... Była to pieśń Rygi.

Sławny hymn powstańców, napisany przez Rygę, zaczyna się od słów: Δεῦτε παῖδες των Ἑλλήνων.

I miéj kalemkiar ciemny z muselinu,
Lub czewrę. —

Rodzaj zasłony kobiet tureckich.

PIEŚŃ DRUGA.

W jéj szaty lalkę ubrałem słomianą,
I tym podstępem omyliłem straże;
Palnego statku Turcy nie poznali.

W ostatniéj wojnie o niepodległość, Grecy często pod tureckie floty puszczali statki palne, napełnione lalkami, czyli tak zwanymi manekinami, aby w Turkach podejrzenia nie wzbudzić. — A łodzie takie miały pozór handlowych statków.

Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.

Obraz anioła naśladowany z Miltona.

Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy.

Zaraza, która w ostatnich czasach mściła się na Europie opuszczającéj naszę sprawę, podała mi myśl połączenia anioła zarazy z zemsty aniołem.

..... to chata Santona.

W Atenach, na gruzach kościoła Jowisza, Santon, derwisz turecki, zbudował chatę.

Korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki.

Otruci napojem opium usypiają, lecz przed śmiercią budzą się.

W SZWAJCARYI.

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki
Do téj zbawionéj, i do téj kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnymi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconéj głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic ją nie zburzy, i nic ją nie zmięsza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie, na skraju doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niéj moje oczy;

A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niéj przez kaskadę lecieć;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się — i zgaśnie — i zniknie.
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak, raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnofarbnéj bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy.
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny:
I szliśmy razem u stóp téj lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnéj ucieka.
Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blisko, złote, nieruchome,
I utopiły oczu błyskawice
W kochanki mojéj błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie.
Rzekłem: one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie
Najpierwszy uśmiech jéj przyleciał do mnie,
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczu nie mrużę,
Całą jéj białą twarz zamienił w różę.
W wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca,

Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niéj z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

V.

Raz, że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny;
Wyspowiadałem się potém z téj winy —
Słuchajcie! Oto przed Tela kościołem
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro;
Łódkę mą piersią odtrąciwszy białą...
A ja, ach nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,

Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura
Pić łzy i białe w niém obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...,
Wtém zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niéj z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia, gdzie, mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
I ja tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowéj groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole méj jasnéj królowéj

Perłami okrył wszystkie polne róże;
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Słysząc, że ściany płaczą coraz głośniéj,
Cała się szatą okryła zazdrośniéj,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchoma stała, a koło niéj
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niéj:
Ave Maria!
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętéj,
Taki rumieniec wyszedł z lica świętéj.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imię ukochane kréśli,
Lub o błękitnych jakich myślach myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody,
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy....
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy
Ta jasność słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija,
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...
Ave Maria!

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;

O! moja luba, tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiéj nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną.
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą;
I wiele nam róż do okien świéciło,
I wiele wiszeń na około rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło:
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
Łąka i szalet i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet — i róże — i nas — i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowéj woni,
I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą:
Byliśmy niczém niestrwożeni, sami,
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtém duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.
Była jak anioł, co myśli i słucha;
I nagle takim przejrzystym obłokiem

Rumieniec smutny twarz jéj umalował,
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtém nagle, w jasnéj kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętéj lutni
Stawała słuchać, tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasném wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tém źródle, co bije,
Na jasnéj łące myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,
Lilija jedna cała jasna, w bieli,
Oczekiwała, aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;

I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niéj upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszymi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie.
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichéj gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślone własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią, skarżąc się i płaczą,
Że była burza gromami czerwona,
Że była grota posępna i ciemna,
I grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiéj kary;
I skarga smutna czystych Nimf, podziemna,
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy;
I ptaszęt nas tak obudziły gwary.
Mówisz ty o tém? jak ta, co się skarży?

O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem
Z rozpromienioném na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,
I taką, jak ty, mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo, że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanéj rozwieszona chmurze.
Wyszła — i naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jednę i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie.
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojém przezroczystszą białość,
Żywszy ust koral i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcéj na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszéj źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czém cichém pomówić ze światem,

Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyanny;
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiéj chwili, ach! dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czém zapomnieć — zapomną.
O takiéj chwili z moją panią skromną
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: „chodźmy do staruszka celi,
„Może rozgrzeszy, może rozweseli,
„Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.“
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowéj chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okienice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!..
Ani jéj oczy kiedy takie ładne,
Ani jéj usta takie były świeże.
Motyla miała czarnego na głowie,
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświécony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
A pod motylem pochowane róże
Z pod czarnéj gazy patrzały ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą,

Szalet się oku wydawał jak trumna,
Maleńki, cichy; kiedym spojrzał z góry,
Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury,
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody,
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite śmierci ćwiekiem okienice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle,
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jéj zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek . . . . . .
. . . . . .

XVIII.

Gaje! doliny, łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mowić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie,
I widzę jasne błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować,
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jéj rysy,
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada

Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc, że groby o niéj co powiedzą.

XIX.

Jest pod moimi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niéj — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i — ach! nie umieram...
I co dnia budząc mnie fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jéj postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartymi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jednę ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała, lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych, różowa.

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświécą
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,

I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tém,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali... zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie.

1835.

ANHELLI.

STEFANOWI H.

NA PAMIĄTKĘ SPOTKANIA SIĘ W ZIEMI ŚWIĘTÉJ I POD GÓRAMI LIBANU.

ROZDZIAŁ I.

Przyszli wygnańcy na ziemię Sybirską, i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiéj; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny; chyba Bóg zechce...

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny, ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz, jakoby i tabor i sanie zaprzężone psami i trzoda renów z gałęzistymi rogami i ludzie na łyżwach niosący oszczepy; był to cały lud Sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu, a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach, na głowie zaś miał wieniec z wężów nieżywych zamiast korony.

Więc mocarz ów, przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi: Witajcie!

Oto ja znałem ojców waszych także nieszczęśliwych i widziałem, jak żyli bogobojnie i umierali, mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

Więc chcę być przyjacielem waszym, i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnéj i w kraju dobrze życzących.

A z ojców waszych już nie żyje żaden, oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka stąd daleko w samotnéj chacie.

Jeżeli chcecie, aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę; albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi.

Mówił jeszcze dłużéj starzec ów, i uszanowali go i zaprosili do swojéj szopy.

I zrobiono przymierze z ludem Sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jéj zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud Sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II.

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owéj zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: zaprawdę, nie znalazłem tu, czegom szukał, oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś, Boże.

Azaż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? dla czegóż ci ludzie mają ginąć?

Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój, i większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.

I pokażę mu wszystkie nieszczęścia téj ziemi, a potém zostawię samego w ciemności wielkiéj z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady, rzekł: odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy bolesnych, a wy zostaniecie sami uczyć się, jak znosić głód, nędzę i smutek.

Ale miéjcie nadzieję; bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

A to, o czém pomyślicie, wypełni się i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spróchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę... będziecie piękni,

Tak jak ojcowie wasi, którzy są w grobach; bo spojrzyjcie na każdą czaszkę ich; nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.

Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci, co przyjdą, widzieć was będą.

Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

Powiedziałbym wam, dla czego żyjecie, i dla czego się rodzą miliony dusz nowych, i na jaki cel dane jest ciało; lecz nie pojmiecie mnie!

Lecz mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszéj.

A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci. Choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.

Rzekły więc do Szamana zgraje: Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? oto mamy między sobą księży, do nich należy słowo boskie.

Na to im odpowiedział Szaman: słyszeliście o Mojżeszu i o cudach, które czynił? Jam jest Mojżesz między Sybirskim ludem, a cudy czyniłem straszniejsze, niż tamten, co przed wiekami.

A nie wyszedłże z zorzy północnéj Anioł, kiedym go wywołał z płomieni? spytajcie ludu mojego.

Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce sczerniało jak węgiel; wiele bowiem we mnie jest Boga.

Lecz nie kuście mnie o cudy; albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was cudem jest. Oto proście Boga,

Aby was wskrzesił, mówię, i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.

Tak mówił Szaman, i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem Sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz nocą obudził Szaman Anhellego, mówiąc mu: nie śpij, ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zaszedłszy, ujrzeli obóz cały małych dziéciątek i pacholąt gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A we środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dziéciątka nauczać podług nowéj wiary ruskiéj i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu, Szaman rzekł: powiedz! nie przebrałże miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka; szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

Powiadając, że Car jest głową wiary i że w nim jest Bóg i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest Duch święty.

Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić i stracę go w oczach dziéciątek.

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przelękniony koń unosić go zaczął po stepie palącego się; a potém wzdrygnąwszy się, zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owém próchnie człowieka chodziły skry... jak owe iskierki, które są na spalonym papierze, błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dziéciątkom, rzekł: nie lękajcie się; Bóg z wami.

Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciałka wasze już więdły.

I wyciągały do starca rączki owe dzieciny, krzycząc: staruszku, weź nas z sobą!

I rzekł Szaman: gdzież was zaprowadzę? oto ja idę w drogę śmierci, chcecież, abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojéj przed Panem Bogiem.

Odpowiedziały mu dziéciątka: weź nas i zaprowadź nas szerokimi gościńcami aż do matek naszych.

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą: my Polaki, odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych, aż Szaman począł płakać, uśmiechając się...

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu, i na pole płaszcza jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy Kozacy, patrzali w zadumieniu na owe dzieło; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV.

I przechodził Szaman z Anhellim pustymi drogami Syberyi, gdzie stały turmy.

I widzieli twarze niektórych więźni przez kraty patrzących się na niebo, smutne i blade.

A przy jednéj z onych turm spotkali ludzi niosących trumny, i zatrzymał je Szaman, każąc otworzyć.

Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhelli, widząc, że umarli byli jeszcze w łańcuchach i rzekł: Szamanie, oto się boję, żeby nie zmartwychwstali ci umęczeni.

Obudź którego z nich, albowiem masz siłę cudów; obudź tego starca z siwą brodą i z białymi włosami: bo mi się zdaje, żem go znał żywym.

A Szaman, spojrzawszy surowo, rzekł: Cóż więc? Oto go wskrzeszę a ty go znów zabijesz. Zaprawdę, i dwa razy go wskrzeszę i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

Lecz niech będzie, jak żądasz, abyś wiedział, że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały a znalazły nas martwymi.

Tak mówiąc, spojrzał Szaman na starca w trumnie i rzekł: wstań! A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi, jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas, Anhelli rzekł: witaj, człowieku możny niegdyś w radzie i jeden z najmędrszych.

Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczył przed władzą i czynił owo wyznanie winy, o którém słyszeliśmy?

Dla czego zaparłeś się serca twojego i przeszłości twojéj? czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cóżeś uczynił!

Zaszkodziłeś nam; albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości.

Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia.

A gdy to mówił Anhelli, stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów, jęknąwszy, umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: zabiłeś go, Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którém nie wiedział przed śmiercią.

Lecz ja go wskrzeszę raz drugi, a ty się strzeż, abyś go powtórnie o śmierć nie przyprawił.

To powiedziawszy, zbudził umarłego, i podniósł się ów człowiek w trumnie, łzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: przebacz, bom nie wiedział, że mówię obmowę i oszczerstwo.

Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim, i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwom gołębiom, które razem zlatują na proso.

Bo zaprawdę, że jak dwaj gołębiowie zlatywaliście na urnę projektów i wyłuszczaliście ziarno praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie, świergocąc o rzeczach mniejszéj wagi.

Przebacz mi, że was równam ptakom bożym i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota tak każe.

O nieszczęśliwi! oto jeden na cmentarzu Sybirskim szuka spocznienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany. Biedni gołębiowie i rozłączeni i umarli!

Usłyszawszy owe słowa wskrzeszony, krzyknął: mój brat! i powalił się w trumnie i umarł.

A Szaman rzekł do Anhellego: nacóżeś mu powiedział o śmierci brata? oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiéj.

Stało się! Niech zakryją te trumny i zaniosą je na cmentarz. A ty nie proś mnie więcéj, abym wskrzeszał tych, którzy śpią i odpoczywają.

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnéj i po gościńcach pustych i pod szumiącymi lasami Syberyi, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichéj i stojącéj wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen.

A Szaman, ujrzawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornéj, rzekł: oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

A teraz opowiada siostrom swoim na dnie, że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy, i z tego ma sławę między inszymi rybkami.

Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku.

Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozpowiadającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami, a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i sprzedawani są.

A chorobą zgubną, mówię, jest melancholia i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy.

Dwie są bowiem melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

Mówię ci o tém, albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję.

Tak mówiąc, nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi, spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu, mówiąc: Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy ci łoże w łodzi.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiéj wodzie, jakoby gościniec złoty ku południowi,

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniéj, mówiąc: oto opuściłeś nas i nie robisz więcéj cudów między nami.

Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary, i wątpimy nawet, czy jest w nas jaka dusza.

Na to Szaman uśmiechnąwszy się, rzekł: chcecież, abym duszę pokazał oczom waszym?

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: chcemy! uczyń to!

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego, rzekł: cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli, abym ciebie uśpił i, duszę twoję wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom.

Anhelli odpowiedział mu: czyń, jak ci się podoba, jestem w twojéj mocy.

Przywoławszy więc Szaman jedno dziéciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellemu, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dziéciątka:

Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowéj odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owéj dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotéj fali, wlokąc po niéj końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli, usiadł i zapytał, co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy: Panie! widzieliśmy duszę twoję i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiéj jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi oprócz słońca i nic jaśniéj migającego oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszę.

A nawet uczuliśmy woń, jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalii.

Słysząc o tém Anhelli, obrócił się do Szamana i rzekł: prawdaż to jest? a Szaman rzekł: prawda, opętanyś jest przez anioła.

Cóż więc, zapytał Anhelli, uczyniła dusza moja, będąc wolną? powiedz, bo niepamiętam.

Odpowiedział mu Szaman: oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca i uciekała w tamtę stronę jak człowiek, co się śpieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się, zaczął płakać, mówiąc: oto chciała powrócić do ojczyzny.

ROZDZIAŁ VI.

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anhellim, opuścił rybaków i odszedł w pustynie.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana jak dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców Barskich... ostatni.

Chata jego ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd gołębich i śpiewająca od świerszczów, ustronna była i spokojna.

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleby i jabłka czerwone, a potém zaczął, jak zwykle, rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nie wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi byli rycerze i nowi męczennicy; i nie chciał wiedzieć o tém, będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnéj pamięci, ale była pamięć o rzeczach, które mu się zdarzyły za młodu; lecz o dniu wczorajszym nie wiedział, i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków, które nazywają czerwcem; i z nich płacił podatek Carowi, a był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie późnéj zajechał przed chatę celnik, i napiwszy się ze dzbana, dopomniał się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczył podatkowi i sługę onego zbogacił.

A zabrawszy wszystko, celnik wychodził z chaty, mówiąc: oto masz jabłoń owocami okrytą, muszę z niéj wziąć dziesięcinę.

To powiedziawszy, sługom swoim rozkazał trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł:

Pójdź i stań pod jabłonią, a nic nie mów do tych, co trzęsą drzewem, aż się moc boska pokaże.

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jabłek czerwonych, jak człowiek spokojny.

A oto jabłoń okryła się wielką jasnością, a owoce na niéj stały się gwiazdami i błyszcząc bardzo, nie upadały więcéj.

I gołębie śpiące obudziły się, myśląc, że już jest godzina ranna, i umywszy pióra, wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki tak, że zostawiwszy cały podatek, uciekli w przestrachu i wsiadłszy na wóz, odjechali.

A Szaman, zawoławszy Anhellego, rzekł: chodźmy stąd, albowiem gospodarz pytać nas będzie, jaką władzą to czynimy, a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest.

Tak mówiąc, otoczył się ciemnością z Anhellim i wyszli.

ROZDZIAŁ VII.

I rzekł Szaman: oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy bożéj, która w nas jest, ale płakać będziemy, bo zaszliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca.

Ani nauk im dawać należy, bo ich więcéj nauczyło nieszczęście; ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekrecie, co je potępił, napisano było: na wieki!...

Oto są kopalnie Sybiru!

Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

Jeden o matce swojéj, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o téj, którą miłował sercem, i o łanach, gdzie mu się zboże kłaniało jak panu swemu, i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.

W innych kopalniach wyją zbrodniarze, lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

Łańcuch, co tu szczęka, smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa, i jedno echo, które mówi: żałuję was.

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiące do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się, i szli jak owce ze spuszczonymi głowami, oprócz jednego, który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przystąpiwszy Anhelli do tych, co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem: kto był ten umarły i z jakiéj choroby skończył.

Na to mu odpowiedział człowiek blady i aresztant... Ten, o którego pytasz, księdzem był, ja go znałem; spowiadał żonę moję i dzieci w ojczyźnie.

A gdy przyszła wojna, siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosymi nogami; a gdy był ogień, przed szeregami stał, krzycząc: za ojczyznę!... za ojczyznę!

I przywołał go biskup i wydał katom w ręce, ale wprzódy zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim i wypuścił z rąk pastorał i omdlał.

A katy pochwycili człowieka bożego i wepchnęli go w ciasną siermięgę, a potém go w niéj zamknęli z trudnością, bo był otyły ten człowiek, i stał bez ruchu jak rzecz martwa.

Więc przywieziono go do kopalni, udawał, że mu jest dobrze na sercu; alem ja widział, że był blady i smutny.

I poddał się rozpaczy i sechł jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego, rzekłem: bój się Boga! dlaczego się gryziesz?

I rzekł mi z wielką tajemnicą, jak człowiek obłąkany: zapomniałem wyrazów pacierza... i pogroziwszy mi palcem, abym był cicho, odszedł.

I zobaczyłem go raz, że brał w ciemności ołów zgniły i truciznę ową pożywał.

A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach, jak zmoczone płótno namiotu, oczy zaś miał błyszczące.

A dziś nie wiem, jak umarł, bo oto spałem przy nim a nie słyszałem, aby choć westchnął.

A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam, był człowiek uczciwy.

Więc Anhelli obróciwszy się do Szamana, rzekł: to samobójca!

Lecz Szaman zasłonił oczy i podniósłszy kawałek ołowiu z ziemi, rzekł: ten ołów zabójcą jest i doradzcą złym, bo mówił: weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością.

Ten ołów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspokaja.

A przeklęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się!... podobny strzaskanéj kolumnie.

Lecz przed wichry silnymi wam padać wolno... będziecie żałowani.

Cóż więc! odmówią wam poświęconego cmentarza? kto wie, jaki jest sen w niepoświęconéj mogile?

Wszakże lepiéj jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą, i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosennych, i mieć godzinę cichą.

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarze i rzekli: dobrze nauczasz, jesteś człowiekiem z serca, a może przysłanym od Boga.

Więc oto wiedz, że przed pięcią dniami upadła skała i zawaliła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny stary z pięcią synami, a strażnicy nie chcą jéj rozwalić prochem, mówiąc: to długa praca, niech umrze.

A my stajemy co dnia przy owéj skale słuchać, czy jeszcze żyją, lecz nie słychać nic w téj jaskini, nawet jęku.

Jeżeliś jest człowiek boży, odwal kamień, może jeszcze żyje ojciec lub które z dzieci jego.

Spraw przynajmniéj zadziwienie katom naszym, uwolniwszy tych ludzi, albowiem pomrą z głodu.

Przyprowadzili więc Szamana ku owéj skale i stało się wielkie milczenie, a Szaman, podniósłszy oczy w górę, modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny i wywrócił skałę, tak że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman wziąwszy kaganiec, wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim Anhelli i więźniowie.

I okropny ujrzeli widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies, co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca otwarte błyszczały jak szkło, a czworo innych umarłych leżało w bliskości, leżąc jedni na drugich.

I spojrzawszy na nie Szaman, rzekł: co uczyniłem? Oto ojciec żyje a synowie pomarli już. Dla czegożem się modlił!

Tak mówiąc, wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII.

A przechodząc daléj, ujrzeli wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyźnie.

I przyszli nad jezioro podziemne, i postępowali brzegami ciemnéj wody, która się nie ruszała, a złota była gdzie niegdzie od światła kagańców.

I rzekł Szaman: jestże to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie sąż rybakami nieszczęścia?

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnéj wody z twarzą zadumaną odpowiedział: pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzéj niż ciała.

A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubioném i te wody miłymi mu były.

Człowiek to był blady, z błękitnymi oczyma, wychudły i pełny ognia.

A oto przed siedmiu laty ogarnął go pewnéj nocy duch proroctwa, i uczuł wstrząśnienie, które było w ojczyźnie i rozpowiadał nam przez noc całą to, co widział, śmiejąc się i płacząc.

A dopiéro o poranku zasmucił się i krzyknął: oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! i to powiedziawszy, upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

A we dwa lata późniéj, powiedzieli nam nowi wygnańcy, co się stało, i policzywszy noce, poznaliśmy, że ów prorok nam prawdę mówił; więc chcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

Szanujemy więc ten krzyż, nie mówiąc więcéj: oto człowiek, który leży pod nim, był waryatem i obłąkanym i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to?...

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu, rzekł: czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą, co z łez jest ludzkich? czy o tym proroku dumasz, czy o sobie?

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny, i powtarzało się nad głowami, bijąc jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: oto jest dzwonienie po umarłym

proroku! Oto jest Anioł pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.

I podniósłszy oczy, rzekł: Boże! Boże! prosimy Cię, aby nasza męka była odkupieniem.

A nie będziemy Cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym, i powietrze piersiom naszym, bo wiemy, że Twój sąd nad nami jest zapadły... lecz nowonarodzeni niewinnymi są. Zlituj się, Boże!

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselimy się jak męczennicy; bo nie powiedziałeś, czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę: lecz powiedz, a rozweselimy się.

Bo cóż jest życie, aby go żałować? czy to jest Anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?

Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi, którzy się mogą za lud poświęcić.

I rzekli na to nędzarze: oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem przybyła i cierpi za serce człowieka.

Chodźcie a pokażemy wam tę wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

Wielką panią i księżną była, a dziś jest jako służebnica żebraka.

A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała; albowiem, klęknąwszy przed cesarzem, błagał o życie, i dano mu je, pogardziwszy nim.

Tak mówiąc, przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy jak wyrobnik.

A woda w misie zaczerwieniła się krwią jego i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna jak Anieli niebiescy.

Tych dwoje ludzi byli cesarscy.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych, co szli za nim, spytał go: coby to było, ów szczęk żelaza i bicie? a zaś aresztant odpowiedział: karzą jednego z nas.

Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta boskiego, pędzą przez łańcuchy.

A udawszy się na miejsce męki Szaman z Anhellim, ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi stojących z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka, co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a we środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem, gdy się przybliżał, słychać było uderzenie łańcucha, i szczęk drugi wychodzący z chudéj piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary, i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcéj, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze jakoby dane przez ludzi litosnych.

Lecz starzec, odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy, którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: mój ojcze!...

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojéj.

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X.

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowéj, w niebytności Szamana, kłócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny.

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów, i równość szlachty z żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swojém miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu, i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada, uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole odgrażając się, że u pierwszych dowie się jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z tych, co był z trzeciéj gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdéj gromadzie rycerzy; a kto najdłużéj żyć będzie, przy tym zwycięstwo.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego jakie było w tym kraju drzewa, i wystąpili trzej męczennicy po jednemu z każdéj gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnéj woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokiém wzgórzu śniegowém, odezwał się głos z nieba jakoby wicher, pytając: co czynicie? lecz go ci ludzie nie przelękli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten, co był na prawo, krzyczał: równość! a ten, co był z lewéj, krzyczał: krew! wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami, czekając, co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu, a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całéj niebios połowicy, i ogniste wystrzeliły z niéj miecze; a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: źle czynimy! godziż się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: oto umierają i nie skarżą się.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: chcecie, a zdejmiemy was? lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnéj i zadziwili się, postrzegłszy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestrachem: co się stało?

A przyszedłszy bliżéj, strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman usiadłszy pod krzyżami płakał...

A powstawszy, rzekł do Anhellego: oto mi Duch boży oznajmił winę tego ludu, i wiem, dla czego tych ludzi ukrzyżowano; lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiéj nowéj sromoty, zdejmiemy je i zaniesiemy na cmentarz.

Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobréj wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił.

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarzłe i skościałe na krzyżu, i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI.

A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił, i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł siedzący na szczycie wzgórza skinął skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpłakały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana... co to za Anioł z białymi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym ucichają grobowce?

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec: zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu Aniołowi, spojrzał na niego i upadł jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego, spotknął się na niém krzyknął boleśnie; ale poznawszy, że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatém za rękę i rzekł: wstań! nie jest jeszcze czas spoczynku.

A powstawszy, Anhelli oglądał się w około i spuścił przed Szamanem głowę jak człowiek, co się wstydzi, mówiąc:

Otom zobaczył Anioła, podobnego téj niewieście, którą kochałem z całéj duszy mojéj, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; dla tego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niéj i o mojéj młodości.

Bo oto byłem przy niéj jak ptak swojski, co się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jéj ust koralowych, choć byłem blisko; jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym?

Dla czegoż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dla czego ja żyję?

Oto już jednego włosa nie ma na mojéj głowie z tych, które były dawniéj, oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam.

A nie ma jednéj kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jednę noc życia w spokojném gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc: że oto już nie narodzę się raz drugi.

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego Anioła, i wolałbym był wczoraj umrzeć.

A Szaman, zapatrzywszy się w gwiazdy, rzekł: zaprawdę, że jak dawniéj wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste Anioły.

Cóż zrobię! Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał i pozwolę, aby weszły w lilije wodne, i rozleciały się po

gwiazdach różanych, i zamieszkały w tém, co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

A wieszli kto to jest ten Anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloe, a urodził się ze łzy Chrystusowéj na Golgocie, z téj łzy, która wylana była nad narodami.

Gdzieindziéj napisano jest o Anielicy téj i wnuczce Maryi Panny... jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów, ona jest pasterką renów.

Przywyknij do niéj za życia, albowiem będzie na mogile twojéj stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jéj, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.

Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i niebezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

Tu przylatują mewy i gnieżdżą się i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna.

Tak mówił i podniósł jednę z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niéj było rodzeństwo małych ptasząt.

I wyciągały główki przez miejsce, gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącéj troski kość śpiącego człowieka.

A wziąwszy ją, rozgniewany Anhelli rzucił o ziemię, mówiąc: precz, kościele zhańbiony.

A płomień z ziemi wyszedłszy, stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim, i w ubraniu biskupim z infułą i z krzyżem na głowie, a wszystko ogniste.

I rzekł z wielką zgrozą: oto przyszliście ruszać umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

Ręce moje łamały hostią, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę, mówiąc: bądźcie przeklęci, burzyciele grobów.

Azaż nie dosyć wycierpiałem na moim tronie, i na biskupim oparty pastorale, modląc się za kraj, który miał ginąć jak człowiek potępiony.

Kiedy Kimbar wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc: oto jest krzyż.

Nie poszedłemże na wygnanie jak człowiek czysty? któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegóż więcéj chcecie od ludzi, co umarli?

Widzicie tę białą ziemię, jam tu mieszkał; widzicie kości te, ja żyłem z nimi.

A to jest moja kość, ta kość spróchniała. Ludzie ją niegdyś szanowali, a dawniéj jeszcze całowała ją matka moja, a dzisiaj mewa w téj czaszce uwiła gniazdo i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga.

Ja znałem matkę jego matki, gdzież jest? gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberyi, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystéj.

Tak skarżył się; i przepraszał go Anhelli za obelgę kości jego, mówiąc: oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie.

Myślałem, że się smucisz za wzgardę kości twojéj... jestże to świątynia pełna ptasiego wrzasku? lecz niech tak będzie, jak się Bogu podobało.

A nie powiem ci, co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć, choć jesteś umarłym, i poszedłbyś, jęcząc po świecie.

A teraz przestań być latarnią grobu własnego i zrzuć ogniste szaty i rozbierz się z płomieni.

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu i stało się ciemno, gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli, wołając: powiédz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie.

Skoro to wyrzekł, usłyszał z pod ziemi jakoby głosem tym, co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion już zapomnianych.

I obudził Anhellego Szaman, mówiąc: wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice.

I zeszli ze wzgórza mogił, modląc się.

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki, i śmiech, i wrzaski, i szczękanie kielichów, i brudne pieśni; a stanąwszy Szaman pod oknami, słuchał, nim wszedł do téj jaskini nieszczęścia.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichła; poznano bowiem człowieka silnego w Bogu, i nie śmiano mu się urągać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące, zaczął mówić, zapalając się w smutku.

Cóżeście uczynili, rzekł, bezemnie? widziałem waszę Golgotę. Biada wam!

A nie zostanę z wami, lecz to, co powiem, zostanie z wami. Bądźcie potępieni, kłótliwi ludzie.

Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Pomrzecie.

Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego. Zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia.

Dla czegożeście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie w zgodzie i miłości braterskiéj, jak przystoi na ludzi, którzy nie mają ojczyzny?

Oto obraziliście ludy téj ziemi, i z oszczepami stoją, czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.

Spotkałże z was kto kiedy Ostyaka i obszedł się z nim łagodnie i po ludzku? Zaprawdę, koło psa nie przeszedł żaden, nie uderzywszy go nogą jak węża. O ludzie bez pamięci i serca!

Więc wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy niż ciemność, a ciszę okropniejszą, niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.

A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym będzie okrętem.

Wyostrzcie wasze topory, bo potrzebne wam będą; a kto z was umie zabijać, jest człowiek pożyteczny.

Zbliża się wielkanoc i krzyż czerwony napiszecie na waszych wrotach, lecz jaką krwią? Zaprawdę, nie krwią baranka.

Gdy to mówił Szaman, niektórzy się przelękli, lecz jeden z pijanych chwyciwszy za dzban gliniany, rzucił go na proroka i włos mu krwią poczerwienił.

Ująwszy więc za topór, Anhelli chciał się zemścić, ale go zatrzymał Szaman, mówiąc: bądź cierpliwy.

Kto tu za rok powróci, będzie płakał nad nimi; dla czegoż brać zemstę z tych, którzy jutro będą rzeczą godną litości.

Boże! nie karz ich.

Tak mówił, a jeden ze zgrai zawołał: czarowniku! urzekłeś nas, oto dzban był pełny i wysechł.

A inni, zajrzawszy w dzbany, potwierdzili to zgodnie, mówiąc: odczaruj nas, albo cię ukarzemy śmiercią.

I stał się wielki wrzask, i groźne podniosły się przeklinania; a jeden, wziąwszy nóż, wraził go w piersi Szamana, mówiąc: oczarowałeś nas.

Upadł starzec na ręce Anhellego, a ten go wyniósł z chaty, i pomogła mu młoda niewiasta Ellenai, która kiedyś była zbrodniarką.

A gdy wyszli na miejsce oświécone gwiazdami, przemówił starzec: nieście mnie blisko grobowców, bo już zasnę.

Położyli go więc na jednéj z mogił, i zimno śniegu ożywiło go, a kobiéta owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie.

I otworzywszy oczy, starzec zawołał po trzykroć: Anhelli! Anhelli! Anhelli! a głos jego był smutny.

I rzekł mu: weź reny moje i pójdź na północ, znajdziesz mieszkanie w śniegu i spokojność. A będziesz żył mlekiem renów.

Weź z sobą tę niewiastę, i niech ci ona będzie siostrą; ona mię ukochała w godzinę śmierci, więc nie chcę, aby zginęła jak tamci.

Cóż ci mówić będę! Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem.

Boś czysty był jak lilija, biorąca z wody liście i kolory niewinne, boś mi był jak syn dobry.

Nie smuć się aż do śmierci po zgonie ojczyzny twojéj... Ani płacz, myśląc, że jéj nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym.

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stąpanie po śniegu i rzekł: ktoś nadchodzi, czy to śmierć stąpa głośno?

Lecz był to ren, który stanąwszy nad umierającym panem, zadziwione oczy napełnił wielkimi łzami; i odwrócił się od niego Szaman, płacząc.

A po chwili, przystąpiwszy doń Anhelli, wziął go za rękę i poczuł, że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu, i obróciwszy się do niewiasty, rzekł: chceszli mnie wziąć za brata? chodź ze mną. A ta mu do nóg upadła, mówiąc: Aniele mój.

Podniósł ją z ziemi Anhelli, i udali się oboje na północ, a za nimi szli renowie Szamana, wiedząc, że za nowymi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc, Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niéj.

A po krótkiém pożyciu, Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liściami i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jéj od modlitwy ciągłéj stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niéj ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernéj, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jéj była maleńką i skarżącą się jak płacz niewinnéj dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc, jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystymi, mówiąc: oto nas dwoje na ogromnéj pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy, to nie opuści nas.

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło, lecz biegało niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białém czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był jakoby głos boży, odzywający się na wysokościach do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liścianém pomiędzy renami swoimi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu zaczęły się noce w ziemi sybirskiéj i słońce coraz dłużéj zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zalane łzami wielkimi, rzekła Ellenai: umiłowałem ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: czémże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcéj jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapominaj o mnie, bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiédz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

Oto ja polecę do krainy twojéj rodzinnéj i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.

I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

A oto patrzaj, nad łożem mojém ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jest że to Anioł złoty stojący nademną?

Reny wyciągają mech z pod mojéj pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowéj Niebieskiéj i będę się modliła do Niéj.

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanije do Matki Chrystusowéj, i właśnie wymówiwszy: *Różo złota!* skonała.

I na znak cudu, upadła róża żywa na białe piersi umarłéj, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niéj woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłéj, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest, i myślał Anhelli, że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łoża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: naszą jest!

Lecz róża owa cudowna, dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę, i spojrzała na nie oczyma niewinnego Aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzycząc w ciemném powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

We trzy zaś godziny po północy usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu, i odwaliwszy bryłę, wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego Anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty i pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloe: wynieś mi tu umarłą twoję siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed Aniołem.

A Eloe, uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojéj strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnymi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustéj, i spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jéj nie było.

ROZDZIAŁ XIV.

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach,

Zawołał Jehowa dwa odwieczne Cherubiny przed tron swój, i rzekł: idźcie na równinę Syberyi.

A patrząc w światło boże, zrozumieli Aniołowie, jaka była wola Pana, i zeszli w krainę mglistą, ukrywszy w sobie światłość.

I przyszli na miejsce, gdzie była posieleńców szopa, lecz nie znaleźli śladu jéj, wicher ją był bowiem powalił.

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi bladych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się, Aniołowie ujrzeli ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieczy.

I wzdrygnąwszy się, rzekli: ludzie, co czynicie? Azaż to jest ofiara bogom piekielnym.

Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a bogiem, który go przyjmie, jest głód.

Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rządził nami los, nie zaś żaden pan ziemski, ani króle.

A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszymi, i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności.

Czy Bóg pamiętał o nas? i dał nam umrzeć w ojczyźnie i w ziemi, gdzieśmy się urodzili?

Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów. Przeklęty!

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew świeża! A na to zaś Anieli:

Nawróćcie się, rzekli: i proście Boga! albowiem pokażemy wam znak jego gniewu ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia.

I roześmieli się głośno ci ludzie, nie wiedząc, że z Aniołami rozmawiali, i rzekli: jakiż jest znak?

A wyciągnąwszy rękę, Anieli pokazali na wielką tęczę, która przebiegła i położyła się na połowicy chmurnych niebios, mówiąc: Oto ten jest.

I straszliwe przerażenie zdjęło te ludojady na widok rzeczy tak pięknéj i błyszczącéj, któréj Bóg użył na znak swego rozgniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne jak węgiel, a oczy ich, jakoby szklane, nie odwracały się od niebieskich kolorów.

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustém, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: poznałem was, nie kryjcie się; Aniołami jesteście.

Przychodzicie li pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?

I rzekli mu ci młodzieńcy: oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy; samotność w ciemnościach.

Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiéj: a ty jesteś ostatni.

A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mnie rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.

I rzekł im, odpowiadając Anhelli: zaprawdę, urągacie mi, mówiąc o Piaście i o początku, wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojém widziałem tylko nędzę?

Czy przyszliście przerazić mnie, wołając: ciemności nadchodzą! Na cóż wam przerażać tego, co cierpi? nie dosyćże jest przerażenia w grobowcu?

Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem.

Pierwsza lilija na grobie ojca mego jest moją rówieniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojéj była mi siostrą młodszą.

Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiéj, i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną.

A gdym usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem, co szeptał.

Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniéj sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

Idźcie! i powiedźcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjętą jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła.

Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnymi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojéj, to ją dam.

I przerwali mu Anieli, mówiąc: gubisz się, żądanie człowieka jest sądem na niego.

A wieszli ty, czy od spokojności twojéj nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów.

Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?

I ukorzył się Anhelli, mówiąc: Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się, i skrzydła myśli moich uniosły mnie:

Więc będę cierpiał jak dawniéj: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanymi strunami... do kogoż mówić będę?...

Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim..

A oczy moje jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornéj.

A wzrok mój jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią zlęknioną.

Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim, i staną przed oczyma, jak wierne sługi, idące z latarniami przed panem.

I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułowić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

Lecz okropności ziemi są niczém, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest. Cóż uczynić?

O! dajcie mi moc miliona ludzi, a potém mękę miliona tych, którzy są w piekle.

Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącéj szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jéj zaniosła mnie daleko i już nie wrócę — nigdy!

A znowu przerwali mu Anieli, mówiąc: oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnéj, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

Ostrzegamy więc ciebie z woli boskiéj, że za niewiele godzin umrzesz, przeto bądź spokojniejszy.

Usłyszawszy to, Anhelli spuścił głowę i poddał się woli boskiéj. A zaś Aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen?

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały jęcząc.

Więc spojrzał na nie Anhelli i zawołał: gdzie wy lecicie, o mewy?

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: lecimy do ojczyzny twojéj!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia,

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.

Taki był głos ptaków i rozkruszyło się serce w Anhellim i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżéj lecące ptaki świetniały na szafirowém niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII.

W ciemności, która była potém, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały, spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistéj zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niéj trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: tu był żołnierz, niech wstanie!

Niech siada na koń, ja go poniosę prędzéj niż burza tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody! oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa!

Nad krwawymi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiéj.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.

Tak mówił rycerz a Eloe, powstawszy z nad trupa, rzekła: rycerzu, nie budź go, bo śpi.

On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć daléj, nie budź go.

Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak dyamentowe źródło, i tak wonne jak lilije wiosenne.

To ciało do mnie należy, i to serce mojém było. Rycerzu, koń twój tętni, leć daléj!

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem jakoby burzy wielkiéj; a Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

1835.

WACŁAW.

Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownymi kolorami w poemacie *Marya* odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny; a dwa poprzedzające poematy: „W Szwajcaryi i Anhelli“ przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

WACŁAW.

I.

Witaj mi, ziemio stepów gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitném niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy;
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
To krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy zemstą śpiącą w grobie.
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodiaków;
I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie;
Ale w jéj sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jaki wicher głuchy,
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy;
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli, że biały Puławskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni.
Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusałek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?
Czy wiesz, co będzie w jarze Janczarychy,
Gdzie teraz gołąb lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowém oku,
Gdzieś w księżycowym się przegląda stoku.
Czy wiesz, że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednéj godzinie rycerskiego życia?
Że zemścisz syna, ojca, matkę, brata,
W téj błyskawicy, co na szabli lata.
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilija będzie we krwi czyste,
Niech tylko wprzódy nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w sidłach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem w ojczyźnie na straży:
To, chyba w końcu, na takich Aniołów
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy;
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole:
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i z daleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze
Gorsze niż w grobach zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma, co zabija ciało!
Gorsze!... Choć pałac ten wygląda biało,
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościółki, jeziora błękitne;
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach;
Choć róże stoją w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A daléj błękit i kłosy na polach:

Nie wierz zdradzieckiéj natury obłudzie,
Ten zamek pełny, w tym zamku są ludzie!

IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnienia rodziny Atrydów,
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach,
Nigdzie rodziny tak czarnéj nie było —
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą...
Chciałbym powiedzieć: W Imię Ojca, Ducha!
Kto tak okropnéj powieści wysłucha?

V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadném kole,
Jak trup śród ludzi, jak upior przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł, nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem;
Ani posłane z poselstwem od matki
Kiedy go w rękę całowały dziatki,
Jakby przed marą piekielną, szkaradną,
Stają przed ojcem zaległknione; bladną,
I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa,
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury,
Bo na swe dziatki patrząc łzy miał w oku;
Lecz przerażenie z boskiego wyroku
Wisiało nad nim jako krwawa tęcza;
A gorzéj, wiedział to sam, że odstręcza;
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,

Czego się sługa, dziecko, słońce boi.
Więc już od dawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą;
Ujmować dusze, co chcą nienawidzić;
A nie mógł nimi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział, że tłumną hołotą
Rzucał się sprośny lud na jego złoto,
Tak wielką znalazł pokorę w swéj winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynie;
A wtenczas sercu jego biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko, jak anioł obrońca,
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszéj żony.
To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze więdnieje.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafirowymi oczkami spowiada;
I patrz! że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika,
Ale mu z oczek cały błękit świeży
Pije oczyma, i wzdycha, i wierzy
W ostatnią pomoc, w moc dziecka pacierzy.
Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinkę swoję nazwał Eolionem;
Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy,
Wezmą ze złotéj kołyseczki duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
To dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku,
To czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziécięciu bladém obłąkana,
Smutna, i z ciałkiem niedołężnym zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna;

Gdy się uśmiecha, zda się, że do nieba;
Płacze, to myślisz, że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
Jak zapłakanéj wierzbie stać nad wodą.
Tylko że ojcu, gdy mu dziécię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło;
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa;
Lub w obłąkane czynności dziécięce
Jakieś piekielne mięszają się ręce,
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą,
I dziś, gdy Wacław zasnął, przed północą...

. . . . . .

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniéj niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini;
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,
Dzieci i męża bezsenne węzgłowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie,
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu, jak ulotne mary,
Staje powiewna z lampą w ręku, blada,
Słuchać, co śpiący o niéj we śnie gada.
A mówią ludzie, że nieraz jéj ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty roszą,
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek nie wybrany w tłumie,

Zwykle pochlebia jéj skażonéj dumie;
To jaki książę, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego łożem; domem, tronem
Włada; gdzieindziéj podobny do węża,
Tu zdrajca panem jest żony i męża.
Więc to nie z gachem Dyana grafini
Tajemne schadzki ma w ciemnéj jaskini,
W grocie, co gładkim wyłożona brusem,
Szklanéj kaskady zamknięta obrusem;
Szarfa ta wody lecąca z wysoka
Nie puści w grotę śledzącego oka,
Ani księżyca, lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci,
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina;
Na wszystko miłość waży się matczyna.
Lecz noc, jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
Lecz ciemność trwożną okryła kobiétę;
Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszą ptaszyny,
Gdy woda głośniéj w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiela,
Na głowie wianek stepowego ziela:
Na głowie siwém porośniętéj runem
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kocioł, czary i amfory...
Ku jakiéj sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnymi czary?
Z jakim to widmem skandynawskiéj Frei
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VIII.

Zaledwo pani wargę koralową
Pierwsze i drżące otworzyło słowo,
O! nieba! leci jasnych świateł krocie
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu;

W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichéj wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle,
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmięsza;
I widzi, jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi bladymi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka;
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła się duszy łabędzie
Całe rozwiną przeciw wichrom losu,
To wtenczas serce jak z twardego ciosu;
I tém się nawet chełpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tém się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelękło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.
Już słychać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.
Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się, a pani zbladła.
I znów skościeli oboje na długo.
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżyca ją oblały blade,
Ktoby w jéj usta już nie koralowe
Ale pobladłe, otwarte, surowe
Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niéj oddycha;
Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem
I z obwinieniem, co na każdéj twarzy

Przy migającéj się pochodni żarzy,
Ktoby w téj chwili, nie zalane łezką,
Ale pięknością jasne nadniebieską
Widział jéj oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma;
Tenby ją całkiem miał nie potępioną:
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

X.

Jedno tam okno na zamkowéj sali
Od czerwonego księżyca się pali.
To właśnie okno grafowskiéj komnaty,
Jak anioł blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka, by wziąć z tego ciała duszę.
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie.
Otwierać bramy, nim się człek opowie!
Bo to nie dyabeł, ani żadna jędza,
To kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał, ty księże Prokopie,
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,
Choć ma na sobie księdza i kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka,
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przeskoczył djaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? wszystkie oczy idą ku téj stronie,
Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą — mówią, że trup Wernyhora
Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi;
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści,
Sam mówił ludziom, że otruty kona,
Potém służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;
A bramę chyba wyłamać wypada,
Jak umrze. — U drzwi słuchają... graf gada.
Czasem się jakiś głosek serafina
Niebieską skargą ojcu przypomina;
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żałosne szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na straszném zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu;
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnéj jeszcze żywi.
Śmierć ich mównymi uczyniła smutnie;
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.
Ci, co słuchali przez grube podwoje,
Mówią, że więcéj tam głosów niż dwoje.

XII.

Od dawna wieści są i poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano, jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrawe, czerwone, piekielne straszydła,
Mające oczy i włosy i skrzydła.
Ścigany przez nie, wybiegał z komnaty
Tylnymi drzwiami na ogród, na kwiaty;
I raz go z wody wydobyła zgraja;
Było to, mówią, w dzień trzeciego maja.
Widziano, jak biegł przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią, zagnały do wody.

Widziano, jak się topił cały blady:
Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiośniany maja?
A już to od lat wielu takie rzeczy,
Nikt nie przysięgnie i nikt nie zaprzeczy,
Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.
W młodości słychać zgrzeszył bardzo krzywo,
Dla tego piorun za nim się pomyka,
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka,
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestrachem.
A mówiąc o tém ludzie z twarzą bladą
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą,
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
On się nakrywa chustą krwią zbryzganą;
W téj chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podała w nocy sąd na infamisa,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pergaminu karty
Leżą przy łożu koło puginału.
Niech go Bóg broni w rozpaczy od szału!
Biada! o biada! gdy przy łożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie.
To dość dla serca, co się samo dręczy,
Widm nie potrzeba, sumienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa;
On w nocy wstaje i z otwartém okiem
Po zamku chodzi niesłyszanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świéci nocną;
Oczy otwarte, wyiskrzone mocno;
Lecz jakby co się roiło w źrenicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy;
Ani się światła bliskiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się, że pękną.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu —
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;
Drzewo, co późniéj mogło czekać zimy —
On tak wyglądał jak rycerz Solimy,
Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niósł do kochanki przez burzanów jary;
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał obejrzeć się gdzie na kurhanie;
Myślałbyś wtenczas, że to anioł stepu
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wicher poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? czy to moich powiek
Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

XIV.

Smutny był koniec jego pierwszéj żony:
Dostała wcześnie anielskiéj korony
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennéj był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowéj na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? o! Chryste na męce!
Jakie w tym rodzie serca, jakie ręce?
Mówią, że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem, a drudzy, że ścięty;
Lecz takiéj rzeczy myśl nie wierzy sama,
Na takim wielkim rodzie taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem?
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem!
Ale zabójców nasłać na synowę,
I za pieniądze móc odkupić głowę!
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy — i za śmierć gołębia.
Niktże téj śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiéj? na wyniosłéj dumie?
Niktże, prócz syna, co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?

Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Że ojciec własny wroga widzi w synie;
Albo umiera syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony;
Albo tak skala syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu przed zbójcą swéj żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnéj głowy wyższa... krwawa.

XV.

Ale to pewna, że śmiercią téj żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony.
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze,
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny... nie wierzył.
Na wszystkie echa rozkoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie.
Mówią, że myśli o polskiéj koronie;
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wyśledza głos fałszu proroczy:
Jam go opuścił śród tego zamętu
Myśląc: i cóż jest twardość dyamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom,
W sercu najtwardszém? jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo... burza będzie krwawa.
Więcéj niż Boga ta dusza tajemna
Zamyka w sobie... przyszłość będzie ciemna!
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła,
Miłość go tknęła, boleść nie zabiła;
Więc jeszcze nadto w nim miłosnéj siły
A już nikogo kochać... prócz mogiły.
O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca.
Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą!
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;

Myśli, że anioł ją rzucił obrończy,
Nieszczęściem zaczął... a piorunem skończy.

XVI.

A dziś... już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota...
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka rauna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie.
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona?... Ona w najciemniejszéj sali
Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama... Greczyn w Arnauta stroju
Leży na złotém węzgłowiu w pokoju;
Jak sułtan jaki wydaje rozkazy,
A nie powtarza wydanych dwa razy,
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce... nieszczęśliwa!

XVII.

„Dyano!“ Przyszła, stanęła w pokorze —
„Zrzuć teraz, piękna, te ślubne obroże,
„Wypogodź teraz czoło lodowate,
„Lubię tę chłopkę, tę polską Hekatę.
„A skoro tylko zabłyśnie Fingary,
„Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary,
„I śmierć posyła ludziom z ciemnéj groty.“

„O! Antynoe, już czuję zgryzoty,
„A przecież śmierci męża jam niewinna.
„Ona to! ona, ta kobieta gminna
„Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
„Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;
„A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
„Czarę miłosném zaklęciem urzekła:
„Ona... o! srogi i okropny błędzie!...
„I może on mię trupem kochać będzie,
„I z grobu przyjdzie po miłość — umarły.“

Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie,
Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc, jak w świetle twarz się Grafa mroczy,
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:
Lub w obłąkaniu (o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi!) promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica,
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś... okropność! miałżeby Wacława?...
Przy łożu chustka ta leżała krwawa...
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy,
Na głowę ojcu?.... o nie! ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoliona.
O! nie... przysięgam, święci aniołowie!
Syn nie położył mu téj krwi na głowie.
Bo mniéj straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny saméj przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo zaprawne piołunem,
I zdrajcę takim nakryła całunem;
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w téj kobiecie pękło?
O marmur czoło uderzyło, jękło,
Kość zadzwoniła gdy czołem upadła
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie... zadrżał, oczyma nie mignął,
Lecz cały zadrżał i cały się wzdrygnął,
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się... i poszedł daléj.

XX.

Sen to, czy mara jaka niezbawiona?
Krzyczą po zamku, że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się z czego u Greczyna,
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy;
Grafini kona... mówią... on nie słyszy.
Zlękli się ludzie jego trupiéj ciszy,
Trącają... milczy jak widmo zaklęte,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łoże,
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnéj kolei:
Grafini, mówią, była przy nadziei.
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta,
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad dnieprowe skały
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.
Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne,
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne;
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą,
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie,
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!
Na cóż więc było na ten świat przychodzić,
Cierpieć, miłować, nienawidzić, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce dawno znane
Weszło... ostatnie... i nie zapłakane.

XXII.

Graf Wacław woła. Wybito podwoje,
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?

Graf Wacław, przy nim synaczek maleńki,
Zbladły Graf woła księdza i trumienki...
Wyszli; pojechał kozak do stolarza.
Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże, co się pod oknami żarzą;
Słońce i kwiaty czy boską mu chwałę,
Czyli dziéciątko to przypomną małe.
Dobrze, bo przerwą posępne rozpacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze?
Nie, stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowém powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa w szronu szacie,
I zadumane jak po jakiéj stracie.
I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi, a jeśli
Słyszał, to udał dziwną lieem chłodność,
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXIII.

Usiadł... ksiądz słucha... on usty drżącymi:
„Księże! skończyłem już wszystko na ziemi.
„Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygle?
„Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;
„Wiem, co w téj czarze było — o! anioły!
„Ogień miłosny i ludzkie popioły.
„Wypiłem z moim synkiem przez połowę
„Co? może ojców mych resztki grobowe?

„Strasznie pomyśleć, kto napój przyprawił,
„Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
„Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
„O czém grobowiec dotąd tylko wiedział.
„Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
„Co zdrajcę prochem antenatów struli;
„Tym czystym prochem zdradzonym nikczemnie,
„Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie.
„A jakąż to myśl mieli ci mściciele
„Uśpione czucia budzić w mojém ciele,
„Żyły nalewać znowu krwią namiętną,
„Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno.
„Wiedzieliż oni, co ogień poruszy
„W czarném sumieniu, w pokalanéj duszy?
„Jaka rozogni się w krwi mojéj zgniłość?
„Co wyjdzie na jaw? — zaprawdę nie miłość!
„Ale zgryzotę zbudzili i pychę:
„Przeklęci! serce już tak spało ciche!
„Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
„Już tak spokojne! już takie zabite!
„A teraz znowu krwią nalane wściekłą:
„Boleść w nim, burza, pioruny i piekło:
„Wszystko co ludzi przerażało trwogą,
„Ale nie miłość — co kochać? i kogo?
„Ach! gdyby nawet z grobu wywołani,
„Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
„Ta najkochańsza, najsłodsza, umarła
„Wstała, to serce by moje rozdarła;
„Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
„Alebym kochać już nie mógł, nie ważył;
„Bo na to trzeba jaśniejszéj godziny
„Niż starość ludzka, pełna krwi i winy,
„Co jako skrawy chmurny zachód słońca,
„Otwiera niebo bez Boga, bez końca.

XXIV.

„Księże, są o mnie haniebne powieści,
„Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci,
„Nie jestem takim jak ludzie niewinni;
„Ależ ja więcéj cierpiałem niż inni,

„Ale ja większe miałem serce w sobie
„Do nakarmienia... Tam małżonka w grobie,
„Tam ojca sądzą mojego, o! zgroza!
„Na śmierć haniebną, na karę powroza.
„Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty...
„Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,
„Wszystko to jedna godzina obali!
„Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
„Dzisiaj bym wolał o! Boże! przed gminem
„Powieszonego się nazywać synem;
„Lecz wtenczas! z hańbą grożone zamęściem,
„Mój ojciec, mój ród, moje imię!... Szczęściem
„Mój ojciec umarł, tak jak był powinien...
„Czemuś ty księże zadrżał? jam nie winien...
„Że mię widziano téj nocy przy turmie
„W księżycowego wichru dzikim szturmie?
„Na zapienionym żem uciekał koniu,
„Żem pędził z głuchym tętentem po błoniu,
„Że ojca mego we krwi znaleziono
„Nazajutrz... księże; rozedrzyj mi łono
„I obacz serce, nim pójdę do trumny,
„Bo mówię prawdę, lecz przysiąc, za dumny.

XXV.

„Jestem niewinien, ale nie wiem czemu,
„W pamięci jestem podobny winnemu.
„Bo wyznam tobie, żem téj śmierci żądał,
„Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
„Bo i wieść o niéj chwyciłem łakomą
„Myślą, lecz zimno, jak rzecz już wiadomą.
„Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzęgło,
„Co mi o śmierci téj pierwéj przysięgło.
„To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
„Ludzie, co chciwi męczyć i okrutni,
„Lubią posępnych słów oglądać skutek;
„Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek;
„Lecz pokazałem lice zimne, szczére,
„Już podniesione nad zwyczajną sferę;
„Już w téj krainie cichéj, wnętrznéj burzy,
„Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,

„Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —
„Jady nie trują i miecz nie zabija.
„Pokazałem im tę niezmienność czoła,
„Które zmroziło dotknięcie anioła.
„Wytłómaczyli to ludzie inaczéj,
„Ten marmur bolu, tę ciszę rozpaczy.

XXVI.

„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą
„Za innych śladem iść tą samą drogą.
„A gdy się duma z nieszczęścia wylęgnie,
„To i Bóg czoła takiego nie sięgnie,
„To nawet wiara nie pochyli głowy:
„A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
„A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda:
„Tak była ciemna, taka była harda
„Duma w tém sercu. Na co mnie przywiodła,
„Ty wiesz; lecz duszy nie sądź, bo nie podła.
„Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,
„Ja sam stanąłem przeciwko narodu,
„A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
„To się na wielkim oparłem posągu.
„I nie szukałbym był podpory wroga,
„Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.

XXVII.

„Nie uniewinniam ja siebie o! księże!
„Jakie mię gryzły tu w téj piersi węże,
„Jakie po nocach walki obłąkane
„Z pamięcią, dumą, zaczęte, wytrwane;
„Aż sumieniowi uczyniłem zadość:
„Świadczą te oczy, to czoło, ta bladość.
„O! trzeba było siadać nad mém łożem,
„Gdy we śnie serce mi coś pruło nożem;
„Gdy się budziłem w noc bezksiężycową
„W ciemności, ze krwi piorunem nad głową,
„Albo widm okiem do łoża przybity,
„Zimny, i łzami i potem okryty,
„Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie.
„Mówią, żem chodził po pałacu we śnie,

„Nie wiem; lecz nieraz gdy sen ciężki spadał,
„Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał,
„Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
„Możem zabijał i trumny otwierał,
„Możem się dzielił z kim jaką mogiłą,
„Nie wiem: bo o tém mi się wszystkiém śniło.
„I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,
„Na głowie... Gdzie jest moja druga żona?

XXVIII.

„Stój! stój! Nie szukaj téj kobiéty, ojcze.
„Od innych ciosy okropne, zabójcze,
„Lecz od niéj gorsze ja rany poniosłem.
„Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
„Anioł piękności i wróg nieodstępny,
„Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny,
„Com cierpiał w sobie i com czuł, nie czuła,
„Co w sercu mojém zmartwychwstało, struła,
„Aż przyszło wreszcie, że dziś, jędza blada...
„Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
„To na jéj sercu, to je kiedyś zrani.
„Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niéj,
„Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
„Strumienie i na błękitach łabędzie,
„I ta z marmuru Karary łazienka,
„To dla niéj... Patrzę, i serce mi pęka;
„Bo to zostanie po mnie wszystko — długo...
„O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
„Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
„I z zamkiem i z nią i z wszystkiém utonąć;
„Zostawić gruzy leżące na pował,
„Którychby człowiek nie znał, nie żałował,
„Nie myślał o mnie, tu błądząc, nie gadał:
„Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
„Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił,
„A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
„Bojąc się słońca, co tę ziemię złoci,
„I żył jak węże w zimnie i w wilgoci.

XXIX.

„Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
„Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
„Całe się czystym miłościom oddadzą.
„Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
„Świetniejsze serca wylatują przodem;
„Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
„Ich wrzask, ich imię, ich lament, to hasła.
„Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
„Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
„W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
„Umrą wygnani — to naród wysyła
„Posłów zapraszać, niech wróci mogiła.
„A choćby nawet zapomnienie, nędza,
„Jednego pacierz nad mogiłą księdza,
„I wieczna cisza w grobie niepłakanym:
„O! ja zazdroszczę tym czystym, nieznanym,
„Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem,
„O czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
„Czemu!... Ach wtenczas księże, nie dla sławy,
„Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
„Ażeby umrzeć — na Boga żywego,
„Jabym się teraz nie miał chełpić z czego...
„Szyki się biły pod Maciejowicą,
„Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą;
„Dziwny był ubiór, ale to miał zyskiem,
„Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem,
„Wreszcie i harmat zakryłem się błyskiem;
„I smutny w sobie wpadłem we krwi morze.
„Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
„Długo to było między ludźmi sporem,
„Kto był tym w ogniu rąbiącym upiorem.
„O! śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
„Nie chciałaś wtenczas téj krwi, tego serca.
„Lont nie chciał harmat przedemną zapalać;
„Kule się bały we krwi mojéj zwalać,
„Lecz omijały, świszcząc koło ucha;
„Miecz mój po kaskach dzwonił jak miecz ducha.
„Los miał okropną zbawić mię bezczelność,

„Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
„Jaka w tym wola boska, nie odgadnę,
„I nie chcę myśleć; lecz gdy myślę, bladnę,
„Sam na tém polu, gdzie psów wściekłych kupa,
„Na koniu, nakształt siedzącego trupa,
„Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
„Gdy księżyc wschodził straszny, blady, zimny,
„Stałem: wtém jeden z niedomarłych, blisko,
„Wymówił moje przeklęte nazwisko:
„Schylam się z konia — patrzę, krwią się broczy,
„I krew mi swoję ten człek rzucił w oczy...
„Dobyłem miecza, o! nie bladnij, księże,
„Choć syknął na mnie ten — gorzéj niż węże,
„Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
„Jam go nie dobił, alem nie przebaczył.

XXX.

„Księże... gdzie teraz Kościuszko? w mogile!...
„Kiedy żył, jeszcze były takie chwile,
„Żem ja był wrogiem jego świetnéj sławy.
„Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
„Albo grobowiec przy bladych lawinach;
„Musi być smutny nad nim szmer w drzewinach;
„Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
„Wołając: ojcze, choć on był bezdzietny.
„Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
„Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
„Tak nauczony za życia rycerza.
„To wszystko, księże! serce mi rozszerza
„Łez pełne, burzę zapowiada ciemną...
„Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną!...

XXXI.

„Obróć tu, księże, twe łzawe oblicze.
„Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
„Słuchaj, po śmierci kraju, już zhańbiony,
„Dom odwiedzałem mojéj pierwszéj żony.
„O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
„Zaczął nademną swoje smutne gwary,
„Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny...

„Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
„Z nią razem, ojcze! Ja, co w téj krainie
„Myślałem niegdyś, że młodość nie minie;
„Wchodzę... trzy razy wspomniałem o Bogu,
„Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progu.
„Przeszedłem wreszcie, — w komnatach nikogo...
„Ściany się zdały napełnione trwogą,
„Że mię tam widzą samego w ciemności;
„Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
„I coś szeptało: *nie płacz*! z każdéj cegły;
„A mnie ogromne łzy po twarzy biegły.
„Na cóż to przyszedł ów Wacław-wyniosły,
„Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
„Sam, o! bogdajbym był sam, o! zhańbienie!
„Starzec wychodzi w księżyca promienie,
„Poznaję, mój teść... przy niepewnym świcie
„Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie:
„Twarz jego dzika, okropna, surowa;
„Rozwija, patrzę — ojca mego głowa!...
„Po śmierci zemsty bezczelnéj dokazał,
„Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXII.

„To tak mi starzec zwiędłe serce kruszy,
„To tak anielstwo wypędzono z duszy,
„To tak myśleli, że mię zdeptać mogą;
„Aż się od hańby obroniłem, — trwogą...
„Lecz nie pomogło... bo jak od zwierciadła
„Od ludzi trwoga ta na mnie upadła,
„Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
„Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie.
„Więc niech się skończy ten los, co mi cięży,
„Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
„Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
„Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
„Niechaj część każda pokalanéj duszy
„Dozna właściwych bolów i katuszy:
„Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu

„Zamknięte, w jedném nie gryzie się sercu.
„O! były chwile okropne na świecie!
„I ta noc!... Księże, pociesz ty mię przecie,
„Czy ty łzy tylko masz dla mnie pacierzem?
„Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem,
„Co tu widziałem pełną tajemnicy
„Śmierć w synka mego błękitnéj źrenicy.
„Okropność! jego usteczka różane,
„Miłością jakąś obłąkane, pjane,
„Z ognia oddechem, z lutniowymi gwary,
„Pocałunkami tu goniły mary.
„Widziałem moje sny młodości złote,
„Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
„Wydane dziecka niewinném obliczem:
„Lecz on kochał nic, on tęsknił za niczém,
„A jednak tęsknił i kochał. Widziałem,
„Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szałem:
„Myślałem... biedny! czego się on męczy?
„Łabędź w jeziora zakochał się tęczy,
„Umarł, nim zgasła, nie doczekał nocy,
„Lecz ile było w nim ognia i mocy!
„Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
„Długo echowe i melancholiczne
„Z ust mu jęczały! Była jedna chwila...
„Myślałem, że mu skrzydełka motyla
„Z ramion wyrosną, że główka zaświéci
„Ogniem niebieskim, i w niebo uleci;
„Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
„Myślałem, że już odemnie ucieka...
„Wrócił... przy nogach mi go ból pokonał,
„W godzinie jednéj kochał, cierpiał, skonał.
„O! cud okropny! co — iskrę słoneczną —
„W serduszku dziecka zamknął miłość wieczną.
„To, co ja dotąd w mojém sercu mieszczę,
„To go zabiło... a ja cierpię jeszcze!
„I jeszcze kocham i widzę to jawniéj
„W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniéj.
„Tu! z krzyżem, księże! tu stawaj u czoła!
„Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła,
„Niech nie przychodzi tu jéj cień bladawy...

„Przyszła!... tam za nią stoi ojciec krwawy,
„Włos jego siwy... o! to męki moje
„Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje.
„A jednak twarze to może jedyne,
„Co odpuszczają mi hańbę i winę,
„Co, widząc dolą znękanego twardą,
„Jak inni ludzie nie patrzą ze wzgardą.
„Maryo! nie idź za księżyc się chować,
„Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować,
„Dobrze, żeś mi się duchem pokazała
„Taka posępna i cicha i biała,
„Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca.
„Maryo! czekaj zachodu miesiąca,
„Pójdziemy razem... gdzie?... ja nie wiem. — Księże,
„Wkrótce me ciało już ziemię zależe,
„Na długie słowa już mi braknie czasu;
„Każ uszyć nową jéj suknię z atłasu,
„Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
„Niech ją obmyją, ubiorą... kobiéty...
„Pamiętaj... trumna to od wejścia czwarta...
„Patrz, jak ta szata już na niéj podarta...
„Czy dobrze?... zrób to, nim promienie świtu...
„Patrz! uśmiechnęła się na to z błękitu.

XXXIII.

„Nie mów nikomu o mnie, sługo boży,
„Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
„Weź i tę chustę... choć krwią powalana,
„Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
„Albo... Dla czegoś drgnął przed tym rozkazem?
„Powieś tę chustę przed Panny obrazem,
„Musi być święta ta krew, co ją broczy,
„Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
„Więc to męczeństwo pobladłego czoła,
„To mój ostatni jest dar dla kościoła.
„I jam coś ciernia czuł w mojéj rozpaczy,
„Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
„Żalu mojego najlepszą jest próbą

„To upodlenie się moje... przed sobą.
„Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
„Pewnie nie gorzéj jak to, co już było.
„W dumie méj jeszcze przynajmniéj znachodzę,
„Że mię przed śmiercią broni uledz trwodze.
„Gdy przy tém łożu nic, tylko rozpacze,
„Gdyby mniéj dumny, płakałbym... nie płaczę;
„Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
„Z czémby się żadne łzy nie mogły zgodzić:
„Wściekłość na siebie, żar, co się nie studzi,
„A nawet, księże! jakiś żal do ludzi;
„Jak gdyby oni byli winni z dawna,
„Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
„Lecz nie... i myśl ta nie może pocieszyć.
„To wszystko... Księże, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
„Oléj, co czyni w Bogu śmierć wesołą,
„Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
„Jam nie żałował i nic nie naprawił,
„Kraj jeszcze we krwi... a jam go zakrwawił;
„I długo będzie ta krew po mnie płynąć,
„Tysiące walczyć i tysiące ginąć;
„Po mnie nieszczęścia, więzienia i wojny...
„I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?
„O! nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie...
„A jednak... starcze ty! módl się ty za mnie!“

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O! domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność.
Ale krew jego już dawno zepsuta:
Ciągła samotność, łzy, wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało zwiędłe od katuszy,
I nieraz lice trupowi odmienią,
Połamią, poskrzą, zsinią, pozielenią;
Więc może i te splamienia Wacława
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiéj tak wierzyć, niż oskarżać ludzi.

Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuci,
Niechaj spokojność w tłum zmięszany wróci.
Lecz nie, ten zamek wre skargą i gwarem.
Domysły rosną z niepokojem, swarem:
Mówią, że pani chciała ukryć winę,
Mówią, że miała otrucia przyczynę;
Jaką? nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałażby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowéj miłości i wiary
W jéj łonie — po cóż przy kołysce mary?

XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije,
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdéj mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowéj głucha trupów wrzawa,
Bo między nimi stanął trup Wacława.

XXXVI.

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: „Zdrajco! otóż tobie
„Trucizna w przodków wypróchniałym grobie.
„Idź, trumno czarna z ohydnym człowiekiem,
„Z trupem, co mojém wykarmiony mlekiem.
„Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
„W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.

„Dziéciątko moje ty i moja żmijo,
„Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją.
„A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
„Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
„Choć Ukraina kiedyś zmartwychwstanie,
„Ty się nie dowiesz w piekle, ty szatanie!
„Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
„A wieczność taka, jak śmierci godzina.“
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

I znów na zamku jasnych świateł krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie;
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.
Mówią, że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imię Eoliona,
Gdy wszystko ścichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dziéciątku tém z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w téj grocie
Całego w gwiazdach, w promienistém złocie;
Duchy powietrzne za tęczową szarfę
Przyniosły jemu zapaloną harfę;
Usiadł... do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie;
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem,
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,

Ulatujące w niebieskie krainy
Dosłuchać harfy téj, i téj dzieciny.
Nie wiem, czy wierzyć, lecz cudy są wszędzie;
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eolionem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

1836.

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantanie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El - Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swoimi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne beduiny rozbijać w tém miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczéj zaś z Egiptu do Syryi dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niéj przez dni dwanaście zamieszkał. Z razu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitném niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantany, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasznego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El - Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknością na wschodzie, o któréj Lamartine z takiém uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartém niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszéj podróżnéj gromadki, a jak się późniéj dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białéj i srebrnéj mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać

zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnéj piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantanę strażnicy w jaskrawych orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującéj powieści; a pokażą się mu we właściwszém świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wziąwszy z sobą jednego z kwarantany strażników. W wigilią Bożego Narodzenia (1836 r.) kiedy z téj spokojnéj pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiéj ojczyzny mojéj, i ku owym dniom, które dawniéj spędzałem na ucztach w gronie rodzinném, okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nademną, i zaczerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni — Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą — przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestrachów; krzyk Arabów uwiadomił

mnie o nowém niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowém korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnymi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na któréj stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku, unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf téj biednéj rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnném posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którém stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższém rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłómaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych spostrzeżeń, którymi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświécony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas — może mnie anioł znów okrywał płaszczem rycerza Solimy, i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnéj. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym z życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie, budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konste-

lacyą Oriona, tak podobną do gwiaździstéj lutni, zawieszonéj przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moję znów uklękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu: a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie, pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od téj rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilije białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszéj krainy: i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilije, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantany odbytéj przezemnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historya jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie, podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czémże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku. i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niéj kamieniu.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam — o! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy cztérdzieści;
Odkąd do mego płóciennego dworu
W téj kwarantanie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojém sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu:
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?

W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie — pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha;
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą — Cóż ja im odpowiem?

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niéj wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku
Śmiejąc się lekko trysnęła na braci;
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od téj nocy, tak pełnéj boleści,
Naznaczono mi nowych dni cztérdzieści.

Téj saméj nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,

A nie słyszałem, jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także téj nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
I porzuciły nas! i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowém?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo niesplamione chmurą;
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nie równe złotemu;
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła, wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem. Ach, ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Niktby nie dostrzegł, ja ojciec spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;

Stawał się, jak mój trup pierworodzony,
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! Na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takimi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
Ja z wielbłądami, na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził!
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzał: — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w mojém, w ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
I lepiéj mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od téj boleści
Naznaczono mi nowych dni cztérdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali,
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali.
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świéże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,

Najmniéj kochany w mém rodzinném gronie
I najmniéj z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień,
Skonał i skościał i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał;
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: jesteście przeklęci!

Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpaczy!
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyśle po nie,
Dziecko mi weźmie, żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moję głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na różę przeze łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła,
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła,
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć;
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich

Przeszło — nadzieja zaczynała świécić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichymi błyszczące,
Nawiedzać inne po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nisko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską;
Potém na moję najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję,
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jéj serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna — najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: ratuj mię! ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dziéweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci
A piękna była jak anioł — po śmierci.

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostrożni zaczepili hakiem;
Hak padł na pierś jéj twardą, krągłą, białą,
I tu... Bogdajby jak ja nie umarli!
Tu ją pod mymi oczyma rozdarli.

Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonymi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna;
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie!
Ona inaczéj wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie — jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze, dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko, dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się i, lekko napięte,
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz, że nawet tych wróbelków krocie,

Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna?
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję, i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się, za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężałem wzrok, serce i ucho,
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiéj nocy w grobie?

I nagle... Czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko:
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,
Bo zaraz matka, ja, oboje razem
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziécięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny
I tak rozdarty i taki żałośny
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny i taki przeklęty!!!

Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już, i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiéj jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie
Moje najmilsze! i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczéj,
Ubyło by mi z serca pół rozpaczy.
A to już, ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama,
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiédz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?..
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świéci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.

Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni cztérdziestu.
I kwarantany przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn, albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiéj błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:
Zdrów byłem. Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z téj kwarantany wychodziłem zdrowy;
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niéj jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni cztérdzieści...

Przed samą śmiercią, wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dziéciątka
Jakiéj pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłém pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biédna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy,
Znalazła jeszcze niezepsutém wcale,
Pocałowała w usteczek korale

I znów włożyła do trupich obsłónek. —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrosnéj ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potém wróciłem do płóciennéj nory
Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali starzy:
W pamięci mojéj żadnéj żywéj twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
Gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dziéciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami... i słuchałem blady
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie,
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz... Ach! boska nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda;
I ach! nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni cztérdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorżka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;

Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które... (o! Boże wiekuisty, świéć mi!..)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach! pomóż ty mi je zerwać, sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcéj boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czy nie są teraz jak męki obrazy!
Patrz na nie, dotknij, nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem siném...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie! uciekaj! ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy? ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potém cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś, oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich, patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.

1836.

POEMA

PIASTA DANTYSZKA HERBU LELIWA

O PIEKLE.

OFIAROWANIE.

U nóg twych kładę, o! żałosna wdowo
Polskiego ludu! o! Matko w żałobie
Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie,
I tych, co wierzą, że wstaniesz na nowo.

O! ty gotowa twą krew Chrystusową
Rzucić na twarze wątpiące i blade...
Warszawo! tę pieśń ci pod nogi kładę
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlękła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek, gdy grom weń uderzy;
Potém, schyliwszy czoło zamyślone,
Rzekłem: żeś klękła ty po tę koronę,
Co spadła z głowy i u nóg ci leży.

Florencya d. 15. listopada 1838 r.

Usiadł na grobie, gdzie jasne motyle
Około róż się kręciły grobowych;
Poprawił wąsa, i wylotów płowych,
I rzekł: pięcioro mam dzieci w mogile,
A zaś ostatni, wężowego płodu,
Syn mój ostatni jest zdrajcą narodu.
To mi włos siwy cały się wypręża
I drży i wstaje z głowy dębem węża,
Kiedy pomyślę, jak mi się zdradziecko
Ostatnie moje pohańbiło dziecko.
Lecz niech tak będzie! Pana Boga wola!
Kontusz wytarty, szabla i niedola,
I czapka krzywo zatknięta na głowie,
I moi gdzieś tam w mogiłach synowie;
Z tém ja, mój panie, jak królowie dumny,
Krzyż zrobię święty i pójdę do trumny.
A biada temu, pod kim się usunie
Mogiła moja i ziemia na trunie!
A biada, jeśli mój syn zdrajca stąpi
Na ten grobowiec, bo się rozestąpi,
Bo zeń czerwone płomienie wybuchną,
Bo nań wyskoczy, mój trup, moje próchno,
I kąsać będzie, robactwem oblizie,
Aż go zjé, aż go zdusi, aż zagryzie.

Patrzaj ty na mnie: ót taki jak jestem,
Widziałem boskich na oczy aniołów;
Ot taki nędzarz, brudny od popiołów,
Obmyty krwawym narodowym chrzestem,
Nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu,
Poszedłem sobie na górę Syonu,
Cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym,

Na zakrwawionym grobie Chrystusowym,
Za moje martwe syny się pomodlić,
A tego przekląć, co się ważył spodlić.
Za tych, co zabił tyran i zabija,
Zmówić na grobie trzy *Ave Maria;*
Na te mogiły, gdzie leżą krwawymi,
Jerozolimskiéj przynieść trochę ziemi,
I grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy
Posypać liściem srebrzystéj oliwy,
Która Chrystusa oroszona łzami
Wyrosła drzewem litości nad nami.
I cóż! przebiegłem błękitne żywioły,
Ot w tym żupanie i z tą szablą rdzawą,
A jak turecki jaki święty, goły;
A śpiąc pod żaglem, albo gdzie pod ławą.
I patrz jak podróż staruszkowi służy!
Wróciłem sobie jak żóraw z podróży,
Wichry mi trochę podszarzały skrzydeł,
Mój kontusz teraz nie do malowideł;
Przez pas wychodzą moje chude kłęby,
Szabla na skałach wyszczerbiona w zęby;
Lecz chociaż sobie wygląda jak chrobra,
Byleby wojna, patrz! co? jeszcze dobra!
Jeszcze jak niebo ma łono błękitne,
A jak nią świsnę! jak po czaszkach zgrzytnę!
Dalibóg! nie dam grać po nosie sobie!
Bom to zaprzysiągł na Chrystusa grobie.

Ale do rzeczy, Mości Dobrodzieju!
Tu mówią w karczmie i po domach plotą,
Żem się ja zapił aż na śmierć zgryzotą;
Że tracę nawet tę trochę oleju,
Którą ma z łaski bożéj twór człowieczy,
I roję sobie niestworzone rzeczy.
Mówią, że sztuką jakąś, może djablą,
Zaszedłem w piekle dzwonić moją szablą;
Że mi się trochę opaliła dusza,
Żem sobie nawet podsmalił kontusza;
Że mi skra padła na gołą łysinę
I wypaliła tajemniczą dziurę,

Skąd, kiedy piję, to wypuszczam chmurę,
A nawet mówią, iskry wielkie, sine.
Bogdajby djabeł oniemił fałszerze!
Ja w Pana Boga i w Chrystusa wierzę,
I co dnia mówię z kogutem pacierze.
A kto obelży mojéj duszy sławę,
Z tym ja mieć będę żelazną rozprawę.
A postaw tu dzban, jak gwiazdy zaświécą,
Ujrzysz, czy z mojéj łysiny skry lecą?
A jeśli lecą, to dobrze, nie pusta,
Więc pożar łatwo mi zalać przez usta;
A jeśli zatkam tę łysinę ręką,
Skry sobie będą wychodziły szczęką.
A ludzie niech się sami siebie strzegą!
A że ja palę się, co im do tego?
Otóż tak dobrze! dzban przyniosłeś wina.
Postaw tu, panie, tu — na téj mogile;
Niech trup zazdrości, że ludziom godzina
Uleci sobie jak złote motyle.
Bo cóż? my także grobów kandydaty!
A kto jak ja żył, lilijowe kwiaty
Mieć będzie kiedyś i polane rosą,
I drzewa, gdzie się słowikowie niosą;
I tak śpiewają i z taką rozpaczą,
Że aż tam brzozy na kurhanach płaczą.

Brr!... Coś mi, panie, teraz w oczach widno.
Słuchaj! Raz, jednéj nocy bez księżyca,
Widziałem, panie, rzecz strasznie ohydną,
Lecz nie mów o tém, bo to tajemnica,
Bo jakby na mnie to poczuli księża,
Gotowi wygnać z kościoła jak węża;
Ale nic o tém ani gwiazdek para,
Ani syn zdrajca, ani matka stara,
Co jeszcze żyje gdzieś nad wodą Niemna,
I kołowrotek swój obraca, ciemna,
Biédaczka, nie wie dotychczas o niczém,
Nawet, że tamci pomarli synowie;
Bo kiedy ręką mię maca po głowie,
To ja się różném przerabiam obliczem,

Udaję różny głos i różne twarze;
A potém ślepéj odgadywać każę,
Który z jéj synów stoi przy niéj blisko,
I zawsze inne powiada nazwisko;
Myśląc biédaczka, że przy niéj są bliscy
Synowie zdrowi i żywi i wszyscy,
A Bóg im dawno na niebiosach świéci,
A stara zamrze, to tam znajdzie dzieci!

Lecz to nie o tém mowa, mości panie!
Raz, kiedy była tu cisza ponura,
A ja siedziałem spokojny przy dzbanie,
A nad sosnami tymi była chmura
Rozrzucająca okropną ciemnotę,
A tam wisiało pod nią słońce złote,
A ja tak z czapką na bakier na głowie,
Mój mości panie, dwaj mię Aniołowie
Przyszli powitać, mówiąc: panie Piaście!
Zadziwiłem się i rzekłem: skąd waście,
Których ja nigdy znać nie miałem w zysku,
Wiedzą o moim rodzie i nazwisku?
Tak mówiąc, byłem w dyabelnym kłopocie,
A do mnie piękne te figury w złocie:
Nie bój się! Boga jesteśmy posłami,
A jeśli zechcesz przelecieć się z nami
Przez te ogromne, szafirowe pola,
To z twoją wolą jest i Boga wola.
Tak mi mówili; a ja, panie, rzeźwy
Wstałem: dalibóg! dziś przysięgam, trzeźwy,
I w dłonie klaszcząc, jak dziecina klaska,
Rzekłem: panowie jaśni! jeśli łaska,
Dajcie mi widzieć tych, co w piekle gorą,
A potém moich dziateczek pięcioro,
A potém jeszcze gdzieś na tamtym świecie,
O kim ja mówić chcę, zapewne wiecie?
Więc jeśli wola jest Jehowy na to,
Niech będę z tymi, co już poszli dawno
I włożeni są w ziemię lodowatą.
A gdy mówiłem tak, było mi jawno,
Że prośbę moję na próżno zanoszę,

I że nie zrobią święci, o co proszę.
Aż tu, mój panie, nad podziw, ci złoci
Biorą mię nakształt zerwanéj stokroci,
Biorą i prosto w tęczę złotowłosą,
Na ciemną chmurę, nad sosnami niosą;
I bez żadnego szelestu i dźwięku
Niosą szlachcica w niebo, z dzbanem w ręku.
A ja z nad chmury upuściłem dzbana,
I potém się aż dowiedziałem w siole,
Że upadł z nieba na księdza plebana,
I wybił mu jak talar guz na czole,
I zostawił mu siniec w upominku;
Pożałowałem dzbana i uczynku.

A to więc, panie mój, były nie żarty!
Na złotych skrzydłach jak król rozpostarty
Lecę a tęcza, co wisi na chmurach,
Świéci jak brylant na kontusza dziurach;
A gwiazdy żółte, różowe i sine
Sypią się dészczem na moją łysinę;
A księżyc blisko przybiega i staje,
I widzę srebrne rzeki, srebrne gaje,
Góry; o góry zaczepiłem pałasz,
A dotąd nie chce wierzyć pan bakałarz,
Choć mu po stokroć na honor mówiłem,
Gdy księżyc świéci w mgle, że ja tam byłem.

I tak mię nieśli boscy aniołowie;
A ja siedziałem jednemu na głowie,
Pusząc się dumą jak paw na folwarku;
Nogi zaś moje drugi niósł na karku,
Anielik mały jak różyczka młody,
I nogi moje dźwigał jak dwie kłody.
A takie były te aniołki skoczne
I takie zwinne, że nie oni sami,
Alem ja zaczął prosić się ze łzami,
Niech sobie stary na chwilę wypocznę;
Bo mi już kości trzeszczą jak łuczywo,
I w gwiazd mi żywych towarzystwie ckliwo.
I zaręczam ci na honor szlachcica,

Że postawili mię na dwóch podkówkach,
Na samym środku srebrnego księżyca;
I na różanych mię oparli główkach;
A ogień zaczął mi iść przez łysinę —
Jeżeli kłamię, panie, to niech zginę!
Ogień wybuchał przez kości i skórę,
I z księżyca szedł jak kolumna w górę.
A stąd urosło o mnie to przysłowie,
Żem się wypalił na księżycu w głowie.
Ale w tém, panie, prawdy ani trocha!
Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha,
Choćby się palił dla niéj przez dwa wieki,
I gdzieś jak żóraw odleciał daleki,
I gdzieś przez lat sto więdniał od rozpaczy,
To jak swą szablę i swój kraj zobaczy,
To jak usłyszy, że krzyczą do broni,
Przed panem Bogiem się tylko ukłoni,
A potém ludziom odpowie na hasło,
Że miecz nie ściemniał i serce nie zgasło.
To i mnie widzisz, że jeszcze gotowy,
Choć mi czuć dawno już wilgoć cmentarza,
I zapach trumny nozdrze już obraża,
Zapach posępny, smutny i cedrowy;
To chociaż czuję, że przez bliskie rżysko
Leci koń śmierci — i leci i tętni,
I już nadbiega z próżném siodłem blisko;
Nim wskoczę, biada! kto mi się nawinie!
Biada! kto moję ojczyznę zasmętni!
Bo nim łza po mnie, to wprzód krew popłynie.
O! wy nie wiecie, co się w sercu złoży
Zemsty i bolu, nim się grób otworzy?
O! wy nie wiecie, ile dusza dzika
W jeden cios szabli na przyszłość zamyka?
Wiele modlitew o zgon ludzki kładnie?
Aż z takim ciosem pierwsza głowa spadnie!
To może wtenczas, gdy ją w piasek rzuci,
Do Pana Boga i modlitwy wróci,
I spokojniejsza sądów boskich czeka,
Ubrana w jasną szatę, w krew człowieka...
Ale to mary! to są mary krasne!

Ja potępiony, niezemszczony zasnę.
Z sercem na zemstę tak długo upartém
Ludzie zostawią śpiącego w kurhanie,
Śpiącego starca, w kontuszu wytartym;
I tak na wieki będzie, tak, mospanie!
Przybędzie tylko ku kraju ozdobie
Jeden grób więcéj — i starzec w tym grobie.
A słowiki mu chór żałości utną...
I cóż?... Na księżyc wróćmy, bo mi smutno.

Otóż, jak mówię!... Hej! doléj mi szklanki!
Gardło jak suche, to gra jak w multanki;
A tu mi trzeba o piekielném dziwie,
Jak psu po nocy, zaszczekać chrapliwie.
Idę przez księżyc złocisty i szary,
I napotykam trzy okropne mary:
Przy ogniu trójka siedziała spokojna,
Około ognia głód, dżuma i wojna.
Siedziały cicho i w kotle warzyły
Trupy z wczorajszéj wyjęte mogiły.
Widząc te rzeczy w lodowatéj strefie,
Krzyknąłem: Jezu, Maryo, Józefie!
A pocieszywszy się modlitwą skrytą,
Rzucam się na nie z szablicą dobytą;
Rzucam się wściekły; jak tnę bogobojnie!
Uciąłem prawe ucho pani Wojnie;
A głód je chwycił i gębę rozdziawił,
Połknął uszeczko siostrzycy i strawił,
I w kocioł je wnet rzucił z drugiéj strony.
Stałem i wąsa kręciłem zdziwiony...
Myślę, co robić? A dyabli to wiedzą?
Co utnę szablą, to połkną i zjedzą.
Twarz mi się zgrozą stała — trochę blada,
Bo, panie, sprawa z dyabłami nie lada!
I przemyślałem więc *summarum summa*,
Co robić? Aż tu do mnie pani Dżuma:
Nie indycz się tak, krzyknęła, szlachcicu!
Na srebrnéj ziemi, na zimnym księżycu,
I nie bądź takim przeraźliwym Serbem;
Wszak ty Leliwę, księżyc miałeś herbem?

Więc może ciebie nie bardzo rozbestwię,
Prosząc na ucztę w twém własném królestwie;
Siadaj przy kotle i powąchaj woni
A potém, proszę, jedz... bez ceremonii.
Na takie *dictum* choć, przysięgam jeszcze,
Dyabelne jakieś szły po skórze dreszcze,
Zbliżam się... z kotła idzie krwawa para,
Wonna... myślałem, że gotują cara
Lub inną jaką potępioną liszkę;
Zazieram.. krwawy war... proszę o łyżkę...
Dają mi, wielka jak łopata, sina,
Dobywam z kotła coś... to głowa syna!
Struchlałem! Syna mojego głowinka!
Blada i krwawa; oczki otworzone,
Usteczka jeszcze jak róże czerwone,
Twarz, oczka mego najmłodszego synka!
Patrzy się na mnie, żółciutki jak woski;
I tak trzymałem go za złote włoski,
I nie wiedziałem, wyć, płakać czy szczekać?
Aż widmom z oczu krew zaczęła ściekać,
I rozpłakały się, krzycząc: szlachciuro!
Nam samym smutnie, zimno i ponuro,
I drżą wnętrzności jak żywoty matek,
Słuchając, jak ty płaczesz twoich dziatek;
A nie obwiniaj nas! bo my bez plamy!
My je od ojca kochanego mamy,
On je tam łowi gdzieś w krwawym potoku,
I w morzu płaczów — i nam tu co roku
Przysyła takich głów tysiące darem;
Ojciec, co karmi tak, zowie się carem;
A my kochamy go, bo dla nas dobry.
Mówiły: a ja płakałem jak bobry.
I płacząc, kociół mięszałem aż do dna;
Więc najstarszego syna głowa chłodna,
I główka tego, co był w rodzie średni,
I pięcioro ich... wszyscy moi biédni!...
Wszystko pięcioro głów z kotła dobyłem,
I nie płakałem już po nich... lecz wyłem.
I tak mi wyschły źrenice rozpaczą,
Że zawstydzały mię widma, co płaczą.

Jakby martwica, co po piekle hasa,
Wiążę te głowy trupeczków do pasa;
Tak przywiązuję tu, za włoski złote,
Pod samém sercem, najmłodszą sierotę;
A tu wąsatą twarz syna ułana,
A tutaj trzecia, czwarta przywiązana,
A piąta wisi tuż przy rękojeści:
I tak z wszystkimi pięciu... o! boleści...
Aż na te widma zimna padła trwoga...
Głośno krzyczałem, że idę do Boga.

O! haniebna to była maskarada!
Gdybym się kiedy tak we wsi pokazał,
Proboszcz by dziatek leciała gromada.
Za mną by dzwonić w dzwon umarłych kazał,
A tam... krew ciekła na księżyca bruki;
Leciały za mną wrony, sępy, kruki,
Wilki wyjrzały z parowów i jękły,
Aniołki znikły, bo się mnie przelękły.
Przecież, żem nie był zbój, to łatwo dociec,
Na czole miałem napisano: ojciec;
W oczach łzy były, co wszystko tłómaczą,
Zabójce tak nad trupami nie płaczą.
Szedłem przez góry, szedłem przez padoły;
I nie wiem, gdzie szła ta piekielna droga,
I nie wiem, czyli tam chodzą anioły;
A ja krzyczałem, że idę do Boga.
Idę przez ciemne, tajemnicze światy,
Ukochanymi trupami skrzydlaty,
Idę, a język mi syczy jak żmija,
Mózg wszystko pali, łamie i zabija;
Boleść, co w sercu, cały świat oskarża,
Mój widok sądem jest, mój płacz przeraża;
Umarli, co mię zobaczą, nie zasną;
Bóg może nawet twarz odwróci jasną.
Na blask boleści, który zemnie strzela,
Od krwi, co w kontusz wypłowiały sięknie,
Matka się boska odwróci i zlęknie,
Myśląc, że była matką Zbawiciela.

Idę... wtém, panie, patrzę jakaś szklanna
Z księżyca w niebo wytryska fontanna;
A od niéj leci woń miła i słodka,
A przy niéj tańce, pląsy i chichotka.
Dziéwczęta hoże, proste jak badyle,
A ze skrzydłami jak polne motyle;
Za dziewicami rój kochanków młody
Goni, całuje i spycha do wody;
A ukąpane dziéweczki wychodzą
Piękne jak róże, co się dzisiaj rodzą,
Piękne jak białe narcyzy do wianka,
I za kochankiem znów leci kochanka,
I nikną w łąkach. A ta wywrócona,
Gdzieś szafirowe łowi winogrona;
A ta do wody kryje się jak płotka,
Nie mając innéj szaty jak ta woda;
A ta całuje kogo tylko spotka:
Wszędy wesołość, śmiechy, miłość, zgoda.
Zmartwiałem... wąs się najeżył surowy,
Spojrzałem gorżko na dziéciątek głowy:
Szukam, znajduję dwa kamienie duże,
Chwytam... wtém jeden zamienił się w różę,
Drugi w motyla; tak, że z gniewu burzą,
Motylem na nie rzuciłem i różą.
Wściekłość mię zdjęła! Wtém jedna z dziéweczek:
Patrzcie! krzyknęła, co to za figura?
Patrzcie! krzyknęła, co za aniołeczek
W starym żupanie! patrzcie, co za gbura!
I wszystkie w śmiechy: cha! cha! cha! cha! cha! cha!
A jedna do mnie: proszę pana Lacha!
Proszę tu bliżéj, tu nie ma zazdrości,
Dla wszystkich płynie fontana młodości;
Proszę tu bliżéj; zagrzéj sobie żyły,
A wyjdziesz świeży jak kwiatek z mogiły;
Odrzucisz czaszki zbierane na grobie,
Wymyjesz tę krew, co z żupana cieknie,
A potém sama zakocham się w tobie,
I przekochamy czas, i czas ucieknie;
Proszę tu bliżéj! proszę do fontanny!
Tak zapraszała ta i drugie panny.

A tu mi wtenczas już gniew nie wystarczał,
Zęby szczęknęły i język zawarczał:
A wy niegodne! a wy kogutnice!
A tam kraj we krwi? a tu w różach lice?
A tam mogiły — a tu! — bierz was dyabli!
Jak skoczę, panie! jak dobędę szabli!
Jak się z krzyżowym wypuszczę zamachem!
Wszystkie różyczki w nogi! ja za nimi —
Lecą ogromnym ścigane przestrachem,
Biją mię w oczy włosami złotymi;
A ja zaś rąbię: co machnie szablica,
To utnie kawał srebrnego księżyca.
A te się śmieją, biegną i wietrzeją
I za laury się kryją i znów śmieją,
I przez cyprysy kukają jak róże;
Ażem się cały w łzy zapocił duże,
A tak mi serce wściekło się grobowe,
Że odwiązawszy z pasa syna głowę —
Przypadkiem głowa to była ułana —
Jak za włos chwycę! jak zakręcę wartko!
Jak palnę!!! czarna z niéj krew jak ze dzbana.
Ułan — miłosne to było lampartko! —
Skoro się poczuł, w trop za dziewczątkami,
I dyabli by go nie wstrzymali sami.
Kręci się, leci, kolorów nabiera,
Wąs się zakręca, oko się otwiera,
Jak w lot się puścił, tak leci i leci;
A trupek to był! a proszę waszeci!
Fartuszkiem swoim z bielutkiego rąbka
Najpiękniejsza go wzięła jak gołąbka,
I przytuliła: i chórem gromadnim
Zaczęły wszystkie piękne płakać nad nim,
Aż mi jęły ciec łzy po siwych wąsach.
Zostańcie! rzekłem, zostańcie wy w pląsach!
Wy, co i płakać umiecie rycerzy!
Przy waszém sercu mu dobrze, niech leży;
Niechaj spoczywa, a wy, moje młode,
Lejcie na niego tę młodości wodę;
A choć nie zbudzi, to lepsza jest ona
Polewać trupy, niż łza moja słona.

Ubierzcie go wy w kwiaty lilijowe,
Tańcujcie nad nim i bądźcie mi zdrowe.
Bo mnie staremu inna niż wam droga,
Bo ja mam krwawy zapozew do Boga.
Tak mówiąc, w serce jakby mieczem ranny,
Od śmiejącéj się odszedłem fontanny.
A wiatr z prędkimi lecąc za mną echy,
Przynosił długo płacz, róże i śmiechy.

Lecz to na długą powieść się zabiera;
A człowiek grzeszny częstokroć umiera
I małéj bajki życia nie zakończy;
A nad nim wszyscy w śmiech! a! wstyd, mospanie!
A cóż robiłeś ty na życia łanie?
A rzadko jaki tam anioł obrończy
Stłumi obmowy gadające licho,
Mówiąc: on w grobie śpi — gadajcie cicho!
Więc o to chodzić każdemu powinno,
Ażeby finis był w jego żywocie;
Jak jednę powieść skończy, zacznie inną
Gdzieś tam na tęczach w promienistém złocie,
Gdzie już nie pójdzie nic chęciom opacznie.
Kiedyż się moja taka powieść zacznie?
Jużem grób sobie jak z'arnu wyorał,
Ale bierz dyabli grób, ciało i morał!
Do rzeczy, panie! Na końcu księżyca
Stoi piekielna jakaś szubienica,
I biédne ludzie po śmierci przestrasza,
Kołysząc trupem brzęczącym Judasza.
Za szubienicą zaś tą, o pół ćwierci
Mili niebieskiéj, stoi brama śmierci.
Nie dla tych ludzi, co szli wedle cnoty,
Ale dla krwawéj piekielnéj hołoty.
A na téj bramie są różne napisy.
Na szabli mojéj, jak żebrak na kiju,
Przed piekłem mój łeb uchyliłem łysy
I czytam: tutaj: *sacré nom de Diu,*
Ognistą szablą jakąś grenadjera
Wyrysowane, stoi w dyamencie.
Tu inne jakieś straszniejsze przeklęcie:

Carrajo! Goddam! do stu et cetera.
I różne takie, mój panie, rysunki
Nosi na sobie ta piekielna wieża,
Żem się pokornie udał do szkaplerza,
I odmawiałem pobożnie korónki;
A dreszcz mię przebiegł i przejęła skrucha,
Widząc, jak za tą wieżą ogień bucha.
A tutaj do mnie z bramy jakiś człeczek
Krzyknął: szlachcicu! — ja zaś, nie chcąc sprzeczek
Z dyabłami, udał, żem ślepy i głuchy,
I litanije trzepię pełen skruchy,
A patrzę zezem; a ten nieboraczek
Z ognia wydobył nos krzywy jak haczek,
I kichnął skrami i łzy miał na licu;
I znów mię prosi: mój panie szlachcicu!
Jeżeli twoja łaska, albo czyja,
Niech zmówi za mnie sto Ave Maria;
Jam cenzurował książki i obrazki,
A teraz w piekle zowię się Sz.n..ski..
A dyabeł tutaj mię postawił na to,
Abym nie wpuszczał myśli; a pod stratą
Duszy moskiewskiéj uczynić to muszę,
Bo choć ją dyabeł rwie, mam jeszcze duszę!
A! to, krzyknąłem, rzecz niesprawiedliwa,
Cenzory w piekle palić jak łuczywa?
A przyznam ci się, żem nie wiedział prawie,
Kogo ja z piekła do nieba wyprawię.
Już się za szkaplerz biorę nieświadomy,
Aż tu w koronkę dwa czerwone gromy!
Aż tutaj szkaplerz i szlachcic się pali.
Uciekam — widzę rzekę — buch! do fali!
Wpadłem, myślałem, że już na dnie leżę;
Lecz te główeczki dziatek jak pęcherze
Płyną po wodzie i mnie starca niosą.
O! wy z twarzyczką białą, złotowłosą;
O! wy dziéciątka moje z twarzą młodą,
Jak wy nosiły mię nad piekła wodą!
Jak wy dźwigały mię śród tego wrątka!
O łabędzie wy moje! o dziéciątka!
Próżno mię jakiś chciał wyrwać z powodzi,

I do swéj czarnéj zapraszał mię łodzi
Człowiek, co wożąc mgły, zarabia chleba;
Odpowiedziałem: łodzi mi nie trzeba,
Bo mię tu niosą synaczkowie moi;
Wody nie trzeba, bo mię łza napoi,
Ani rozmowy, bo trupki te bawią,
Ani modlitwy, bo mię one zbawią;
A zaś przed Bogiem nie trzeba wymowy,
Bo za mnie będą mówiły te głowy.
A wszystkie trupy, co na łodzi stały,
Na moję głowę pokazując sobie,
Pytały: czy to jaki łabędź biały,
Co smutnie śpiewa, gdy ma zasnąć w grobie?
Bom się unosił, śpiewając żałośnie,
Po czarnéj wodzie, co z łez ludzkich rośnie.

Nie patrz ty na mnie, gdy ja w smutek wpadam;
Bo wtenczas nie wiem, co się ze mną robi,
I cały we łzach utonąwszy, gadam.
Lecz gdy mię starca wesołość ozdobi,
Wtenczas mi śmiało możesz patrzeć w oczy.
Śmiejmy się! ej ha! aż serce podskoczy!
Śmiejmy się jako woda zwierciadlana!
Śmiejmy się! — pozwól, że zajrzę do dzbana.
Hej tak! otarłszy pot na siwéj skroni,
Spuściłem pałasz, niech po piekle dzwoni.
Człowiek podściwy, to nie tajemnica,
Po całém piekle niech słyszą szlachcica.
Twarz polska nie ma obłudnéj skorupy,
Niechaj w nią patrzą jak w zwierciadło trupy.
Kto ma z płomieni posłanie i trunę
A w grobie mi się z oblicza podoba,
Za tego westchnę, a kto nie, to plunę.
Albowiem szlachcic żywy... to osoba...
A król umarły — jest to rzecz nicości,
Troszkę robaków, pfu, i trochę kości.

Lecz wprzód opiszę jaką tam strukturą
Stoi ta wieża, zwana trupów górą.
Czarna po wierzchu, czerwone ma wnętrze;

O siedmiorakim zbudowana piętrze,
Różne języki w niéj mówią i płaczą,
A wchodzisz na nią drożynką ślimaczą.
A czasem ciemno tak, choć wykol oczy;
A tam grom wytnie, a tam wąż wyskoczy,
A tam lew ryknie, a tam żmije pisną,
Czasem jak wilcy trupi okiem łysną:
Śród takich strachów, śród takiego dziwa
Szedłem Dantyszek, Piast herbu Leliwa.
A każdy mi trup mówił: dobra droga!
Wiedząc, że idę ze skargą do Boga
I niosę cztéry główki mego rodu,
Jak pokrwawionych gołąbków dwie pary;
I mam w kieszeni manifest narodu,
Abym przeczytał go przez okulary
Przed Panem Bogiem, i dowiódł rozprawą,
Że szlachcic, kiedy zabija, ma prawo.
Że mu przystojnie, gdy przed Bogiem stanie
Ze krwią na szabli, ze skargą na zębie,
Bo cóż... był biały... ale to, mój panie,
Jak okrwawione po nocy gołębie,
Kiedy na pole walki pić przylecą;
Nie wiedzą same, co piły? czém świécą?
Tak i my biédni, ludzie nieobłudni,
Cóżeśmy winni, że krew w naszéj studni?
Cóżeśmy winni, że krwią czara tłusta
I krwawe oczy i czerwone usta?
To może nawet nam i serca bolą
Jeść ciągłą zemstę z łez żałosnych solą!
Ale cóż robić? tak nam być na wieki
Ludziom bez Boga litosnéj opieki.
Tak, aż się kiedyś tam szala nachyli,
Choćbyśmy do dnia sądnego krew pili,
Bądźmy jak męże, co walczą i mszczą się;
A choćby tyle w nas życia jak w kłosie,
Co rośnie pośród gdzieś przejezdnéj drogi,
Zdeptani, stokroć wstaniemy na nogi!

Tu cię na wstępie powieści przerażę...
Wieża piekielna oparta na carze,

Na jednym trupie, jak na zgniłym palu,
Cała się trzęsie, wisząc na Moskalu.
A nie dziw się ty sile trupiéj belki,
Bo to w osobie piekielnéj Piotr Wielki.
Siedzi pod wieżą, a na niego z cebra
Jakieś straszydło okropne, puhacze
Wylewa ciepłą krew ludu i płacze,
I oczerwienia mu łeb, piersi, żebra.
Przed tém straszydłem, co siedzi czerwone,
Myślałem z trwogą, że we krwi utonę.
Co robić? krwawa podemną kałuża,
Nademną smutnie krew ludzka szeleści;
Straszydło siedzi i oczu nie zmruża,
A oczy jego czerwone jak róża.
A tyle w nich krwi, że łza się nie zmieści.
A rzecz straszniejsza! każdy trup włóczęga
Carowi temu na wierność przysięga;
We krwi się topią mary niedołężne,
Ogień zapalił im palce przysiężne,
Tak, że każdego kościo-trupa wdzięki
Widać przy ogniu palącéj się ręki.
Palą się, klęcząc... A tu nowe dziwo!
Krew do mnie woła po polsku: Leliwo!
Jam jest krwią ludzi umarłych bez plamy!
Jam jest żałosną i męczeńską jestem!
O przekop ty mi twoją szablą tamy,
A ja popłynę z płaczem i z szelestem,
I całe piekło mszcząca się zatopię.
Rzekła: ja zaraz do szabli i kopię.
I krew się cała z kałuży wywala,
Skarży się, płacze i szumi jak fala,
Zagasza trupom płonące ramiona,
Cała dolina we krwi, już czerwona.
Wszystko się topi jak w sądu godzinę,
Ja sam, co rów ten wykopałem, płynę,
Już po pas we krwi, już czerwona szyja,
Już wąsy... Jezu! krzyknąłem, Marya!
Piekło się wali, a dajże go biesu!
Co jeden szlachcic narobił tertesu?
Piekło zalane krwawą falą ginie,

Szatani toną... pan Dantyszek płynie.
Powietrza nabrał sobie w twarz pyzatą,
Urąga z głupiéj fortuny jak Kato.
Łysina błyszczy ludziom potępionym
Jak biały księżyc na morzu Czerwoném,
Szabla rdzawieje... Niech ją biorą dyabli!
Polak w kołysce i w trumnie przy szabli.
Wreszcie znudziło mi się tak żeglować
I pomyślawszy, zawołałem: Chryste!
W Imię Twe święte racz Ty mię zachować.
I wnet uchwycił mię ktoś jak w ogniste
Skrzydła, i wyniósł w nieskończoność ciemną,
I przez powietrze mgliste leciał ze mną.

Skorom wyleciał nad czerwone brody,
Zacząłem wołać: wody! wody! wody!
Czarny cherubin, co mię w skrzydłach nosił,
Skoro posłyszał, żem pokornie prosił,
Postawił ciało me grzeszne na skale,
I ulitował się mnie, i wspaniale
Oko swe własne z nad dzióba wyłupił,
I dał mi z oka pić... a jam się upił.

Polak prawdziwy, kiedy się upije,
Wspomni ojczyznę i płaczem zawyje;
Potém, jak ludzie w zmysłach nieprzytomni,
Śmieje się głośno, gdy o niéj zapomni.
Tak ja, mój panie! to śmiech, to łzy żywe
Lałem na moje długie wąsy siwe.
I cóż! gdy miła ojczyzna nie żyje,
Kto starca może obwiniać, że pije?
Hej! nieście dzbany! i stawiajcie w koło,
Niech pomagają umierać wesoło;
Niech pomagają tysiącami dźwięków
Nie słyszeć kajdan i płaczu i jęków;
Niechaj na kwiaty obalają śliczne,
I pod lipami do snów cichych tulą.
Na cóż nam serca chować balsamiczne?
Cóż po tém? że łby siwe się rozczulą
I znów na piersi zasklepioną ranę,

Jak łby łabędzie, spadną zadumane?
Co zrobią myśli pod czaszką ogromną?
Przypominając .. co sobie przypomną?
Nic... Wszędzie nędza, smutek i zgryzota!
Ojczyzna... kawał skrwawionego błota!
Polak... wygnaniec, męczennik, sierota!
To pić i szukać zapomnienia w dzbanie,
A zbudzić serce, gdy kraj zmartwychwstanie.
Upił się starzec... a tu właśnie sina
Zachodzi jemu drogę Katarzyna.
Spojrzałem na nią! o krwawa! o sroga!
Trupy! skrzydełka! nieście mię przed Boga!
Spojrzałem na nią i w źrenicę cisnę,
I powiekami mogiłę zawarłem;
I będę milczał, aż ją krwawém garłem
I krwawém okiem przed Bogiem wybłysnę;
Aż, ze mściwego serca wyrzucona,
Przed Panem Bogiem upadnie i skona.
Trupki! skrzydłami wy bądźcie pośpiechu...
O wy nie śpieszne już! o wy leniwe!
Główki! ptaszęta wy moje nieżywe!
Ja się wam każę nieść przez kraje grzechu
A wy płaczecie, i wasz głosek niemy
Mówi mi: Ojcze! my już w grobie śpimy!
Dobrze! nie będę was płakać, o! dziatki!
Ani jak ojciec, ani tak jak matki;
Lecz jak jaskółka jaka nieszczęśliwa,
Co puste gniazdo skrzydłami nakrywa,
I o swych dzieciach jak o żywych roi,
I pod skrzydła się własne zajrzeć boi.

Ciało carycy zgniłe, starożytne
W sercu ma węże, jak miecze błękitne;
Za sobą skrzydła te wężowe wlecze,
A z czarnych piersi krew jak koral ciecze;
Na grynszpanowéj krwi te węże tyją,
I nad umarłą niewiastą się wiją;
A twarze mają blade martwych ludzi,
A usta im krew zastygniona brudzi,
A z bladych twarzy wznoszą się do góry

Płomienne z ognia piekielnego sznury
Tak, że ujrzałem i dziś jeszcze widzę
Na siedmiu wężów splątanéj łodydze,
Jakby ten świécznik tyleż liczył prawie,
Widzę głów siedem trupich i błyskawic.
Świécznikiem była. Tu nagle, o zgroza!
Jeden wąż nad nią nagiął się jak łoza,
I zdjąwszy z siebie człowieka oblicze,
W usta jéj czarne, krwawe, tajemnicze
Wszedł i do serca aż może przeniknął,
Bo potém wyjął głowę i krwią syknął;
A senność jakaś spadła na umarłą,
Poziewające otworzyła garło;
Patrzałem trwożny, co się daléj stanie,
A z niéj ogniste wyszło poziewanie
I w gadzinę szło jakby płomień siny;
A drugi płomień w trupa szedł z gadziny.
I tu już wstrzymać nie mogłem szablicy!
Jak tnę w nadęty żywot czarownicy,
Cały otworzył się jak czarna grota;
Wyszedł dym, płomień i węże z żywota.
Węże i na mnie lecą czarnym kłębem,
Próżno je szablą tnę, zgrzytając zębem,
Próżno; z gadziny rodem nie ma rady;
Ten kłębek w setne rozsypał się gady.
Lecą i myślą, że szlachcica zniszczą,
Lecą i skrami sykają i świszczą.
Uciekam, a wąż tuż, tuż za mną ściga.
Odcinam się im, kręcę się jak fryga;
Wreszcie do głowy po ostatnią radę,
Chwytam dziéciątko moje jedno blade,
Rzucam je, więcéj sam niż trup wybladły;
Na głowę dziecka wszystkie gady wpadły,
I okręciły ją wiankiem i zjadły...

Tam węże jedzą głowę, a tam krzyki!
A tu mię liżą płomienne języki;
A tu duch jakiś okropny, ponury,
Ze złotą tacą, w chałacie z purpury,
Idzie i usty ognistymi piecze

Na złotéj tacy — co? — serce człowiecze.
Spojrzał nocnego na mnie okiem ptaka,
I rzekł mi: patrzaj! to serce Polaka.
Kłamiesz! krzyknąłem, straszydło szkaradne,
Bo w nas się serce tak nie trzęsie żadne,
A choćbyś rozdarł mi szponami ciało
I wyjął moje, aniby zadrżało.
A ta rzecz drżąca i zgniła i szara,
To musi serce być jakiegoś cara;
To serce, co jak wąż z tacy umyka,
Musi być z cara, albo z niewolnika,
Bo drży wyjęte z piersi, bo się boi.
A duch: co ci się, mój szlachcicu, roi?
To serce przyniósł tutaj pies szatański,
I szczeknął do mnie, że to Erywański;
A ja upiekłem je dla Lucyfera.
Tak mówiąc, usta na nowo otwiera
I na to serce ogniem z gardła dmucha.
Serce się kurczy pod ustami ducha,
Więdnie, i krwią się rozlewa po misie;
A kiedy szatan jaśniéj dmuchnie, skrzy się.

Poszedł. A szlachcic, poleciwszy Panu
Serce Polaka, co nie dźwięk liczmanu,
Ale dotknięte od fortuny młota,
Wydaje smętny brzęk szczérego złota,
To serce Panu oddawszy w pokorze,
Wyszedł jak okręt na nieszczęsnych morze.
I wyżeglował w jakieś kraje smętne,
Gdzie było niebo krwią narodów mętne,
I krwawa tęcza była na ciemnicy,
Jak wstęga z cichéj krwi i z błyskawicy.
A całe niebo zielone jak z miedzi.
A pod tą bramą czerwoną trup siedzi.
Złożyłem ręce na piersiach pobożnie,
Koło martwego przechodzę ostrożnie,
Abym nie trącił o rzecz taką cichą,
Siedzącą martwie pod krwiami narodów.
Idę — i moją nie dźwięczę szablicha,
Myśląc, że to jest jaki trup Herodów,

Któremu tu jest wieczności początek
I wieczna skrucha za rzeź niewinniątek.
Aż tu ktoś do mnie z ciemnego powietrza:
Pluń w twarz, zawołał, téj bezwstydnéj marze,
Która jak szakal tu krew trupią zwietrza.
Stanąłem, myśląc, że Boga obrażę,
Że mię tu szatan w swoje sidła łowi,
Każąc mi w ciche lice plwać trupowi.
A gdym z sumieniem zadał się do sporów,
Głos znowu krzyknął: plwaj! bo to Suworów!
Ha! ha! krzyknąłem, szlachcicu! Moskalu!
Więc i ty teraz po krwi naszéj w żalu?
Siedzisz jak żeglarz na rozbitéj łodzi,
A krew po oczach przelęknionych chodzi;
I nigdy na nie nie spada powieka;
A czasem tylko mgnienie krwi powleka
Sine szkło, w czaszce oprawione trupiéj,
A czasem się wzrok cały w tęczę wsłupi;
A wtenczas, jako liść na drzewie chory,
Źrenica twoja ma różne kolory,
I różne blaski i haniebne cienie
Miota o rzezi mówiące sumienie.
Czy słuchasz jeszcze pod okropną tęczą,
Jak matki krzyczą? jak dziéciątka jęczą?
Jak wyrzynana Praga wre i płacze?
Maro! na ciebie żaden wąż nie skacze,
Żadna przy tobie nie szeleści dusza;
Lecz piekło trupów się pod tobą rusza;
A tęcza, jak bicz na ciebie okrutny,
Bo siedzisz blady, drżysz i jesteś smutny.
To nieszczęśliwym nam znośniéj w ciemnicach,
Z łańcuchem u nóg, ze łzami na licach;
Mniéj obrzydliwie, gdy z więzienia nory
Wychodzą blade szpiegowskie potwory,
I stają, nakształt ciemnego anioła,
Słuchać, co we śnie mówią blade czoła.
To stokroć lepiéj w krwawą upaść rzekę,
Oddawszy duszę swą Panu w opiekę,
I świat utracić, jak rzecz jaką podłą,
A potém, gdzieś tam, pod cmentarza jodłą

Leżeć spokojnie, i z umarłych pychą
Słuchać, jak sławy hymn śpiewają cicho
I przerywają sobie często łzami
Żywi, śpiewając — nad zmarłych trumnami.

Hej! hej! piekielna rozszerza się góra,
Im daléj idę, tém bardziéj ponura.
A tu jakiś trup, niby wierzba sucha,
Ogniem jest jasnym po głowę od brzucha,
A jeszcze, panie! uda ma zupełne,
Wewnątrz oleju, krwi, żył, ognia pełne.
Tak opuszczona chrzcielnica kościelna,
Gdzie była niegdyś woda nieśmiertelna,
Kiedy ją ludzie opuszczą, pleśnieje,
Wąż ją wypełni i mech przyodzieje:
Tak i w żywocie tym trupim już gady,
Płomień i błędnych iskierek gromady;
A nad tém wszystkiém śpleśniała skorupa,
A ciągle nowy grzmot walił w półtrupa.
I taki był blask, że szlachcic Leliwa
Myślał: tam Bóg się za światłem ukrywa.
Z taką nadzieją człowiek nie ze słomy
Krzyżem się świętym opatrzył — i w gromy!
Skry go opadły, a piorun potrąca,
Nie dotknąć szabli, jak ogień gorąca.
Duszeczki, z twarzą niż lilijki bladszą,
Na starca z ognia piekielnego patrzą,
Proszą biédaczki o Ave Maria;
Szlachcic się żegna, modli się i mija.
Męki się biednych duszeczek użalił,
I szedł, i w ogniu Pana Boga chwalił.

Przeszedłem gromy i ognistą chmurę,
Idę, a oczy zanoszę na górę.
A tu na złotém niby słońca denku
Krzyż — A szlachcicu Piaście, pomaleńku!
Do krzyża waćpan przystępuj z pokorą,
A niech obłudne ludzie dyabły biorą!
Lecz krzyż, choć w piekle siedzi przez trefunek,
Niechaj u siwéj głowy ma szacunek.

Wtém patrzę, napis haniebny, o! trwoga!
„Na krzyżu nigdy tym nie było Boga“.
Cóż to! krzyknąłem, więc to jakaś stara
Szatańska sztuka! krzyża trup i mara.
A to co? Jakieś pobożne trupiątko
Złożone rączki trzyma jak dziéciątko;
W grobowcu świeżo wykopanym klęczy,
Podnosi ręce, skarży się i jęczy;
A ma na głowie koron potrojenie,
W koronach z ognia żywego kamienie,
Twarzyczkę suchą, co się wiecznie łzawi.
A tu niech mię Bóg, jeśli może, zbawi,
A człowiek, jeśli chce, niech nie dowierza:
Ale ja powiem, żem widział Papieża.
Tu mi się wszystko pomięszało w oczach;
Chwytam na złotych wiszącą warkoczach
Główeczkę syna i rzucam na marę;
A trupek złotą mu strącił tyarę
I tak uczynił pokutnika z króla.
A ja krzyczałem: Papieżu! a bula?
Tu starzec zawył z przeraźliwą chryją:
Krzyżu! trupami na mnie, wołał, biją!
A ja na jego płaczu kiryele
Rzekłem: a co ty robiłeś w kościele?
Takżeby Chrystus dziatki w krwawych rosach
Trzymał na łonie i głaskał po włosach?
Bo my dziatkami prawie niewinnymi
Kładli się we krwi na ojczystéj ziemi.
A ty, o stary! czyś wyciągnął dłonie
Ku téj ojczyźnie, która we krwi tonie?
Czyś ty się za nią pomodlił przed Bogiem?
Widzianoż ciebie przed ołtarzów progiem,
Żeś sypał popiół na twe włosy siwe?
Trupami cię przywalę! znaj Leliwę.
A w niebie skargę na ciebie zaniosę
Pannie Maryi, królestwa patronce;
I całą tęczę aniołów roztrącę,
I przejdę całą gwiazd różowych rosę,
I na księżycu jéj białym uklęknę;
I tak ją łzami skruszę — krwią przelęknę,

Że wreszcie z niebios błękitnych wyprawi
Anioła, co nas pocieszy i zbawi.
A ciebie, coś tył pacierzem i czaszą,
Złożyć by w ten grób i krwią zalać naszą!
Na to staruszek: wcale nie potrzeba,
Rzekł mi, po zemstę chodzić aż do nieba.
Obacz! jak mię ten krzyż za szyję ściska.
Tak mówiąc, starzec wyszedł z grobowiska
I Chrystusowe szedł lizać znamiona;
A krzyż go w czarne uchwycił ramiona,
Podniósł za szyję, wstrząsnął i uścisnął,
Aż trup sowimi zrenicami błysnął;
Z szyi się własnéj rwie jakby z powroza.
Krzyż zadrżał — ciało upadło. O! zgroza!
Urwany się trup w mogile położył,
A krzyż żałobne ramiona otworzył;
Głowa człowieka, wzrok miotając sowi,
Wypadła z ramion ciemnemu krzyżowi,
Biegła, aż ciało w krwi jasnéj znalazła
I, sycząc jak wąż, do mogiły wlazła.

O! jakże trudno z tych ciemnych padołów
Grzeszną podlecieć myślą do aniołów?
Lecz kto w opiekę się da Panu swemu,
Ten nie ulegnie przestrachowi złemu;
Ani mu zadrżą nawet wtenczas wargi,
Kiedy żałosne rozwodząca skargi
Dusza na wieczność odchodzi z żywota,
Gasnąc jak jaka piękna lampa złota.
A chyba boleść przejdzie serce do dna,
Myśląc, że ziemia go nie była godna;
Że wędrownikiem na polu szerokiém
Odchodząc, płakać nawet nie ma po kim.
A kiedy strumień lat przeminął lotny,
Został na świecie jak bocian samotny;
A żaden z druhów we śnie, ni na jawie,
Nie przyjdzie usiąść na gościnnéj ławie.
Tylko gołębi znajomych za młodu
Dziatki zlatują pod lipę do chłodu
I po murawach sobie chodzą dumne,

Jakby do starca mówiąc: precz ty w trumnę.
To tak nie wiedzieć, co nam starym czynić?
Kwiaty się zdają nasze oczy winić
I na to listki tęczowe wyciągać,
By szklannym oczom starości urągać.
To więc nam w płomień piekła patrzeć smutnie,
Gdy inni grają w piszczałki i w lutnie.
To więc o rzeczach strasznych rozpowiadać
I nad rzekami utrapienia siadać,
Słuchając, jak te potępione wody
W przepaść nieszczęścia unoszą narody.

Gdzież to ja byłem? Ha! w piekielnym lesie,
Gdzie nieraz wicher nieszczęścia poniesie
Dusze szlachetne i po ziemi szarga
Jak zwiędłe liście, w których szumie — skarga.
A ciemny był las, smutny i głęboki,
A drzew gałęzie powite jak smoki;
Na jednych wisi czarny liść i krwawy,
Te otworzyły wielki pień dziurawy
I siedzą z dumną starości powagą.
Dobyłem szabli, a ujrzawszy nagą,
Taki mię smutek zdjął i tak szalony,
Żem zaczął rąbać las na wszystkie strony.
Aż tu krew tryska, oczy mi zalewa,
Krwią wybuchają, jęczą wszystkie drzewa;
Próżno ubieram pierś w najświętszą Trójcę,
Krwią leją, krzyczą: stój! my samobójce!
O! przestań rąbać! o ty bez litości
Człowieku! czemu ty nam łamiesz kości?
Któż wy jesteście, spytałem, o! dusze?
A jeden do mnie: Nie krusz mi gałęzi!
Bo ja w tym dębie pokutować muszę,
Żem duszę moję chciał wyrwać z uwięzi
I otworzyłem jéj drogę ołowiem;
Słuchaj mię, stary, to ja ci opowiem,
Jak ruska ręka twarz splamiła jasną,
A jam się umył krwią na twarzy własną.
Nie chcę was słuchać, krzyknąłem, na Boga!
Że wami hańba miotała i trwoga,

Ty wyście w sobie zacierali święty
Chrystusa Pana wizerunek? krwawi!
Przeklęci bądźcie! i las wasz przeklęty!
Nie zabijali się Polacy prawi!
Ani przed dumną Kościuszki mogiłą
O takiéj rzeczy kiedy słychać było.
A teraz przyszło nam jak na ostatki,
Że się na trupach samobójczych matki
Kładną i rany ich haniebne liczą,
I w dziurę czaszek pożegnania krzyczą.
A dusza idąc tam, gdzie droga pusta,
Na wyjściu ich łzy znajduje i usta,
I oczy matki otwarte na straży,
I znów do czaszki wraca przerażona.
Nie zabijali się Polacy starzy!
Drugi raz Chrystus w was i Polska kona.
Oto więc hańba w nieświęconéj ziemi
Chować się wcześnie pod kwiatki złotymi,
Których to runem lekko wiosna rusza,
Gdy w innych ciałach cierpi polska dusza.
O! czarni! hańby ojczystéj niepomni!
Bądźcie wy teraz pokorni i skromni
Pod kamieniami rozstajnymi świata;
Tam łzy — a tu was szlachcic szablą płata,
Choćby go wasza krew zalała z głową.
Tak mówiąc, idę i rąbię na nowo,
A szabla moja smutnie w drzewach brzęczy;
A las oblewa mię krwią, a las jęczy,
I woła za mną i na drzew wyłamy
Wychodzą białe księżycowe plamy:
To smutnych dusze, co z twarzą księżyca
Przez krew patrzały w piekle na szlachcica.
Idę, a czarna krew z tych dębów syka,
Idę, podobny z twarzy do krwawnika,
Idę i niosę niestrwożone lice;
A wtém się chować zaczęły księżyce,
Dusze się trwożne zamykały w korze;
Las cały, panie, w czerwonym kolorze
Błysnął okropnie ciemno i ogniście,
I wypadały płomienie przez liście.

Z trwogi się ręką przeżegnałem lewą,
I pochowałem się grzeszny za drzewo.
Patrzę, a tutaj konnych ludzi kupa
Galopem ściga książęcego trupa.
A niech mnie święty mój Dantyszek broni!
Ci ludzie byli pół człeka, pół koni.
O! biédny książe! o, jaka mizerya!
Wężowe chwosty miała kawalerya,
Z ognia przyłbice, axelbanty z węży —
Takich musztrować, o jakże to cięży!
I nie słuchają komendy i lecą
I kopytami ognistymi świécą;
Próżno się książe drzew płaczących chwyta;
Na łeb mu skrawe rzucają kopyta,
Na blade czoło, na lenty ze srebra,
Aż trupia postać przed burzą uklękła,
A jam usłyszał, jak trzasnęły żebra,
Jak czaszka jego zgrzytnęła i pękła.
I daléj leciał ów hufiec kałmucki
I na las runął, gdyby morskie wały;
I rozpłakał się las za nim cały,
I rozjęczał się las — a jęk był ludzki.

Wybiegłem wtenczas blady z po za drzewa.
Coś zgniecionego jęczy i poziewa;
Przychodzę, płótnem nakryte trupisko.
Oddzieram płótno, ciało się oddziera.
Zmartwiałem cały na to widowisko;
Z pod płachty czaszka odarta wyziera,
Już nie oczyma, o! święte anioły!
Ale czarnymi patrzy na mnie doły.
I nagle się tak poskarżyła smutnie:
O! czemu ty mię dręczysz, starcze boży?
I czemu ty mi twarz zrywasz na płótnie?
Tak mówi ta kość i serce mi trwoży,
I do litości ku niemu skłoniła,
Więc rzekłem: czaszko! bogdajbyś ty była
Wprzód powiedziała, czém jest przyklejone
Na twoich kościach to płótno czerwone;
A jabym wtenczas Waszéj Księcéj Mości

Zostawił jego płaski nos na kości.
A teraz więcéj już rany nie ruszę,
Bo czasem miałeś ty litość i duszę;
A czasem nawet, czerwony Herodzie,
Uszanowałeś Chrystusa w narodzie.
A nim ci błysła szabla Polski goła,
To przed nieszczęściem uchylałeś czoła.
Więc bądź spokojny! ja zemsty nie biorę,
I oddam drewnu twojemu tę korę.
A nawet jeszcze przed tych konnych przyjściem
Ciało przysypię samobójczym liściem,
I zaśniesz, jako ludzie w krew ubrani,
I nie wynajdą cię pod krwią szatani.
Tak powiedziawszy, nałamałem w boru
Rzeczy płaczącéj krwawego koloru,
I książęcego przysypałem trupa.
Zastygła na nim posoki skorupa;
A gdy wstąpiłem cały drżący trwogą
Na nią, to nawet nie jękła pod nogą.

I patrz, na jakiéj ja mogile sterczę,
Jak krzyż wsadzony na ciało mordercze!
I wodzę okiem po nieszczęścia światach,
Smutny jak bocian stojący na czatach.
A ty mię widząc tam w ciemnicy piekła,
Pytasz, gdzie moja wesołość uciekła
Na tym czerwonym grobie i liścianym,
Na tym ohydnym, we krwi pochowanym?
Wietrząc arabskich prawie nozdrzem koni,
Skąd przyjdzie wicher Chrystusowéj woni,
Z któréj się strony w samobójczym lesie
Błękitny księżyc zbawienia podniesie,
Skąd mi samotna twarz Bogarodzicy
Błyśnie łabędzią bielą w błyskawicy,
Skąd mi nadzieja słoneczna zaświta?
Stoję, a któż mię o wesołość spyta?
To więc szaleni, co się zawsze śmieją
I każdą rozpacz farbują nadzieją.
Wesołość była ozdobą Polaków,
Lecz już podcięto skrzydła złote ptaków,

To już nie lecą gwiazdom patrzeć w oczy;
A dumne serca teraz robak toczy;
I twarz schylona lepiéj dziś przystoi,
Niż stal na piersi i skrzydła na zbroi.
Bo nie polecą już rycerze nasi
Jak ptak, co myśli, że krwią serce zgasi;
Ale gdy wyjdą na walkę ich stada,
Ziemia się mogił pod końmi zapada,
Lub zdrajce — Co tam! Doléj mi węgrzyna!
Piję za zdrowie zdrajcy, mego syna.
A kiedy teraz, w tym ostatnim łyku,
Czuję truciznę gorzką na języku,
Uczynię sobie może usta słodsze,
Mówiąc o zdrajcy tym i o tym łotrze.

Stałem na grobie Wielkiego Książęcia
Śród drzew, co krwią mi oddawały cięcia;
A oto jakiś wóz przez lasy rusza;
Powozi dyabeł czy stracona dusza,
W ręku ma lejce z płomieni czerwone,
A wóz prowadzą dwa węże zielone.
Patrzę na gady, widok wcale nowy,
Jak ogonami popychają głowy.
Krzyczę na dyabła: Hej! hej! ta kareta
Czy do najęcia? a na mnie woźnica,
Obróciwszy się jako błyskawica:
To powóz, mówi, jest króla Makbeta.
Nie wiesz, kto to jest ten król, co ma żmije?
Ja o nim pierwszy raz słyszę, jak żyję.
Więc w niewinności chrześcijańskiéj duszy
Rzekłem do dyabła: mój panie koniuszy,
Podwieź mię, proszę, dwie piekielne mile,
Jeżeli ty chcesz i chcą krokodyle.
A dyabeł do mnie — uważ, jaka zdrada! —
Dyabeł powiedział mi: niechaj pan siada.
Siadam; i daléj po zakrętach góry
Galopowały zielone jaszczury.
To po kamieniach, to się we krwi ślizga,
To ognistymi wóz falami bryzga.
A ja choć czujny jak zając na zdradę,

Haniebny zwyczaj mam chrapać, gdy jadę.
Więc senna głowa na piersi mi spadła,
I śpię, i dusza ze mnie się wykradła,
I poleciała sobie w lata młode,
Pod jakieś wierzby, co płaczą na wodę,
Nad jakieś wody, co się całe śmieją,
Gdy róże księżyc poranny zaleją.
Widzę małego Dantyszka psotnika,
Jak tam gołębia wypuszcza wabika;
A ptak powraca drugim lasu brzegiem
I obsypuje mię gołębi śniegiem;
A choć to kradzież, to jako anieli
Myłem się w ptaszków pokradzionych bieli;
I różany się chłopczyk śmiałem ładnie,
Jak ten, co narcyz aniołom ukradnie.
Senny, gołębic owiany szelestem,
Budzę się, Jezu Maryo! gdzież jestem?
Cwałują węże w ognistéj hołobli,
Po błotném polu, po okropnéj grobli.
Jako kamienie obmyte na rosie,
Po obu stronach trupie głowy skrzą się;
Rzecz godna dziwu, że z twarzycą krwawą
Był trup na lewo, a biały na prawo.
I tak w kałużach smętnych utopieni,
Trupowie biali, trupowie czerwieni;
Wszystko się kręci w oczach i przestrasza,
Już chcę wyskoczyć, chwytam się pałasza;
A mój przewodnik: jakie masz rachuby,
Spytał: śród sejmu grząść? czy między kluby?
Jezu! krzyknąłem, więc tu ich jak liści?
A to posłowie są? a to — klubiści?
A za cóż ty ich, Boże, tak potopił?
Nic nie rzekł dyabeł, ale węże skropił,
Lecą i świszczą, drży grobla z piszczeli.
Patrzę przed siebie — O święci anieli!
Ogień piekielny przedemną, już piecze,
W ogień mię wieczny ten haniebnik wlecze;
Pędzi, chcę krzyczeć, wąs mi biały swędzi,
Chcę krzyczeć, głos mi zastyga, on pędzi
I urąga się ze mnie winowajca.

Patrzę, o! Boże mój! To syn mój zdrajca.
Już w płomieniste ubrany obłoki
Patrzy się na mnie syn mój jednooki,
Okropnie hańbą splamiony na twarzy;
Śmieje się głośno, że mię w ogniu zwarzy,
Że resztę włosa, co miał kolor stali,
Na mojéj głowie pobielił i spali.
Śmieje się, leci w przeraźliwym pędzie.
O! nie, krzyknąłem, zdrajco! tak nie będzie!
I wydobywszy złotego szkaplerza,
Wiążę mu szyję, piorun krwi uderza,
Pali, wyrzuca ognistymi ziarny;
Wyszły wzrok biały na wierzch, język czarny,
Z oczu się jedna wytoczyła śloza
Wielka i umarł. Wyskoczyłem z woza
Już rozpalony jak garncarskie cegły;
A węże z sinym trupem w żar pobiegły.

Przepadaj, zdrajco ty! ohydny gadzie!
Owco ty, w białém zarażona stadzie!
Ty, coś mię zabił dwa razy ohydą!
Ty drżąca dotąd w mojém sercu dzido!
Przekleństwo moje jak piorun nie mignie,
Ale na ustach mi martwych zastygnie.
A gdybyś w grobie twarz moję obaczył,
Zlękniesz się, widząc, żem ja nie przebaczył,
I śpię, i groźne otwarłem powieki
W grobie, gdzie tylu śpi cicho na wieki.
Lecz ja sen mogił na przekleństwach spędzę,
Z duszy uczynię krwawą zemsty jędzę,
I biegnąc, biegnąc za tobą jak mara,
Znajdę cię, wężu, choć na piersiach cara.
Dawniéj, gdy były na honorze szczerby,
Albo ród gasnął, to łamano herby:
To może jakiś trupi rycerz konny
Wleci do gromnic przez jałowiec wonny,
I na trumnie mi skruszy tarczę dumną,
I w ziemię razem zapadnie się z trumną.
Bo kiedy zdrajce honor rodu splamią,
Nie ma imienia już, herby się łamią.

Sinego trupa, lecąc jak szalone,
W żar zatargały jaszczurki zielone;
I zniknął, tylko coś — trzaskanie kości,
Jak płacz wilgotnéj na ogniu parości,
Słyszałem blady śród płomieni jęku.
Patrz! Jam go niegdyś piastował na ręku!
I całowałem go w oczka ogniste;
Ja całowałem go niegdyś?! O! Chryste!
Jakże od przekleństw do litości blisko!
Zapatrzyłem się smętny w to ognisko
I było już na ustach: powróć, synu!
Obmyj się ty krwią szlachetnego czynu,
Wymyj tę plamę jaką łzą czerwoną
I nie grzesz więcéj i chodź tu na łono!
Nie! nie! nie! czuję, o! ty krajo-bójca,
Ty tego nawet nie zrobisz dla ojca!
Więc wieczny rozbrat z tobą, o szatanie!
Boże mój wielki! o Boże mój Panie!
Jak Ty mię dotknął między całym gminem,
Jak Ty mię moim ukarałeś synem.
Oto zhańbiony o litość Cię proszę
I smętne oczy do Ciebie podnoszę.

Nie był to płomień, co trzaskał nędzniki,
Ale, jakoby lekkie śniegu płatki,
Błądziły jasne w powietrzu płomyki.
A jako owiec zmoczonych gromadki,
Kiedy przed deszczem schronią się pod gruszę,
Pod smętném drzewem stały biédne dusze.
A płomień się lał okropnymi rosy
I spływał trupom po drżących ramionach
I oczerwieniał bolesnymi włosy
Te biédne, jeszcze na głowie w koronach.
Bo to królowie, co na to nie dbali,
Że łzy kraj topią, że się w ogniu pali;
Byleby tron swój mieli z baldakinem,
Nie dbali, co tam, jaki miecz nad gminem:
To więc i w piekle szukają kotary
Przed bolesnymi się zakrywać żary.
Ale napróżno, bo płomień ponury

Dosięgnął ramion, odziera ze skóry;
A gdzie upadnie na ciało, tam tleje
Płatek ognisty, skrzy się i topnieje,
I gryzie ciało i kość, aż ją złamie.
Jeden trup spojrzał przez płomień i ramię.
A obaczywszy moje oczy sine,
Mój kontusz, dziatek moich główki, minę,
Przeląkł się i padł krzycząc: jakiś mścisław!
A wiesz ty, kto to był? — to król Stanisław.

Drzewa, płomienie, węże, trupy, mary,
Z drogi! do Boga chce Dantyszek stary!
A jeśli go Bóg z piekła nie wydźwignie,
Gdzieś jako kamień dumając zastygnie.
Coraz mniéj światła, coraz większe próby.
W około widzę palące się groby,
W grobowiec trupy walą się jak kręgle,
Płomień je chwyta i pali na węgle;
A po spaleniu znowu w głębi dołu
Leży trup cały z białego popiołu,
I wszystkie członki jak za życia spoi;
A wtenczas się go ogień w grobie boi,
I z pod białego na desce człowieka
Z grobowca dwoma skrzydłami ucieka.
Pomiędzy mogił ognistymi sznury
Szedłem o królach dumając ponury;
Aż tu się jawi z groźnymi przechwałki
Jakiś trup w drobne pocięty kawałki
I pozlepiany sztucznie krwią człowieczą;
Kawały ciała na nim brzęczą, skrzeczą,
A jak w złodzieja ręku worek krwawy
Szczękają, trąc się o siebie, sustawy.
Członków zaś wszystkich pozrastanych zbiegi
Koralowymi oznaczone ściegi.
Widząc, że ku mnie się haniebny zbliża,
Zrobiłem ręką znak świętego krzyża,
On mi dłoń podał, wziąłem — ramię pęka,
I w ręku — trupa została mi ręka.
Trup odskoczywszy, widząc, że się trwożę,
Tyś mię obraził, krzyknął, na honorze!

Panie Leliwo, więc nie czas odwlekać,
Wybierz, co wolisz? strzelać się, czy siekać?
A ja zmartwiały i żółty jak drzewo:
To ty? krzyknąłem, coś miał za cholewą
Zawsze kartelusz, albo pistolety,
Aby za honor, albo za kobiety
Strzelać w tę jeszcze nie zamkniętą bliznę,
Którą szlachetny człek wziął za ojczyznę?
A i tu jeszcze jeżysz wąsy krucze?
Pojedynkarzu, stój! ja cię nauczę!
Tak mówiąc, z pochwy dobyłem szablichy.
A trup przedemną posępny i cichy
Ręką nie dobrze do ciała przyszytą
Wziął się za włosy chrzęszczące jak żyto;
I podniósł z karku skrzącą się oczyma
Głowę, jak człowiek, co latarnię trzyma,
Myśląc, że stary zlęknę się nikczemnie
Twarzy, co śmiała się w powietrzu ze mnie.
Dobrze! krzyknąłem, przy takiéj latarni
Bić się będziemy jak duchowie czarni;
A jeśli taki ty ptaszek grobowy,
To pojedynek nasz będzie na głowy.
Tak mówiąc, gniewem i zemstą zażarty,
Staję, w ręku mi warczy synek czwarty;
W samą pierś godzę, rzucam — od téj gałki
Rozleciał się ów trup w drobne kawałki
I w różne ludzkie groby poupadał.
A płomień z grobów wybuchnął i gadał:
Dobrze zrobiłeś, żeś się zemścił przecie
Za nas pociętych w samym wieku kwiecie;
Wszyscy od jego polegliśmy broni,
Ani z nas kwiatu ojczyźnie, ni woni,
Lecz dusze poszły w tę ognistą wodę
Z ciała naszego, skarżąc się, że młode
Zmuszone już iść i nigdy nie wrócić,
Jak róże, gdy im trzeba listki zrzucić.
Dobrze, żeś za nas się zemścił, o starcze!
A pozwól jeszcze, że ciebie obarczę,
Mówił trupeczek jeden z téj gromadki,
Pocałowaniem dla żałosnéj matki,

Któréj ubyło we mnie całe plemię;
Powiédz jéj, starcze, jak wrócisz na ziemię,
Że syn — Tu w ręce dwa razy zaklaskał,
Ucichł i płomień w mogile go strzaskał.

Tak odprawiwszy straszny pojedynek,
Widzę, że jeden mi już został synek;
Lecz cóż? To Boga litości nie zmniejszy,
Bo to najmłodszy, bo to najpiękniejszy,
Matki kochanie i moja pieszczota:
Oczki błękitne a główeczka złota.
Bolesna moja główeczka! kochana!
Umrę, lecz główkę tę rzucę przed Pana.

I hej! Leliwa, co trupy zabija,
W piekle jak złota błyskawica mija.
Ku Panu Bogu prosty wziął kierunek,
Ale mu w głowie wre dyabelski trunek:
To nim ostygnie, kto wie, co z nim będzie?
Z drogi! Leliwa idzie w wielkim pędzie!
Bo właśnie był wir, gdzie biédaczka dusza,
Jeżeli wpadnie, to rusza i rusza.
Więc pan Dantyszek, choć się bardzo smęcił
Po swéj ojczyźnie, toczył się i kręcił.
A w koło duszek zakręconych tłumy,
Gwary, jęczenia, szelesty i szumy;
Szare powietrze wichrzy się i miesza,
Z trupami trupów roztrąca się rzesza;
Zbiją się, zwichrzą, wezmą się za ręce,
I znów się kręcą i znów się ja kręcę,
I całe piekło jak w burzy i wichrze.
Tu fale głośno płaczące, tu cichsze;
Upiory dziewic z młodzieńcami w parach,
Białe i smętne z różami w symarach.
Patrzę! jak tuman ze śniegu zamieci
Jakaś duszeczka kręcąca się leci;
Serce mi drgnęło i warga pobladła;
W otwarte ręce ta mara mi wpadła,
Chciała na sercu odpocząć troszeczkę,
Lecz wicher wyrwał mi z rąk tę dziéweczkę

I daléj poniósł w piekła zakamarki,
Z koszulą białą, pociętą na szlarki,
Co się kręciła na niéj jak dzwon biały.
Poszła i wichry ją płaczu gdzieś wiały.
A od niéj młodość zapachła i zgniłość.
A taki smutek i przestrach i miłość
Wzięły mi stare moje serce w szpony,
Żem był jak dziecko! żem był jak szalony!

Dawniéj, to nieraz za legijonistą
Strzelano czarną źrenicą ognistą;
Dawniéj! o! dawniéj! Czy znasz ty, wygnańcze,
Ziemię, gdzie rosną mirt i pomarańcze?
Tam ja błądziłem. A cóż się dziś chwalić,
Że łatwo serce w dziéweczkach rozpalić!
To i ta biédna do kruczych warkoczy
Tuliła moje zadumane oczy;
A gdym ja wołał ojczyzny, ta pusta
Jasne jak róże dawała mi usta;
A jam się na nich uwieszał namiętny,
I zakochany i dumny i smętny.
A dziś ją taki wicher płaczu goni!
Czekaj! Chcę jeszcze raz pomyśleć o niéj,
Jeszcze raz tylko, aż te dwie łzy pękną —
Ona tak była urodziwą, piękną!
I patrz — pamiętam — bogdaj mię pożarła
Pamięć, pamiętam ten dzień, gdy umarła.
Na marach białą złożyli dziewicę;
A matka wzięła okropne nożyce
I w szlarki cięła jéj koszuli rąbki,
Aby nie było co kraść z téj gołąbki.
Och! bo tam kradną ludzie w tamtéj ziemi,
I wstydzą trupy z piersiami białymi:
Och! bo tam nędza, co w grób jeden rzuca
Na pierś dziéweczki suche starca płuca,
Albo dziéciątko śmiercią tajemnicze,
Co pada, jak ssać, na piersi dziewicze.
To niech przynajmniéj ciało łzami myte
Będzie w tym grobie koszulą okryte,
Koszulą taką, co kusić nie będzie

Złodzieja, w pióra pocięta łabędzie.
Tak ją ubrały ręce rodzicielskie,
Myślałem, patrząc, że w skrzydła anielskie.
A ta wyrwała się z grobu jak mara
I rozsypała się na niéj symara;
Pierzchła jak gołąb, dotknęła mi kości,
Owiała wonią trupa i młodości;
Trąciła wichrem spróchniałéj bielizny
I wichrem żalu, starca bez ojczyzny.
Czegoż ty chciałaś, martwa szalenico?
Maryo moja! moja gołębico!
O! Florentynko ty moja! ty śpiąca
Tak cicho niegdyś przy blasku miesiąca,
Kiedy cię moja smutna dusza strzegła;
Czemuś ty z grobu w tych szlarkach wybiegła?
I jak pieniążek kręcisz się nikczemnie?
Maryo! czegoś ty chciała odemnie?
Oczka jéj były jak to niebo w górze,
Usta — perłami wysadzone róże;
Do niéj podobna ta dziewicza brzoza
Taka wstydliwa — a teraz? O! zgroza! —
Módl się! a nie drwij, że łzy lecą duże,
To i nam starcom niegdyś pachły róże!
A po nas innym zapachną i zwiędną;
Tylko je trzeba rwać ręką oszczędną,
To chociaż serce tam burza skłopota,
Miłą mu młodość tymi kwiaty złota.
A pod ich wonią łeb siwy się chyli,
Gdy księżyc błyśnie a słowik zakwili.

O! Boże! Boże! jaka twa opieka
Jest tam w młodości nad sercem człowieka?
Gdyby pomyśleć, to już tyle razy
Miało czém zwiędnąć, lub stać się jak głazy:
A nie! i patrzaj! z włosami białymi
Czuję mojego serca woń na ziemi;
I żywość jego, bo niech kto poruszy
Honoru mego, ojczyzny lub duszy,
Niechaj spróbuje wydrzeć mi nadzieje,
A padnie trupem i krew go zaleje.

Lecz kiedy starca w pokoju zostawią,
Z włosem się jego białym wróble bawią;
Spokojny w smutném zadumaniu stoi;
Jelonek się go bez matki nie boi.
A gdy myśliwiec jakiéj białéj łani
Pobije dziatki i samą porani,
Przychodzi, oczy do starca podnosi,
Skarży się matka i o litość prosi.
A nie myśl, nie myśl, że to są zmyślenia;
Widziałem oczy błękitne jelenia,
I zadziwiła mię jego odwaga
I ufność w starcu i łez szklistych waga.

Ty powiesz teraz, że starzec majaczy,
I czeka w sobie, aż znów co zobaczy.
Nie tak zaprawdę się ze starym dzieje:
W nim wiecznie lampa czarodziejska tleje,
I tęcza blasków wiecznie w głowie świta,
A w sercu wiecznie ojczyzna zabita.
To choć pomyślał o młodości złotéj,
Powróci znowu w serce dźwięk zgryzoty.
Nie będzie zawsze, jak ci, co się smucą
Po różach, które zwiędły i nie wrócą.
Ale raz westchnie za wszystkiém, co było;
A potém znowu, jak krzyż nad mogiłą
Uświęcający grobowce posępne,
Czoło pamiątkom wzniesie niedostępne
A pełne tylko nadziei i wiary.
Bo się przekonał, że to w świecie — mary!
Że nic tam nie ma w krajach podsłonecznych
Godnego serca i łez jego wiecznych.
A wszystko wiotkie, tak zrobione może,
Aby się jako liść zmieniało w borze;
Aby te wichry nieszczęścia i czasu
Miały czém smutnie szumieć w głębiach lasu.

Im daléj idę, to coraz mniéj zgrai,
Każdy się z męką swoją jak wąż tai.
Albowiem blisko u wierzchołka góry
Największe zbrodnie, najstraszniejsze chmury

I największymi są łzami wilgotni
Zbrodniarze wielcy, krwawi i samotni.
Idąc na górę, mówiłem do siebie:
Gdzież są więc zdrajce ojczyzny? czy w niebie?
Oto był rodzaj trupa wszelakiego,
A z wielkich zdrajców nie było żadnego?
Czy się ubrali wilki w owiec wełnę?
Bez nich, mój Boże! to piekło nie pełne;
Bez nich tu braknie płomieniom ozdoby,
Na nich wołają z pod ziemi te groby.
Ledwom wymówił: o! rzecz nie do wiary!
Ręka zwyczajnéj, jakby ludzkiéj miary,
Na krwawym słupie przybita, krwią ścieka,
I pokazuje w ciemności zdaleka
Jakąś ohydną rzecz — czoło człowieka.

Siedział w podziemnéj utajony grocie,
Oddany strasznéj jędzy w straż — zgryzocie.
Włos, najeżony strachem winowajcy,
Wstał na haniebném, bladém czole zdrajcy.
I straszne w oczach było przerażenie,
Albowiem w grocie jęczały kamienie.
Wicher napędzał mu przez korytarze
Błąkające się ognie, trupów twarze;
A zaś oblicza i sine ogniska
Szły przypatrywać mu się, stojąc z bliska.
Między ogniami, co przyszły na straże,
Krwią osykany przez upiorów twarze,
Jak człowiek własną uznający winę,
Pokornie krwawą ich ocierał ślinę.
A kiedy jęki ozwały się w grobie,
Do ust po kostki wkładał ręce obie;
Widać miał w bolu słuchowi obronę,
Bo gryzł — i z paszczy wyciągał czerwone.
Już chciałem uciąć szablicą te ręce
Krwawe, jak szpony orle lub zwierzęce,
Nie zemstą, ale litością ruszony;
Gdy nagle biała mara jego żony
Wybiega, klęka i oczy podnosi
I tak na rany Chrystusowe prosi:

Panie! ty ojca mojego masz lice,
I taki kontusz i taką szablicę;
Więc ci aż do nóg bolesna upadnę,
I do serca się twego łzami wkradnę,
I w niebie mojéj ustąpię światłości,
Za jedną nad nim tylko łzę litości.
Słuchaj! ja niegdyś utopiona w stawie;
Teraz jak mara, jak błędne żórawie,
Ciągle ja latam i ciągła mi droga
Od gwiazd do męża, od męża do Boga.
A jeszczem biédna nie mogła wyjęczéć,
Aby go jęki te przestały dręczyć.
Bo cała tutaj ojczyzna zabita
Przychodzi płakać i jęczy i zgrzyta,
I wali głuchą przekleństwa ulewą
Na mego męża, jak na zwiędłe drzewo.
Cała ojczyzna i wszyscy umarli
Tutaj przychodzą, aby go rozdarli.
O! jakie serca wy macie tygrysie!
O! jak ojczyzna wasza długo mści się!
I czyż tak będzie od wieku do wieku!
Wyproś ty dla nas litości, człowieku!
Wyproś! ja będę modlitwom przytomną,
Jeśli przebaczyć nie chcą, niech zapomną?
Jeśli ich nasza męka nie roztkliwi,
Niech myślą, że my byli tak — szczęśliwi!
Od nas niesione błękitami wody
Pary łabędzi uczyły się zgody,
Od nas uczyły się śnieżyste szyje
Chować pod skrzydło to, gdzie serce bije.
Słońce lubiło zaglądać w aleje,
Gdzie na nim niegdyś moja postać mdleje;
Po kwiatach wietrzyk biegł i czoło chłodził,
I księżyc prędzéj na niebo przychodził.
A ja spojona szczęściem i rozrzutna,
Każdą mu gwiazdę, co wschodziła smutna,
Lubiłam dawać, jak dziecinka pusta,
I każdą jego nazywać imieniem:
Bo mię za każdą on całował w usta.
Starcze! pogadaj ty proszę z sumieniem!

Bo mi się zdaje tonącéj w rozpaczy,
Że ty przebaczysz i Bóg nam przebaczy.

Tak mię prosiła: a na głos słowika
Serce się ludzkie, choć stare, odmyka.
Patrz! o! bielutka! patrz, o! pochlebnica!
Twój kontusz, mówi, i twoja szablica
Z ojcem ci moim podobieństwo dały;
O! ty litośny! o ty nie ze skały.
Jakże się ostać przed takimi prośby?
Twarzą już tylko udawałem groźby,
A już mi serce kruszyło się, miękło,
Już nad nią dwie łez roztopionych pękło,
Już wyciągałem ręce... wtém ta blada
Leci do męża, na serce mu pada.
A nędzarz blady jak płócienna chusta
W jéj piersi — oczy pochował i usta.
Patrzę — o, zgroza! z pod kruczych warkoczy
Wstążeczka się krwi koralowéj toczy
I plami narcyz ten litości srebrny!
On ją ukąsił — zbrodniarz! O! haniebny!
Jękła i nagle od ssącéj gadziny
Pierś oderwała. A trup blady, siny,
Oczy zbłąkane obraca wokoło.
O niczém nie wie to haniebne czoło,
Nigdy się oczy nie łzawią zielone:
A jednak spojrzał na krew i na żonę,
I wyszły z oczu mu dwie łzy tułacze!
Wyszły — a piekło wrzasło: zdrajca płacze!
Tu zadziwieni ciemni aniołowie
Zaczęli śmiać się i wyć mu na głowie.
Tu się tajemne rozjęczały ściany,
Tu wyszły plamy z ognia, tu szatany.
Wszystko, co było w gmachu i za gmachem,
Wabi się tych łez ohydnym zapachem;
Tu wzrok płaczący, tu wzrok widać sowi
Urągający zdrajcy lamentowi.
A jeszcze daléj, duchowie zaskalni,
Z po za ścian słychać, płaczą niewidzialni.

Chwieje się piekło, wre krzykiem i łzami.
Uciekłem, uszy zakrywszy rękami.

Widziałem rzeczy straszne i żałobne,
Widziałem ludzie do wężów podobne,
I zrastające się ich ciała z gadem:
Ale ten zdrajca ośliniony jadem,
Ale ten własne gryzące piszczele,
Ale ten blady w lamentów kościele,
Oplwany całą krwią zdradzoną w oczy;
Ale ten straszny, co psim zębem broczy
Białą pierś żony i bolem się żywi;
A gdy zapłacze — to piekło zadziwi:
Ten jeden z myśli mi trupy wygonił,
I zadziwiłem się, żem łzę uronił.
O! bo to sercom Polaka nie trudna
Przebaczyć ręce, co krwią naszą brudna;
Przebaczyć zdrajcy prochom i mogiłom,
Zapomnieć nawet: a to jeden wyłom,
Zrobiony ręką ich w kraju budowie,
Położył gruzy nam całe na głowie;
A to więc mieczem ich podcięta jodła
Uschła i mieszka w niéj gadzina podła.
A choćby i znów powstał lud z rozpaczy,
Któż Polskę taką, jak była, zobaczy?
Czy jaki rycerz ścięty od zawoja
Na zmartwychwstałą powie: matka moja.
Czy jaki z grobu wywołany miecznik
Pozna ten blady dzisiejszy słonecznik,
Co za nowości gwiazdą się obraca?
Lud z takiém sercem po śmierci nie wraca!
A gdzież są dzisiaj te pany w żupanie,
U których w sercu cnót na króla stanie?
A gdzież niewiasty, co synowskie ciało
I zgon nie nadto ani też za mało
Umiały płakać, gdy legł za ojczyznę?
O! dajcie mi krwi ojcowskiéj, niech bryznę
I zwalam twarze dziś białe i ciała!
Bo krew w nich płynie jak w gadzinach — biała;
A nie tak ważną jak ojcowie głowę,

Ni takie serca mają bursztynowe;
Lecz wszystko jakoś popsuło się, zgniło,
A lud już strupiał, a kraj już mogiłą.

Nie budź!... Bo jestem smutnie zamyślony
O strasznem oku piekielnéj korony.
Widzę, jak gwiazda okropna sumienia
Z góry wieżycę trupów opromienia...
A jako okno, gdzieś po nocy w sali,
Od czerwonego księżyca się pali,
I opłomienia łoża królów ciemne,
A w sny ich trwogi rozrzuca tajemne:
Tak owa gwiazda nad piekłem szkaradnie
To zaczerwieni się, to znowu bladnie,
I znów za obłok zachodzi ponury,
Za jakieś ciemne i skrwawione chmury.
A gdy się krwiami napoi ta chłodna,
Z po za chmur jasna wychodzi, pogodna,
Otwiera usta i jakoby z płuca
W ciemne przepaście — krwi piorunem rzuca.
Tam, gdzie kończyła się piekielna skała,
Spiorunowanych krwią widziałem ciała.

Już blisko Boga... patrzę... trup człowieka
W ciemność od gwiazdy sumienia ucieka,
Ucieka... z czołem na nią obróconém,
W złotéj koronie i w płaszczu czerwonym.
Za nim... o horror! niewieście gromady
Trup nań rzucają maleńki i blady,
I kamienują czerwoną gadzinę.
Powietrze blade od trupków i sine.
Deszczem nań leją z ramion rodzicielskich
Mogiły smętne pagórków anielskich,
Jakby niechętne trupki, jakby senne,
Gołębi stadem lecą przez Gehennę.
A dłoń to matek, co je tak umyślnie
Rzuca na trupa... nim rzuci... uściśnie,
Pożegna wprzódy i łzami opryska,
Potém za nóżki zakręci i ciska.
Wartkie jak kamień, sine jak ze stali

Leci dziéciątko i w purpurę wali,
I kości trzaska na trupie szkaradne.
Patrz! patrz! o zgroza! dziéciąteczko ładne
Z ziemi podnosi trup, za nóżki chwyta,
Broni się matkom, a broniąc się zgrzyta.
Ukląkł nareszcie... a trupimi ciały
Tak uklękłego zakamienowały
Matki po dzieciach płaczące żałośnie:
Grobowiec na nim straszny, śniady rośnie.
Trupki się kładą przy trupkach w girlandy;
Już urósł kurhan jak mogiła Wandy.
I jeszcze kładną się przy duszkach duszki,
I urósł jako mogiła Kościuszki.
A gdy był wielki, krzyknąłem: o! Boże!
Ja stary pieczęć na grobie położę,
By nie zmartwychwstał . . . . . .
. . . . . .
Ej dosyć! już dosyć!
Mamże ja Boga wielką litość głosić?
Czy się przeklinać stary człowiek smutny,
Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.
To więc jest Polak... dobra jego sprawa,
Krwawe zaczęcie i osnowa krwawa;
Lecz kiedy przyjdzie dobić aż do końca,
To wstydzić się mu księżyca i słońca.
Ej! ale ziarno się nie darmo sieje,
To i tam w końcu coś widać... nadzieję....
Smutna to lampa i nocnego ptaka,
Lecz i ta dobra nad grobem Polaka.
To więc chodź ze mną aż na trupów górę,
Klęknij, wznieś oczy w tę gwiazdę, w tę chmurę,
Bóg za nią... klękaj! niech się twarz nie bieli,
A cóż, że z gwiazdy piorun krwi wystrzeli,
Klękaj!... To niech się wola boska stanie!
Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie;
A przysiężemy... to zmartwychwstać musi.
A cóż, że powróz proroka udusi?
Że może ściętéj głowie nie pozwolą
Spocząć na sercu zabitém niedolą?
A cóż, że wnuki łzą kwiaty pokropią,

Kiedy niepełny grób starców odkopią,
I znajdą tylko tam bez czaszki ciała.
To co?... powiedzą... głowa zmartwychwstała
I aniołowie, strażnicy téj bryły,
Wylatującą widzieli z mogiły,
Gdy piorunami się noc smętna zmierzchła,
Wylatywała jak gołąb i pierzchła.
A gdy z aniołem, co smętnych prowadzi,
Wygnańce nasi będą wracać bladzi
I rozpoznawać podobieństwo głazów:
Z pomiędzy białych narysów i ślazów
Niech wtenczas smutne oczy napotyka
Kwietny grobowiec starca męczennika.
O! Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne;
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy... wspomnij ty o nas! o! wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze i piorun, co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszéj mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta;
A nie zapomnisz ty o nas, o Święta!

1837.

PRZYPISY.

Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem dalekiém Danta, napisane w ojczyźnie tego księcia ponurych wieszczów, kontuszem Leliwy odstrychnęło się od oryginału i wzoru, stawszy się więcéj rubaszném i polskiém. Kontusz zaś, ten wiele myśli wygnał, wiele opisów skrócił, a nawet często zwięzłości potrzebnéj w wyrażeniach nie pozwolił; zamiast zaś rozpraw teologicznych Danta, przymusił autora do użycia téj prostéj filozofii, która tak pięknie rozjaśniła niegdyś wiersze Jana Kochanowskiego; przyłączyło się tylko do niéj trochę melancholii, nieznanéj szczęśliwym przodkom naszym. Powiedziawszy te słów kilka o całym poemacie, przystąpię z oszczędnością do wyjaśnienia niektórych szczegółów i obrazów.

Str. 304. w. 9. od dołu. Dla wszystkich płynie fontana młodości.

Między pięknymi urojeniami Wieków Średnich było mniemanie, że gdzieś na ziemi w pustyni wytryska źródło, z którego pijąc, można odzyskać młodość. Marko-Polo szukał tego źródła, jadąc do wielkiego Khana. Minstrelowie Prowancyi często o téj wodzie w pieśniach wspominają, a dziś jeszcze nieraz Arab wypuszcza konia na pustynię i zagłębia się w piaski w nadziei, że na fontanę młodości wiecznéj natrafi.

Str. 313. w. 6. od góry. Świécznikiem była.

W twarzach trupich węży, które stoją na trupie Katarzyny i palą się na włosach, czytelnik możeby ujrzał

podobieństwo do Potemkina, Zubowa i innych gachów téj nierządnéj. Przez prędkość, Dantyszek zapomniał węże nazwiskami ludzkimi ponazywać, jako też powiedzieć czytelnikowi, że Katarzyna, starająca się długo pochlebstwem u Woltera i innych, aby ją za światłą pochodnię cywilizacyi na północy okrzyczeli, po śmierci hołd ten odebrała od zdrobniałego Danta w kontuszu.

Str. 314. w. 15. od góry. I szczeknął do mnie, że to Erywański.

Przez patryotyzm zapewne go Dantyszek Księciem Warszawskim nie nazywa, a dziwić by się powinien, że zeń wyjęto serce, on go nie miał.

Str. 315. w. 10. od góry. Plwaj, bo to Suworów.

Zanadto dumną i posępną ma karę ten człowiek, który za życia miał srogość lwa z postacią małpy. Wiersze jego do Katarzyny po wzięciu Izmaiłowa, w których na skrwawionéj karcie imię téj carycy tak bezbożnie z imieniem Boga połączył, a lepiéj jeszcze maluje jego małpią i szatańską duszę następująca anegdota. Podczas rzezi Pragi ujrzał Suworow indyka skaleczonego, który gdzieś z zakrwawionego domu, krwią ludzką i swoją okryty, kulejąc uciekał. „O! biedne stworzenie! — zawołał, patrząc na ptaka wódz moskiewski — dla czegoż ty niewinne masz mieć udział w nędzy i nieszczęściach ludzkich?“ Po takiéj patetycznéj przemowie zawołał swego lekarza, kazał mu owego ptaka opatrzyć i pilne o nim mieć staranie. A gdy się to działo, trwała rzeź i ludzie umierali.

Str. 319. w. 13. od dołu. Krwią leją, krzyczą: stój! my samobójce.

W Dancie jest podobnież las, w którym drzewa gadają i mieszczą w sobie dusze samobójców... Dant naśladował z Wirgiliusza; z Danta zaś Tass i Ariost naśladowali, zamykając mary w cyprysach. Kładę tu kilka wierszy dosłownie prawie z Danta tłómaczonych, abym o zupełną kradzież literacką nie był posądzony.

A pień zaś krzyknął: Czemu ty mię łamiesz?
Tu znowu ucichł i na ranę białą
Krew czarna wyszła kroplami z parości.

I znowu krzyknął: Czemu rwiesz mi ciało?
Człowieku! nie masz ty w sercu litości!
Byliśmy ludźmi, dziś drzewami piekła;
Lecz czyliż przeto dłoń twoja tak cięży?
Czyliż nas łamać i karcić ma wściekła,
Choćbyśmy w korze miały dusze węży?...
Jako gałązka, gdy z liściem ucięta,
Kiedy ją ogień od końca kaléczy,
To drugą stroną skarży się i syczy;
A wilgoć razem z powietrzem zamknięta
Płaczliwie z ciasnéj wymyka się więzi;
Tak właśnie z owéj uciętéj gałęzi
Krew ze słowami jedną wyszły drogą.
Rzuciwszy gałąź stałem zbladły trwogą... etc.

Las Dantyszka napełniony jest zapewne duszami oficerów, którzy, zhańbieni przez W. Księcia, szli zabijać się w Saskim ogrodzie i strzałem pistoletowym często płoszyli słowiki spokojnie w ciemnych kasztanach zamieszkałe. Znajome jest mieszkańcom Warszawy wzgórze i urna kamienna, oblana nieraz krwią tych nieszczęsnych.

Str. 321. w. 14. od dołu. Oddzieram płótno, ciało się oddziera.

Centaury tratujące Wielkiego Księcia nieznani są z nawiska Dantyszkowi nieświadomemu rzeczy mitologicznych, również nie wiedział, że płótno nakrywające trupa jest koszulą Dejaniry, którą raz wdziawszy, z kawałkami ciała oderwać tylko można było od kości.

Str. 325. w. 1. od dołu. Nie ma imienia już, herby się łamią.

Posępna i poetyczna ceremonia u dawnych Polaków łamania herbów po wygaśnieniu jakiéj familii odbywała się w kościele, do którego wlatywał rycerz konny i drzewcem w tarczę uderzał. Po śmierci hetmana Branickiego odbył się ten obrzęd podobno po raz ostatni.

Str. 331. w. 5. od góry. I rozsypała się na niéj symara.

W narodach, które już zniewieściały, albo wcale nie mają egzystencyi politycznéj, dziwna jest obojętność względem umarłych. I tak w Toskanii nie znajdzie podróżny

tych cmentarzów, które taką wonią kwiatów obwiewają wzgórza miasteczek niemieckich. Bogatsi Toskańczycy chowani są pod zimnymi murami kościołów, ubożsi zaś wywożeni o cztéry mile za miasto na cmentarz zwany Trespiano i rzucani razem bez trumien w jeden grobowiec, który co dnia piętnaście ciał pożera. Hamleta trzeba nad takim grobem! Hamleta, któryby Ofelią swoję widział pomięszaną z ohydną zgrają umarłych w jednéj mogile. Z tego zwyczaju Florencyi urodził się zapewne ów wymysł matczynéj czułości, godny prawdziwie serca jaskółek: że kiedy jakie biedne ciałko dziewicze lub dziécięce przymuszone są powierzyć czarnym grabarzom Trespiano — bojąc się, aby go ci chciwi ludzie przed rzuceniem w dół z ostatniéj koszuli nie obnażyli — ubierają martwego w długą białą symarę i pod fałdami rozcinają tę szatę w długie aż do dołu wstążki, tak że się wydaje całą, a złodziejom już na nic przydatna być nie może. Biédny Dantyszek, będąc jeszcze żołnierzem legionistą i wygnańcem, nie miał zapewne dość grosza, aby dziéweczkę swoję w Santa Croce obok Danta pochować i musiał ją na równinie Trespiano zostawić. — Jeżeli który z wojażerów rozczuli się nad przygodą złotéj młodości Dantyszka, niechaj zmówi Ave Maria przejeżdżając około cmentarza, gdzie leży ta piękna, siostra może Fornariny. Dziwny cmentarz, na którym krzyż tylko jeden stoi pośrodku i otwiéra bolesne ramiona, a pod nim i w około żadnéj nie widać mogiły, lecz ziemia gładka, runem niby wiosenném okryta i zielona, i co dnia dół jeden czarny, wielki, otwarty, czekający na umarłe.

Str. 334. w. 7. od góry. Słuchaj, ja niegdyś utopiona w stawie.

Leliwa nie wymówił nazwiska zdrajcy, ale powyższy wiersz pokazuje, że ci oboje widziani w piekle są ci sami, o których jest rzecz w cudownym poemacie Malczewskiego. O parze tych małżonków czytałem także w manuskrypcie piękną tragedyą, którą napisał Korzeniowski. Wspomniawszy o tym pisarzu, muszę tu wyjawić moje zadziwienie, że go Polska dotychczas tak mało zna a stąd i nie dosyć ceni — przez taką obojętność gotuje sobie wyrzuty sumienia na przyszłość, kiedy już poetów nie będzie.

Str. 337. w. 8. od dołu. Mogiły smętne pagórków anielskich.

Na cmentarzach w Litwie osobne jest wzgórze, przeznaczone na grzebanie maleńkich, i nazywa się: górką anielską.

Str. 338. w. 7. od góry. Tak uklękłego zakamienowały.

Czytelnik domyśli się, że tu jest mowa o Mikołaju. A Dantyszek mógłby powiedzieć, jak Dante, umieszczający w piekle człowieka żywego jeszcze, że car widzialny na tronie znikomą jest tylko marą i trupem już, a prawdziwie zaś z duszą swoją umarł i znajduje się w piekle. Twierdzenie to Danta tak przeraziło ową żyjącą jeszcze podówczas osobę, że sama zaczęła wierzyć w dwojaką swoję istność, i bać się o rzeczywistość ciała swego na ziemi. Okropny sceptycyzm!

Str. 338. w. 20. od dołu. Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.

Obwinia siebie Dantyszek, że uniesiony mściwością, rozrzucił swoje dziatki po piekle, i żadnéj główki nie doniósł przed Boga; a nie powiada, czy sam doszedł aż do nieba. Sądzić by więc należało, że ustał na siłach i wrócił na ziemię, nie dokonawszy zamiaru. Bo inaczéj skutek jego skargi, to jest litość boską uczulibyśmy nad sobą.

BENIOWSKI.

PIEŚŃ I.

Za panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potém go wyniosła sława —
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu.
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kaźmierz-Zbigniew miał z ochrzczenia
Imiona — rodne nazwisko Beniowski;
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako Częstochowski
Szkaplerz: od dżumy, głodu, od płomienia
I od plag wszystkich — prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swojém namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od któréj nerwy w człowieku nie zmiękną;
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału — nie pękną!
Przez całą młodość, Pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech ludzi — a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał, ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat, był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną —
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzéj sprawę wygrałby z szatanem,
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potém i konie wyprzedał z uprzężą —
Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą —
Pozbył się potém swoich białozorów:
Regentowi dał charty — w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyj,
Nie zyskał jedno wyrok przeciw sobie,
Wyrok, w którym rzecz była o expulsyi.
Mało o to dbał, tracąc na chudobie;
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi,
Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
Na drugę wioskę, et si non mi noces
Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem;
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadził. — O nikczemność!
Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,
I na szumiący jesion łzawo spojrzał.
W téj chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty,
Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik
I Regent, niby trzy głodne lamparty,

Lub jako muły puszczone na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,
Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką: doświadczenie.

O doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w któréj serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiém wybrzeżem,
Do któréj człowiek w dzień pochmurny zmierza!
O doświadczenie! jesteś ciepłém pierzem
Dla samolubów! tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, śród ciemnéj nocy, świécą w ręku!

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia:
O doświadczenie, jak o grosz złamany,
Nie dbał; wolałby mieć wioskę i teścia,
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z Panną Anielą. Téj sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło, dopóki wioski

Nie stracił, wtenczas po włosku: addio!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziéwczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniéj A..wiczów;
Kochała wiernie, wierność była w modzie;
Lecz ojciec — ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce, oczy miała duże,
Czarne. — Jak róże, co się nad mur przegną,
I mimo czujne ogrodowe stróże,
Zerwaniu chłopiąt i dziéwcząt ulegną;
A potém gorzki los tych niewiniątek
Więdnąć na włosach i sercach dziéwcząték!

Aniela, mimo ojcowskie czuwanie,
Widywała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę, kiedy słychać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi, lecz pozwól Asindziéj,
Że się nie mogli widywać gdzieindziéj,

Zwłaszcza o innéj porze. Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik,
Dyabeł wie jakiéj wiary: w rzymskie bogi
Wierzył, i wierzył w proroctwa i w sennik;
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował; zwał się cesarzów plemiennik;
Słowem, była to dziwna meskolancya
Świętości, złota, folgi — jak monstrancya.

To porównanie pojąłbyś od razu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
Odstrzeliwało słońce, kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu
Kłaniającym się ludziom na widoku;
I stał jak martwy, niczém się nie wzruszył,
Lecz widać było że żył, bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,
Na skale, a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki;
Grobelkę z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki,
Z trzema wieżami baniastymi, w złocie,
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!....
Zwłaszcz[illegible] że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczy[illegible]ś do przebycia trudne;
Wężo[illegible]nt[illegible] skałach ścieżki powycinał,

I między róże, co rosły odludne,
Postawiał golce rzymskie... Ten puginał
W ręku swym trzymał i twarz miał brodatą...
Skąd łatwo było poznać, że to... Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę
I na Starosty górach stał bez listka.
Daléj, w egipskich katakombach — ule...
Daléj posągi, którym koniec świstka
Wyłaził z gęby i przemawiał czule
Do pana zamku... jak do antychrystka...
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie
Nie katolickie były... lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.
Jedno w koronie miał wybite oko
A tyle widział nieba, co obiema;
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tém jedném okiem w ciemną wodę;
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grota,
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą śród spokojnych toni.
Albowiem w grocie Matka boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnéj skroni,
Jako Dyana o poranku biała,
Na staw z różanéj tęczy wyzierała....

Słowem... było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego Antenata,
Na którym meszty świéciły papuże,
Rzymska, purpurą bramowana szata.
Przy ucztach często na łysinie... róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sol[illegible]a,
Tak dobrze, wiernie wykowana ry[illegible],
Że kto pił, zdał się mędrcem... nie [illegible]zątcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się,
Lecz zakochany w cudownéj Anieli
Wyjawić szczérze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te groty od lamp różane... i stał się
Nabożnym bardzo w każdéj skalnéj celi;
W każdéj albowiem była jego droga,
I w każdéj po niéj została część Boga...

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia:
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, co widział Chrystusa Oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę... i sądzę najpiękniejszą z krajów
Jednę maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia... pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł...
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny... jako księżyc w chmurach.

O! Melancholio! Nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!
Nie Polak, ale istny Bajronista.

Trochę w tém wina jest mojéj młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę téj ciągłéj w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,

Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą...
I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą... dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niéj
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;
I przy Eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasném niebie daleko jest chłodniéj
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na późniéj,
Bo do porządku mnie wołają woźni.

Ci woźni są to krytycy... Kolego!
Byłżeś w Arkadii téj, gdzie Jezuici
Są barankami?... pasą się .. i strzegą
Psów... i tém żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza?... Kraina niczego!
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutéj... Niebieska kraina!
Co za pieniądze bab... truć nas zaczyna.

O! Polsko! jeśli ty masz zostać młodą
I taką jak ta być, co dzisiaj żyje?!
I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
Któréj pies nie chce, wąż nawet nie pije,
Jeśli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż, co się wije;
Jeśli masz zrównać się z podstępnym Włochem:
Zostań, czém jesteś... ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie anieli niebiescy ostrzegą
O każdéj czarze... czy to w niéj przez wroga,
Czyli przez węża i pająka swego
Wlane są jady.... Jesteś córką Boga,
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.
Ciebie się żadna trucizna nie imie:
Krzyż twym Papieżem jest... twa zguba w Rzymie!

Tam są legiony zjadliwe robactwa:
Czy będziesz czekać, aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwiniesz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych, co pod tronem siedzą?
I krwią handlują i duszą biédactwa,
I sami tylko o swém kłamstwie wiedzą;
I swym bezkrewnym wyszydzają palcem
Człeka, co nie jest trupem... lub padalcem?

Lecz pokój z nimi... nie, ten brud ruchomy
Nie zna pokoju... więc życzenie próżne!
Niechaj więc włażą w zakrwawione domy,
Niech plwają na miecz, stworzenia ostrożne,
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków... niech mają usłużne
W jadzie maczane pióra, dusze w bagnie,
Niech żyją: takiéj krwi nikt nie zapragnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał... i grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły, lecz z urwanéj głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.
Wygnać go była kiedyś wielka praca,
Ma nas za trupa ten szakal i wraca.

Precz z nim, lub jeśli przyczołgnie się żmija,
Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy —
Lecz widzę, że mię ten liryzm zabija,
Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy:
Kiedy czytelnik tę górę omija,
I woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;
A nadewszystko szczére polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam,
Tylko o trochę cierpliwości proszę.
Ja sam na Muzę i natchnienie czekam,
I czoło moje pomarszczone noszę,

I poematu expozycyą zwlekam,
I weny ducha lekkiego nie płoszę,
Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie, aż się kwiat listkami zmruży.

A potém, nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne — i na okolice
Roześle wonie, co wszystko pochłoną.
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę,
I tu pokażę, że nie jest zmyśloną,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice,
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! już pieśń zacznę — jużem gotów.

Był wieczór. Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie,
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy,
Lecz nie poemat pisząc tylko gadkę,
Powiem, że tylko wdział — konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysimi łapy;
Wsiadł na koń, spojrzał na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia — koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami
Na pożegnanie. Klasły dwa harapy
Pana i sługi. I pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów — i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiéj przyszłości, krzyknęła:
Już ty nie wrócisz! i stopy twéj piętna
Są tu ostatnie! lecz jeśli twe dzieła
Zapisze sława wszystkiego pamiętna:
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki
Pójdą na krzyże i na — tabakierki.

A twe koszule porżną na szkaplerze,
A twe papiery, choćby to był tylko
Od ekonoma list, albo przymierze
Wiecznéj miłości z Hańdzią lub Marylką,
Sawantka łzami rzewnymi wypierze
I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką.
Że twa peruka, jeśli masz perukę,
Frenologistów podeprze naukę!

Że twój but prawy powieszą w Sybili,
A o znikniony lewy będą skargi.
Nie mówię więcéj, bo mój rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi!
Lecz gdyby jaka Nimfa w owéj chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła:
Uczułby w sercu coś, coś nakształt piekła.

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,
Jakiém ty jesteś smutném głupstwem ludzi!
Zwłaszcza, że wiedziesz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakształt świécy.

Ale to wszystko jedno. Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater,
A kiedyś, dawniéj, Czarnecki z kolczugą.
Ach tak, jak późniéj nasz sejmowy krater,
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy, Wisłę przewędrował promem,
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem.

Ach! tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci,
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku

Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdém słońcem — słońc mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąc,
Że dla niezgody słońc — królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów, ta bez twarzy
Walka, jak w dawnéj Skandynawów wierze
Wojna niebieskich, krwawych luminarzy.
Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
Ułani, dawnych synowie husarzy,
Którym krew ruska chorągiewki pierze.
Pan Kaźmierz jechał takim być ułanem,
Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał,
Ani się skarżył, choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho, sługa śpiéwał
Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty,
A głos po łanach złocistych przepływał,
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy:
Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. Rycerz wyjechał nad jary,
Skąd rzucił okiem na dom swéj kochanki.
Skała ta, jako wielki obłok szary,
Stała nad stawem; nad nią były wianki
Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,
Z płomienistymi okny i krużganki.
Całą téj górze postać excentryczną
Zdjęła złota noc swoją szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony,
Co stał nad zamkiem żeniony z topolą;
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony,
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolą
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawią na tuza
Cały majątek. Przegrał go i plunął,
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza,
I z nadziei swych na wiek wieków runął,
Westchnął! i wzniosła mu się w piersiach śluza,
Łzami się zalał i z siodła się zsunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości.
Przyskoczył stary Grześ: „Co jegomości?“

„Święta Maryo, ratuj! dziecko kona!“
Na to Beniowski rzekł: „poprawiam strzemię“
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,
W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona
Wydobył jęki, i całe trosk brzemię
Takiém westchnieniem wielkiém w księżyc cisnął,
Że księżyc ścmił się, zmarszczył i znów błysnął.

Westchnąwszy, jechał daléj brzegiem jaru,
A za nim sługa w ceglastym kontuszu.
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
Litość aniołów brzęczy koło uszu:
Smutny jest gotów do bójki i swaru,
Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego lozak,
Szczęściem, że żaden nie zjawił się kozak.

Bo w takiéj chwili kochanek rozpaczny
Gorszy niż lwica Wirgila hirkańska.
Jechał więc smutny rycerz, za nim baczny
Na wszystko jechał Grześ; a wódka gdańska
W skórzanéj flaszy dźwięk dawała smaczny.
I bełkotała ta Nimfa szatańska
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słysząc, jak słodko zapraszała flasza,
Spróbował jéj Grześ raz, dwa i trzy razy;
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a głazy

Ludźmi. Więc jako żona Eneasza,
Został się w Troi, z konia spadł na ślazy.
I tak bohater zbył swojego sługi,
Ale za koniem jego szedł koń drugi.

I było coraz ciemniéj. Wtém, o cuda!
Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza.
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda;
Gałąź pokrzywy miała zamiast bicza;
Tu widzę, że mi się poemat uda,
Że mi już muza swoich łask użycza;
Więc daléj, wieszczów galopem wyprzedźmy,
Jest *ex machina Deus* — w kształcie wiedźmy.

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął,
Widząc, że siedział czart w srebrnéj koronie
Na koniu, co go jak wicher prześcignął,
I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
Lejce, i stepem zamroczonym śmignął,
Ciągnąc za sobą mojéj pieśni syna.
Że Polak daje się wieść, nie nowina!

Widziałem. Ale stój, Muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale. Miesiąc świéci,
Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnéj koronie, jak anioł straszliwy,
O którym roją na pół senne dzieci;
Że koń ma ze mgły, z wężów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze.

I coraz prędzéj, jakby anioł zgonu,
Pędził za naszym rycerzem i babą;
Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo, jęczał słabo,
A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu
Gdy zczerwienieje, lub, jak mówi Strabo,
Łapa Ibisa czerwona, bez pierza,
Za lejc trzymała swój, i lejc rycerza.

W zawrocie głowy rycerz wlepił oczy
W tę rękę z trzema czerwonymi żyły.
A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy?
Ale mu jego koń był bardzo miły.
Czy świśnie szablą, aż się łeb potoczy
I spadnie z karku wiedźmy do mogiły?
Ale i ta myśl druga i ta chętka
Zdawała mu się nie zła, lecz za prędka.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie,
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy,
Gdyby cię takie spotkało porwanie?
Byś nie spodziewał się znikąd odsieczy?
I widział taką rękę, Mości Panie!
Czerwoną? do miliona krwawych mieczy,
Taką ohydną rękę? pełną kości?
Co pozbawiła cię ludzkiéj godności!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce. Cobyś więc powiedział na to?
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
I — nie wiem pewnie — lecz może wąsatą
Sę-Symonistkę, i nie idealną,
Ale kościaną, był pozbawion woli
I tchu, i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? Więc sobie zamawiam twą łaskę
Nadal, na rzeczy ważniejszych sądzenie.
Beniowski więc wpadł w szatańską zatrzaskę;
Widzę w tym jego gwiazdę, przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżyca; a w tym prędkim biegu
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle, zwolniła kroku przewodniczka,
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
Patrząc, gdzie go ta wędrówka zawiodła.

Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka
Między skałami, co mogą za godła
Służyć dwom sercom rozdartym na wieki,
Wiodła go prosto — prosto do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze i te skały
I tę ścieżeczkę pełną rudéj glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały,
Z których czytelnik może roić drwinki.
Starosta córce dał ten gaik mały,
I od niéj nazwał miejsce, Anielinki:
A zaś ta wiedźma na pozór straszliwa,
Była to niańka Panny, stara Diwa!

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę Ibisa rękę wnet uścisnął.
„Więc ty Irydą jesteś, a Junoną
„Jest twoja Pani? Teraz obłok prysnął!
„Ach! widzę, jaką miałem myśl szaloną!
„I cobym zrobił, gdybym szablą świsnął
„I odciął ci tę rękę, Diwo stara!
„Drugi raz nie graj w dyabła i w Tatara!“

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem.
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,
Widząc tysiącznych róż otwarte łono.
Chata nakryta prostéj słomy wiechem,
Ścieniona lipy ogromnéj koroną,
Stała na łące w najciemniejszéj głębi,
Z girlandą śpiących w około gołębi.

Z drżeniem za Diwą szedł Beniowski młody,
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni
I poszedł zwolna, parskając, do wody;
Ta wyglądała z pod białych jabłoni
Szarfą księżyca, błękitem pogody.
Za nim koń drugi poszedł rżąc, a oni...
To jest, nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświécił w sieni,
I drzwi otworzył od Panny pokoju.
Na progu stała, jakby smętna ksieni,
Panna Aniela, cała w białym stroju;
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jako złote światło Świętych.

Beniowski myślał, że Anioł, i witał
Jak bóstwo, długiém, przeciągłém westchnieniem,
Potém się zmięszał i o zdrowie spytał:
Co dziś byłoby wielkiém uchybieniem!
Nieświatowością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand! że się bajronicznym cieniem
Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżyca
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka, albo czarownica,
I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją, lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw!
Anhelli cię ma biały za lokaja;
I Balladyna, skora do zabijaństw,
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie;

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnéj, twardéj wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,

A piąte mi koń w stepach przyniósł kary.
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

Lecz do powieści. — Więc na progu stała
Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
Dla zalotników zwyczajnych jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dla tego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiéj Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy
Z nimi w zielone gra, lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują, haczek obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednéj pannie gimnazya, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea;
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na późniéj trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek,
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłoście nic są w miłości niewarte;
Że lepiéj serce zawrócić niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziéj romansowe,
I stokroć bardziéj ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczą kończą tak, jak Werter w Getym.

Więc z drugiéj strony w tém jest kompensacya
Dla tych, co dzisiaj są starymi panny,
Gdy na rozstajnéj drodze jaka stacya
I kamień — i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą, że każdą z nich, jako akacya
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem,
I ma kochanka w piekle — potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną,
I poeci ją rymami zaszczycą:
Już jéj nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posępnie dziewicą!
A kochanek jéj, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
Mając łzy w oczach, a w ręku pistolet.

Ale to nie był los Panny Anieli;
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna,
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiéj stopie. — Strzelna
Nie była swymi źrenicami — zgoła!
Lecz oczy czarne jéj paliły czoła.

Włosy jéj długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte,
I uświęcone snycerską powagą,
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte.
Ktokolwiek widział marmurową, nagą,
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki.

Jak owo jaje, w którém kiedyś Leda
Powiła syna bogu łabędziowi,
Jak? — dzisiaj się to wytłómaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;

A gdym tłómaczył, to panna Praxeda
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potém mi dała w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana
Panna Praxeda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który
Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką,
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. Czémże jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry.
Podziękowawszy w téj chwilki chwilowość,
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
A l'antique — barwy troszeczkę bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jéj ręka piękna, maleńka i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,
„Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!
„Nie mów mi, że jest między nami przedział
„Fortuny. Jestem nad przepaści brzegiem.
„Usiądź! opowiem, wszystko będziesz wiedział!
„Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
„Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce,
„Lecz ja cię kocham jedna, ja mam serce.

„Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
„Majątek, ludzi sąd? ja kocham ciebie!
„Ja twego serca chcę, a nie twych dusz mi
„Potrzeba! pójdę o żebranym chlebie.
„Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
„Serca, mój los już zapisany w niebie.
„Ja kocham ciebie! w twojém sercu żyję.
„Kto nas rozdzielić chce, ten mię zabije!

„Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
„Znów się oświadczył i o moję rękę
„Prosił. Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
„I guwernantka, jak na moję mękę,
„Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
„Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
„Przekabacili już na swoję stronę.
„Płakałam — patrzaj, oczy mam czerwone.

„A tu jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bal. Czy widzisz jak jestem ubrana?
„Musiałam ubrać się dla ojca mego
„W ten księżyc, lecz ja dla mojego pana,
„Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
„Ubrałam się tak w kwiaty, po kolana.
„Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja!
„Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

„Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? O! ty niewierny!
„Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
„Gdzieżeś ty jechał? Gdy mię ból niezmierny
„Dręczy, kiedy mię przed ołtarze wleką;
„Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
„Rzucić, lub twoją się zakryć opieką,
„Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
„Ja przebaczyłam już, ale mi smutno.

„Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
„Oprzeć się, zostać twoją? Ja nie płocha!
„Ty nie wiesz, co to jest kobieta biédna,
„Kiedy ją dręczą; kiedy mocno kocha,

„Zgubi się, potém u wszystkich wyjedna
„Łzy nad swém sercem zgubioném i trocha
„Kwiatów, i więcéj też żadnéj nie trzeba,
„Cóż to? Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

„Myślałam, że ty mi dodasz nadziei —“
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —
„Myślałam, że ty w téj smutnéj kolei“...
Tu blisko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
Wzięła ją, drżące w szkło usteczka klei;
Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyament dzwoni:

„Myślałam“... Głos jéj o jednę oktawę
Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny.
Boleść złamała jéj giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny!
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorżkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: „Kochasz mię jeszcze?“

Beniowski już był na kolanach — w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli. Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tém pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja. A tym czasem,

Jako pretendent, na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiéj pieśni.
Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
Wyjdę z dzisiejszéj estetycznéj cieśni,
I skrzydeł mojéj Muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniéj,
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzéce kryształowéj płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie;
Że, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całéj sztuce tylko nie zabity
Sufler i *Młoda Polska*, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię; która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń miry, ani malin.

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało wleść, albo w Mazura,
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę,
Pisząc naprzykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę
Jak szpaki Danta; rzecz taka ponura,
A taka mleczna i niewarta wzmianki,
Jak kwiat posłany dla pierwszéj kochanki.

Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny;
Gdyby mi braknął gorżki chleb powszedni,
Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,
Troską i solą z łez gorących, biédni!
Tam nędzni, dla nas posępni, nadskalni,
Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarém, mglistém, pełném duchów.

Pewnie bym — lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresye nudzą; więc mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcéj nieco będzie gwaru, krzyku,

Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

PIEŚŃ II.

O, nie lękajcie się mojéj goryczy!
Dalibóg, nie wiem sam, skąd mi się wzięła.
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła.
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syrjusz, zrzucony przez nią, lub Niedźwiadek,

Spali się, lecz ja nie winien. Per Bacco!
Różnymi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam Odę,
Naprzykład drugą piękną Odę taką,
Jak do młodości. Może serca młode
Pokochają mię za to, żem jest śmiały,
Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć... co?... dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam, jaki szczéry Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest s y r e d e ń!..
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy, to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami

Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnymi oczami
Patrzy... na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc... w dole.

Atoli, wnętrze tych domów dopiéro
Poetyczném jest... zwłaszcza, jeśli miłość
Oświéci, wonną je napełni mirą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... ta strofa ma pewną zawiłość,
Któréj nie lubię, lecz ją skończyć muszę:
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jednę... lecz nie wspomnę o niéj,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jéj wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniéj,
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniéj.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jéj żałobę nosić.
Jéj słońca drogi mlecznéj nie omylą;
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiéj głos, bez końca,
Ze słońc na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,
Więcéj niż śniło się wam filozofom —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom,

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu — ziemskim i tam — nadsłonecznym; oba
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie;
Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:
A te zostaną pieśni jako próba,
Wcale nie według mego serca... ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwalę.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika
Oczerwienionym, na piekielnym progu...
Szkoda, że w księdzu Kiefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezżennym... także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! jest to przestroga
Już nie Szekspira; na tym fundamencie
Moralność cała stoi!... Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja Ariostyczna droga?...
Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie.
Nawet pisania łatwość rzuca plamę —
Mówią, że w cztérech dniach układam Dramę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d....w być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na któréjby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię Sekstyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,

Z napisem *patri patriae*.... Jest to nowa
Krytyka.... Stój!... ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasem na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur, który duszę w sobie chowa,
I zwolna złotym wylewa strumieniem!
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna... O! gdyby —!
Zachcenia moje są jak Klefta żądze,
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby!
I dla jaskółek... na co?... Znowu błądzę,
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł, jako Poznańczyk, idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
Krytyka równe porobi odkrycia?
Nie wiem. Czasami myśl w Eterze pływa,
Przez piękne bardzo przelatując śnicia;
Lecz później, pismo, druk... tęcze obrywa
Z kształtów.... A teraz odblysk mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie, jak serce wesołe... gdy pęknie!

Szczęściem, że pieśni téj bohater młody,
Świeży, miłosny i ma ciemne oko,
Złote połyskiem zielonawéj wody,
Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznéj pogody,
Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczérze westchniecie z litości,
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezya go otacza... czytelniku!
Na jego miejscu, o! ileżbyś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
Hypogryfując, leci, klnie wyrazy,
Klnie, że w około zimnych serc bez liku!
Same szkielety pod nią, same płazy!...
Beniowski, jakby go Bóg o tém ostrzegł,
A priori to czuł... lecz i nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał,
Biédaczek! brakło mu formy gotowéj!
Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,
Idei żadnéj w nim nie było nowéj...
Najnowsze z ustek różanych wysysał,
I teraz, patrzcie: w pasiece lipowéj
Klęczy pokornie przy kochanki nodze,
Oboje na zbyt niebezpiecznéj drodze.

Lecz młodość... O! ta pomimo dewotek,
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
To jest kochanków młodość. Mimo plotek,
Szesnastoletnim się przybliżyć licom
Pozwólcie... zwłaszcza, gdy chłopiec podlotek
Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,
Dla tego tylko, że się mogą bratać
Piórkami... ściskać, i gruchać, i latać.

O pierwsza miłość!... Téj wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu!
Téj ideałem jest latanie razem
W krainie, w któréj nie ma końca, kresu.

Potém się człowiek głupi staje płazem...
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgoła,
Dla czego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku Świętego Anioła....
Prócz tych... ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewice!
Zarumienieniem waszém ucieszony,
Wracam do bajki mojéj... z innéj strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę
Śród róż, drzew, świateł księżycowych, woni,
Wód, rzucających srebrne błyskawice
Z pod brzóz i bielą okrytych jabłoni,
Serce przy sercu, i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnéj dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czułe,
Lecz wieszcza mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie starosta
Kłaniał się, pocił, dął, puszył, brał na ton:
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon,
Na mózg wesołych ludzi wielka chłosta!
Więc się rozeszli, woląc sen... niż świat on,
Co się naówczas zdał za-atlantyckim...
Został się pan starosta z Dzieduszyckim.

Ów Dzieduszycki był to regimentarz
Podolski, wielki wróg konfederacyi,
Z któréj niedawno chciał uczynić cmętarz,
Co do jednego wyciąć.. niech go kaci!
Z Rulhiera pewnie jego czyn pamiętasz:
A tu obaczysz, jak mu się wypłaci
Konfederacya: jak jest niebezpiecznie
Z demokratami być nie dosyć grzecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potém była wielka szkoda,
Bowiem go czekał stryczek lub puginał.
Nie znano jeszcze wówczas Wallenroda,
I kończył jak pies, kto zdradą zaczynał:
Exemplum: oba litewskie biskupy,
Na dwóch latarniach miejskich... oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiéj, jeśli ich pod lodem
Car nie utopi .. łatwiéj ujść latarni.
Krukowiecki jest miasta Wallenrodem,
Demokratycznym jest Gurowski. — Czarni!
Lecz obu wielka myśl była powodem:
Oba chcą Polski, aby ujść bezkarni;
Bo zna to dobrze ta piekielna para,
Że łatwiéj odrwić Polaków... niż cara.

Walenrodyczność czyli walenrodyzm —
Ten wiele zrobił dobrego... najwięcéj!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego — zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcéj już rymu na odyzm,
Co od włoskiego o d i a r - l o... najprędzéj
Może zastąpić brak polskiego słowa...
Walenrodyczność więc .. jest to rzecz nowa.

Mój czytelniku, powiem coś na ucho:
I sam Paszkiewicz... domyślaj się reszty...
Co? sam Paszkiewicz? .. O tém jeszcze głucho,
Lecz jestem pewny.... Pomyślał: a wiesz ty?
Że on być musi już przejęty skruchą?
On jest Polakiem aż po same meszty,
Które mu dzisiaj wyszyła Walida,
Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda.

Tak jest; obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie,
Co powiedziałem: nie rzucaj się w spiski,
Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
Rzeczom, co jako piorunowe błyski

W chmurach się kryją. Więc już rozumiecie,
Że Dzieduszycki nie miał jednéj kréski...
Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca,
Wszyscy w ojczyźnie mówili: to zdrajca!...

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy:
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr... trzy razy,
I cała wina na koguta spływa,
Dla tego, że piał. A więc wszystkie zmazy
Pan regimentarz, kochanek Gradywa,
Dźwigał na sobie i chował *in petto*
Zemstę, jak Włochy, co się mszczą *stiletto*.

Tymczasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek, wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,
Pół warjat, a pół syn Cezarów Romy;
Maleńki starzec pół łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę — pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencyą ojca się oświadczył pannie.
Wspomniał o drzewie swoich antenatów,
Nie wspomniał ani raz o krwawéj wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów,
Ale o królu mówił nieustannie!
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów —
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dla tego kochał psy. Gdy gardło zalał,
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał wąs — za psami szalał —
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bolu zębów, a stąd od wścieklizny;
Miał jednak dobrą stronę... anewryzmy.

Te dowodziły, że miał serce... Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materyalny kadłub, z okiem sowy,
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego, co łudzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu staroście, na prawo;
Dobijał właśnie targu, i na czole
Widać mu było niecierpliwość krwawą,
Gryzącą — oczy utopił sokole;
Za ręce teścia trzymał ręką prawą,
Lewą na stole wyciągniętą prosto,
Prosto ku kielichowi, i mówił: „Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoję uszczęśliwić.
Wierzaj mi i bądź, starosto, łaskawy.“
Tu, pragnąc trupi głos nieco ożywić,
Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,
I zwykł się nieco był po piciu krzywić.
Tak wyciągnąwszy blisko wina kwartę,
Zmarszczył, i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
„Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą.“
Tak mówiąc, teścia przyszłego kolana
Ścisnął pod stołem i oczy, co straszą
Chłopów, jak oczy czerwone szatana,
Uczynił cukrem i ponętą ptaszą;
A miał na oczach swoich jak jastrząbek
Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek

Starosta na pół śpiący ale grzeczny,
Nie wstawał, ani odpowiadał na to;
Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
Zwłaszcza, gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,

I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,
Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez połowę
Już spał, a wreszcie nie chciał odpowiadać.
Pan Dzieduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy jął ręce układać;
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uśpionego napół serca wkradać,
Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: *niech tak będzie.*

Gadając, ręce pokornie złożone
Na stół położył obie, i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzone;
Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,
Że po pjanemu zdobył sobie żonę,
Wtém nagle jak wąż wzdął się i zawrzeszczał,
Wstał, lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orła w koronie.

Orzeł na karcie był, a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita,
Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła!
Oczy w niéj toną, myślałbyś, że czyta,
Że karta trupie kolory odbiła
Na jego żółtą twarz. Ksiądz karmelita
Za stołem cicho stał i patrzał z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan, to raz na księdza,
To znów na ściany patrzał, wstając zwolna:
Ręka na szabli, w oczach gniewu jędza
Ledwo się w sobie pohamować zdolna;
Lecz myślał, że mu sen mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okólna,
Ten papier nagle do stołu przybity,
Dzieduszyckiego jęk — wzrok karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli; ale mówiąc szczérze,
Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Don-Żuana widział na operze,
Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczerzę;
Tak trudno było pomiarkować zrazu,
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna, i bez przerwy
Piał kogut, świéce miały długie knoty;
Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,
A w jedném oknie miesiąc stanął złoty —
Znacie działanie téj gwiazdy na nerwy.
Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łoskoty
Na dachu, jakby jęczenia grobowe,
Wreszcie Ladawy pan odzyskał mowę.

„Ktoś ty?“ Ksiądz milczał. „Co tu robisz, mnichu?
Co znaczy papier ten? na Lucypera!“
Tu Dzieduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął jak człek, co umiera.
Spojrzał, chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczéra,
Jak w zwierciadlanym łysnęła odruzgu;
Szkło tylko — gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrzał i cofnął się biały
Jak wosk, jak oczy, którymi go szukał
Pan Dzieduszycki; ale okazały
W cofnieniu się swém, na ludzi nie hukał,
Zwłaszcza, że ksiądz był wielki, a on mały.
Nieraz zaś przedtém pan starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę,
Licząc na swoję małość i powagę.

Więc co miał w oczach skiér, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
Sam by się Jowisz oburzony chwalił
Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.

Spiorunowany ksiądz się w proch nie walił,
Lecz w jednę szybę okien rzucił głazem.
Na ten brzęk — wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: *Konfederaty.*

Starosta spuścił łeb, ksiądz się przybliżył,
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
„Przebacz, wielmożny pan, jeślim ubliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny; a jęki
Tego człowieka słuszne — Bóg go zniżył.
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie.“

Podczas téj mowy twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach, kołpaki,
Konfederatki, czapki i rogate,
I krągłe, i kapuzy, i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się, rzekł ksiądz: „ja jestem ksiądz Marek!“

Wstrzymał się, powiódł okiem po staroście,
Zmarszczył się i rzekł: dla kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy!
Wy się tu, proszę, bracia nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny — więc kapituluje.

Na to starosta krzyknął: „protestuję!
Przeciwko zdradzie haniebnéj waszmościów,
Jako Rzymianin z zamku ustępuję,
Mieć nie będziecie nawet moich kościów“
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w téj mowie niegramatycznościów!
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezya gotowa! — Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozpłomienionych.
Zresztą już Ursę mam z Kasyopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pęknionych,
I Filomelę, co tak jak J. B. O.
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak, że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezya. Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: „pójdę i skonam za kratą!“
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak przysiągłbym, że niefałszywe:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak daléj. .
Czy przysięgaliście, jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoję w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potém los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: „Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!“
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszało — nie bardzo,
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem!
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.

Takich dwa, a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorżkniał, że nawet nie trącę
W téj pieśni — smutnéj lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące:
Gołębie słychać tam było gruchania,
Łzy zimne — usta zmywają gorące;
Słuchać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
Już się rozeszli, rzecz skończona! — Horror!
Miłość przechodzi już w pamiątek kolor,

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski,
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe, chmurą obwiedzione złotą!
W dole: Raphael pinxit, albo Giotto.

W galeryi siedzi dusza. O tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszéj kaplicy stojąca,
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które biédna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białymi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedya powagi
I ciszy greckiéj; reszta wiatru wyciem —
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła —
Z wszystkiego, patrzcie co? krzyż i mogiła.

Precz! wszystkie takie sceny, odgrywane
W teatrze naszych wnętrzności. Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę,
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane —
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona!
Kto wie, za kilka lat czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła — ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły;
Potém sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonymi, ów dąb pełen siły,
Który się dawniéj kochał bez nadziei,
Jedno swe oko topiąc w Galathei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna,
Już zadyszana, stanęła poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niéj oczyma bawić;
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niéj zaczynały jawić,
Długie, błyszczące robiąc korowody,
Ilekroć łezkę rzuciła do wody:

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet, czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy,

I serce biło w niéj, bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się, a jakieś głosy
W powietrzu cichém brzęczały i gwary;
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy.
A wtém, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. Nim oddech utracę
W téj strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa raca, nakazana
Przez księdza Marka, na znak panu Sawie;
Pod biédną panną zadrżały kolana
Z trwogi, wąż leciał, paląc się jaskrawie,
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jéj dugena,
Niebo, ta raca na gwiazdach rozbita,
I każda róża w ogniu, i phalena:
Już zdało się jéj, że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem. — Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla téj panny,
Gdyby to zamiast racy, był świt ranny.

Lecz raca zgasła i swe włosy złote
W ciemném powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela, myśląc jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała
W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonych w bok miotała błyski,
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,
Przygotowała dla ojca uściski,
Dla guwernantki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon niski
Dla pretendenta do obrączki ślubnéj,
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnéj.

Mimo to wszystko, serce biło szybko,
Coś do téj główki wpadło... i pobiegła,
Biegnąc jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki zdala plusk spostrzegła;
I coraz prędzéj leciała i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażegła,
Zadyszała się... i różowa wpadła
W bramę i w około spojrzała i... zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie mnodzy,
Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
Widać, że byli trzymani na wodzy,
Bo ujrzeli ją i stali spokojni:
Byli to wszystko szlachcice ubodzy,
Patryotyczni bardzo, bogobojni,
Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
Choć zimno, rzadko który w lisich błamach.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.
Ale spojrzawszy na nich, już nie drżała;
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,
Wyprostowana, sroga, trochę biała,
A okiem paląc jak Transteweranka...
Biegła, jak wicher szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie;

Że radby się był rozsądzić granicznie
Z konfederacyą... i tak daléj. W szumie
Tych słów nic więcéj nie pojęła córa,
Tylko, że ojcu grozi jakaś chmura.

Blady był bowiem starzec, jego ręce
Drżały. — Tu powiem, że Dzieduszyckiemu
Pożyczył niegdyś proszony, na prędce,
Kozaków przeciw panu Puławskiemu.
Słusznie więc teraz zbladł jako jarzęce
Świéce, trupowi podobien białemu.
I ów pan cały purpurowy wczora
Wyglądał jako posąg komandora.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnymi kroki do stołu się zbliża:
Widzi, że sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża
Wyrywa ów nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło z pod papieru; obie
Te ręce zdrajca położył na sobie

I oblały go krwią jasną dziurawe
Dłonie i włos mu okrwawiły siwy.
Potém ku piersiom poniósł ręce krwawe,
I na żupanie białym znak straszliwy
Został, jak owe ordery plugawe,
Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
Wiesza na piersiach... Potém się posunął,
Dał krok, zawrzeszczał jak szatan i runął.

Serce w nim chore biło coraz prędzéj,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło. — Siwy ten sęp z okiem jędzy
Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia, co z téj saméj przędzy
Winą się... dla nich ten rym i przeklęcie:
Niech swoję przyszłość w téj pieśni odkryją!
Niech jak psi patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, rąk własnych zczerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył;
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
A potém ręką odepchnął i zbroczył.
Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami!...
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc, że duszę tę... już dyabli biorą.

Wtenczas starosta rzucił się do stołu,
Kułakiem stuknął, krzycząc: „rozbójnicy!“
Przemierzył księdza od góry do dołu:
„Waszeć byś lepiéj modlił się w kaplicy
„Niż — z mojego cię wyklnę kapitołu!
„Córko! podaj mi papier... kozak, świécy!
„Siadaj tu panna, *et pagina fracta*
„Pisz protestacyą, która pójdzie w akta.“

Posłuszna panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie...
A starzec do niéj: „ta krew czarna, zsiadła,
„Ta krew na stole atramentem będzie,
„Umocz to pióro.“ Aniela pobladła;
Krwią był zalany stół aż po krawędzie,
Krwią, co wyciekła z rąk regimentarskich,
Gdy mu przybito do nich wyrok barskich.

Ale posłuszna, w krwi zmoczyła pióro,
Potém spojrzała i dreszcz ją przeniknął.
„Wezwawszy bogów na świadki... pisz, córo!
„Których bogdajby wzroku nie uniknął
„Ów czyn nieszczęsny i haniebny... juro!“...
Tu karmelita ksiądz powstawszy, krzyknął:
„Ja exorcyzmem te szatany zwalczę...
„Co? ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze?

„A ty, panienko, grzech ściągasz na duszę,
„Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka.
„Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę,
„I na tém miejscu krwi popłynie rzeka,

„Gdzie stoję... a te góry, palcem ruszę
„I na Moskali pójdą!... Kto tu szczeka?
„Kto tu urąga się z bożego Ducha?
„Kto tutaj słysząc, nie słyszy i słucha?

„Zaprawdę mówię ci, panie starosto,
„Ze masz na oczach bielmo i ślepotę.
„I powiem ci tu bez ogródek... prosto,
Ze prosto idziesz w piekielną ciemnotę,
„Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,
„I gdyby nie ja — te komnaty złote
„Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane,
„I purpurowe i w ogień odziane.

„Czy nie wiesz o tém? że na Ukrainie
„Zaczęła się rzeź i szlachty wyrżnięcie?
„Pod święconymi nożami krew płynie;
„Pop pierś otwiera, a chłop daje cięcie
„W bijące serce!... Cały naród ginie,
„Jak w zapalonym przez Boga okręcie;
„A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
„Ale bezczynny, sądzisz, żeś bezpieczny?

„Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
„Dzisiejszéj nocy kozak twój Mohiła
„Miał tu pohulać z tobą, wielki panie!
„Dziśby tu wielka rzeź w zamczysku była.
„Idź!... on przykuty łańcuchami w ścianie,
„A przy nim zbójców powiązanych siła,
„Idź! obacz, jakie teraz mają łoże:
„Leżą na workach, a w tych workach... noże!

„O! taka pościel będzie dla grzesznika,
„Co, jak ty, patrzy na mordy spokojnie!
„Dziś byłbyś w piekle, tu, bez spowiednika
„Zamordowany... Pan Sawa się zbrojnie
„Z twoimi chłopy na moście potyka,
„I za twą całość krew wylewa hojnie.
„A twoja siwa się tu rzuca głowa,
„Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa?“

Podczas téj mowy pan starosta w czoło
Księdza jasnymi patrzał się oczyma;
Nagle, jak człowiek, gdy ujrzy, że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma,
Zadrżał. — A wtém pan Sawa wszedł wesoło...
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
Pół kozak, a pół szlachcic... ten donosił,
Że całą groblę starosty krwią zrosił.

I widać było to na nim: wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spojrzał i zmięszał się cały,
Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzymał najeżone strzały.
Zamek był broni napełniony szczękiem,
Trup na podłodze, karmelita biały
Nad trupem, blady starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiéj postawy.

Jako Sybilla z piórem w ręku... Basta!
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.
Daléj ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
Wiszących — Romans w poemat urasta!
Cóż w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu? Pociągnąwszy hausta
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacyą,
Dyabłowi oddam bohatera duszę,
I pewnie zyskam wszystkich aprobacyą —
A tych, co płakać ze mną nie chcą... zmuszę.
I demokracyą i arystokracyą
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę...
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:
Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.

PIEŚŃ III.

O! jakże smutno w jasnéj życia wiośnie
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczą; lecz czego się imiesz —
Błotem. Dopóki serce wre miłośnie,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzémiesz;
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiéro
Pojmować, że ten cały świat satyrą!

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
Poezya gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady;
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgle, w któréj wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca;
I myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W téj mgle twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potém z tych wszystkich wierszy, dumań — kwita,
Potém trzy wiersze Danta, pełne cienia
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcya,
Która poezyi uczy, jest dyssekcya.

Szkoda, że z takiéj dyssekcyi wynika
Jakaś szkodliwa materyalność, sucha —
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburski słucha:
„Oryginalny wieszcz do Tygodnika
„Napisał nowy wierszyk pełen ducha,
„Który zapewnia mu wieniec osobny;
„Wiersz, do niczego przedtém niepodobny!“

Widać, że po tym deszczu w Polsce krwawym
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj łzawym!
I w oknie duszy ma zielone szyby!
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby;
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja, i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dla tego w raju mam zamknięte bramy,
I żadnéj duszy myślą nie zapłodnię —
Cóżkolwiek ma być — wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łza? Dobre i to!
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconéj duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnéj sławy, pokoju, wygody.
Krytykom jak psom rzucam kilka kości —
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. Ranek
Błękitnie w polach podolskich zaświtał,
W niebiosach oczy utopił kochanek,
I marzeniami swoję przyszłość czytał;
I widział ją tak uwitą, jak wianek,
Z dni szafirowych, złotych; już się witał
Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur, pragnąc nadzwyczaj miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniéj Andromed
Do skał przykutych srogimi żelazy,
Z warkoczem, który wisi jak u komet —
Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!

Młodość albowiem świeża, jak Mahomet
Pantheistyczną jest, i wszystkie głazy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarnek w gruszce.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztéry z siebie wydaje Hurysek.
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza, że w każdéj gruszce, do wyboru,
Masz cztéry panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych
Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie;
U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,
W rymach malując jedną z tych przestałych
Owoców, starą pannę, seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: płeć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie, i krytyka
Milczy, krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosoróg;
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa, gdybym dbał i był gorący!
I włożył imię jéj w poemat drwiący.

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K.
Mówią, że młodą Polskę pisze — baba!
Ale ja, widząc jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
W dyabelskim napisane dyalekcie,

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni dla tego, że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
Jakby, w balladach porównania szukaj,
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza;
I czuję w sercu, że nadspodziewanie
Prędko mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie!
Ja go prowadzę w ogień; jeśli zginie,
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! cztérdzieści cztéry pieśni całych!
Cztérdzieści bowiem cztéry w planie stoi;
Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych,
Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą, bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiéj się poezyi boi;
Więc rzecz, co działa się tam gdzieś za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o cztérdziestu cztérech
Pieśniach zacząłem Epos i, niestety!
Może nie skończę! i w gwiaździstych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeśli Pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun, co gór prześladuje grzbiety,
Nie zapróbuje miecza i to zaraz,
Zjadłszy przynajmniéj trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem, aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar atakować, gdy po wioskach, wszędy

Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów bez żadnéj kwerendy
Wieszał, i przyszłą respublikę kształcił,
Bo żydów palił, a niewiasty gwałcił.

Dwie drogi, jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi;
Druga, choć trochę Maltusa kaleczy,
Systema i to, co za ziomki swymi
Pisze pan Cz... zwolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia rzymskimi,
A żydom nic nie szkodzi, bo żyd w mig się
Odradza — patrz Tacyta o Fenixie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżynie.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzał i rozmyślał, co uczyni?
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady; wojska w linii
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w téj girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błyskitach,
Wyrzucając błysk, do żądeł by pszczelnych
Podobny. Kule szumiały po żytach,
Gwizdały, do jędz podobne piekielnych;
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,
Na ludziach grały jękiem, jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny;
I widzisz pszczoły, w słonecznym promyku
Lecące do łąk, daléj, gródek zbrojny
O milę, na równinie; działa w szyku,
Ataki, słowem, krotochwilę wojny;
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krużganku patrzysz i zdaleka.

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho;
I działa, jak psy legły mu przy stopach,
On je pogładził i szczeknęły głucho.
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach,
Szczęsny! któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferye,
I zamiast pisać akt, stawia baterye.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane:
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem wygnane.
Dalekie miejskie słychać gwary, dzwony,
Wszystko w koło wre; tylko zadumane
Na szarém polu dwie Maćkowe grusze,
Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskal pieszy ku mieścinie;
Tu kawalerya się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula po nad uchem
Gwiźnie, i znów się prostuje, gdy minie!
Tu garść kozaków jakby oczeretów
Kępa; tu błyski szabel, tam — bagnetów.

Na to Pan Zbigniew patrzał z po nad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
Chciałby iść w ogień, ale mówiąc szczérze,
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą barskie się łyskały krzyże.
I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
Stał jak tchórz, albo gazety redaktor.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biec, gdzie burza błyskała czerwona;
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka Nimfa na ramiona

Złożyła ręce. — Wrzasnął głośno: kto tu?
I mocniéj w nim pierś zadrżała wzburzona.
Spojrzał, na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?
Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elsler lub Taglioni,
Gdy udaruje ją car naszyjnikiem,
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;
Tak owe białe gołębie przeciwnie

Z lotu zrobiły taniec, i nad głową
Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
Jakby miłosne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane;
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo smętne, zadumane;
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim — w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,
I znów złączone, jako płatek biały
Śniegu, gołąbek przy swéj gołębicy
Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;
Aż zmordowani obaj tanecznicy,
Najmilsze z siebie dali małowidło:
Senną kochankę gołąb wziął na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,
I w koło chodząc, budził gardłowaniem.
Na szyję wyszły mu kolory pawie,
Miłość go takiém darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
W ogień tęczowy. Z takiém się kochaniem
Zapatrzył gołąb w swoję senną panią,
Że tęcza blasków z niego — przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,
Z ramion mu poszły, i w kręgi, i w słoje
Tnące powietrze. Z razu był nieszparki
Lot, póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przelały swoję myśl w serce człowieka,
Coraz prędszymi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
Awantur nowych, dziwnych łańcuch złoty,
Zaczarowany zamek, albo rzeka
Pełna Rusałek. O! domysły trafne!
Może w pokrzywy przemieniona Dafne?

Może Minotaur i zaklęte skarby,
Z których, jak z dobréj wioski będzie przychód;
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by
Nie latał, nigdy by nie żył Don-Kiszot,
Nigdyby w Trzecim Maju nie urosły
Iluzye, na co dziś tak wrzeszczą posły.

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły;
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeschła kora miała szpary,
Z konarów liście na poły opadły.
Liść, co pozostał, zwiędły i zwalany
Szumiał po drzewie, jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleń pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,

Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze —
Nocą, z pod owych skrwawionych warkoczy
Próchno świeciło się w dębie — jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.
Beniowski w galop szedł za lotem ptaków;
Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery,
I sześć pod dębem kozackich kołpaków...
Którzy tam pewnie jako marodery
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków...
I nie znalazłszy w nim... dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem w koło suchych liści
I oczeretów, jałowców i cierni;
Już jeden krzesał ognia, który czyści
W czyscu, a na tym świecie wszystko czerni —
I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili — wiatr dął taki jak w hamerni —
Szczęściem! bohater mój napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi,

Oprócz kozaków dwóch... Z tych jeden, stary,
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę,
I poszedł, mówi Homer, między mary.
Co się z nim stało?... nie chcę i nie muszę
Mówić; bo to rzecz należy do wiary
Grecko-rosyjskiéj; lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w téj religii, gdzie car — jest i piekło.

Pocieszająca myśl!... lecz nie dla cara,
Który wolałby może z tego względu
Większą bezpieczność. Jedna więc ofiara
Polskiego miecza młodego zapędu,
Poszła *ad umbra*... i tam niech się stara
Szczęśliwszą być niż tu — gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia przesytów,
Bankructw, poezyj głupich, jezuitów,

Heglów poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko-romansistów,
Kozako-powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają, od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy:
I byłbym został tam — gdyby nie muchy,

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,
Nie dżuma, nie tęsknota, nie te bramy,
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie, jak w Armidy palmie...
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu.

Za to w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza...
O to bynajmniéj nie dbam i nie stoję,
Aby wiedziano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga...
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, on wiedział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących... te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;

Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie.. Lecz to nowe
Głosy dla mojéj lutni — te cierpiące —
Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milcz, szalone! —

O czém że ja mówiłem? — ha — w tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym pan Zbigniew patrzał w blade twarze;
Wtém ujrzał, że się cierń zajęty pali,
Że się już ogień wiesza na konarze
Suchego dębu: a więc cięciem stali
Odrąbał gałąź, ta zaś odrąbana,
Jak płomień zdjęty przez burzę z wulkana

Leciała, hucząc głucho, i czerwona
Kołysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan, co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni, łakoma
Ciała ludzkiego — więc — O! myśl szalona!
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
Gałąź — i wiatr ją pochwycił z nad trupów,

Roizskrzył, stargał, skręcił i zwinąwszy
W jeden kłąb, rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Słysząc, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije.
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi:
Więc nic nie tworząc z ognistéj gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze, jak rzecz suchą....
A sam do mego wracam wojownika,
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
A z dębu nie chciał uczynić świécznika
Owéj dolinie strasznéj, gdzie z ropuchą
Wąż między głazy krédowymi syka,
I pachnie gorzki piołun. — Więc mój rycerz
Stał... jakby z głazu go wyrąbał snycerz.

I patrzał... owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła,
Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła:
Owe gołębie, których ja z autora
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości... nigdy za małżeński związek! —
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek,

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem,
I zmieścić... nie wiem, czy mógł... wojsko całe —
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak, że zostanie i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów, napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale, że to jest cudowna zagadka
O sławie onéj i o rybach onych,
Nie mówię więcéj... Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę — te gołębie,

Które dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodka;
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.

Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rzeski
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemno-niebieski,
Bo próchno, niby brabanckie koronki
Rozbłękitniło chropowate deski,
Jak dla Rusałki kościół, lub Bogunki.
Było tam światło takie, jak w zawiei,
Gdy księżyc świéci w mgle... światło nadziei!

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosną, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grotę odwiedzał błękitną
Kaprei — i tam ujrzał bóstwo swoje
Nagle błękitném powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty
Oblewające je od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanéj kobiéty
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze...
Żywy — lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie téj, na kruchéj łodzi,
Zamknąwszy oczy, znowu je otwierał,
Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacyi i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał,
Niech popracuje, albo puści żagle
Myślom... a ujrzy tu znienacka, nagle —

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owém drzewie
Od lat szesnastu zaledwie dziéwczątko,
W błękitne próchien rzucone zarzewie
W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządką
Arachną... Muza moja sama nie wie,
Jaką od innych odznaczyć pieczątką
Ów utwor nowy... W błyskotnéj sukience
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki,
Sięgały jéj ust dzióbki różanymi;
W oczach błękitnych przestrach wziął na ważki,
I dwie perłowych łez zrobił równymi —
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
Wydawały się gwiazdami złotymi,
I z włosów dziwne rzucały promienie —
Bielutką miała twarz — z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jéj spłonęła i szyja:
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,
I ten rumieniec, co w skażonych mija....
Widzę, że daléj już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi,
Stwórzcie więc myślą panią dwóch gołębi.

I niechaj się wam roją rzeczy cudne
O czarodziejskim Rusałek kościele;
Gdy w koło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele...
A w głębi dębu gwar innego świata,
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozlata.

Beniowski z ładną panienką... Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj daléj...
Miłości moje, jako próchna świécą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;

Ledwo ustami płomienia zachwycą,
Wnet je strach księdza, albo los oddali,
Rozerwie ręce, trwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą — listownie.

W listach dopiero... a wszystkie umieszczę
W przypiskach... mój bohater będzie czuły:
Już to nie będą moje rytmy wieszcze,
Ale esencya serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły...
Nie emigracyą, bo téj dyabeł nie chce,
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicya serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdéj spyta, co upadła:
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego,
Że w smutnéj twarzy swéj ma coś — srebrnego.

Pryncypia... O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekréślę
Te strofy.... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiéj jak z niebieskiéj sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka... śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami, prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko-wiedzący,
Krwią do was byłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi węzgłowiem
Jedno kobiéce serce — jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedya gra. Może mi przyjdzie
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinx przy piramidzie.
Z grobów ojczystych patrzą blade twarze;
Może wieszcz — zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa,
Może zamilknę jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę, zasnę — ha! lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręża,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbił piekło. — Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom. Precz, szakale!

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady.
Między ciemnymi położył się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,

Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobréj rady
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojéj własnéj duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje z pod zasłon odchylę,
Widzę, że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnéj miłości winne, temu winu,
Które upaja na śmierć, potém wskrzesza,
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiegła. — Skarży się na moję ciemność.
Poeto, „fiat lux“ zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:
Życzę, aby to było, czego życzą!
Tygodnik jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk,
Lecz panteista trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator,
Co mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin i pod Equator;
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrżną: *sta viator.*
Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma,
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to, cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy
Nakształt Hektora, Ajaxa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy,
Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda,
O awanturach własnych geografią,
Po któréj ludzie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał: *Pomysły*
Do dziejów, które się dziać kiedyś mogą,
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po ręku jak rektorska linia;
Jeśliś ciekawy, patrz Rozdział: *Opinia*.

O autorowie z nudy! O, Fenixy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łóżek.
O polityczne moje nowe Ixy!
Upadam wszystkim pokornie do nóżek,
Lecz życzę, aby nas dzieliły Styxy.
A teraz z waszych korzystam przestróżek,
I już nie Ody piszę, ani Hymny,
Ale poemat ten — nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków;
Jeśli co mówi? mówi bardzo krótko.
Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków,
Bo ani z wód kobietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściéj lilja, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,
Jako tych dwoje, których ja mam w dłoni.

I mógłbym, mógłbym, — lecz nie chcę, a może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Próchno świécące księżycowo w korze
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru

Pełne. — Zatrzymaj mię, potężny Boże!
Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika
Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. — Sybirski będę, lodowaty;
Dla tego wchodzę w styl nowych poetów.
Słyszycie, jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie, śpiesznie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów.
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed nimi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Naprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.
Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szarawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa,
Słowem, Ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja Nimfa srebrnéj cery
Pobiegła skocznie i, całując w ręce,
Oddała księdzu Markowi papiery
Schowane bardzo tajemnie w sukience;
Potém zaczęła śpiew o sobie szczery;
Słów jéj nie kładnę wszystkich, bo przekręcę,
Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niéj auto-da-fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią.
O horror! trzeci rym jest na żyrafę!
Muzy żałosne łzy nademną ronią,
Bo Muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz, piszący poemat *oktawą*.

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę,
Mówiąc płakała — na usta różane
Kapiąc, padało kropelkami słońce.
Pan Zbigniew patrzał zaś w stronę, na ścianę,
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi *krzywo*,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo!

„Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
„Abym ojczyźnie mojéj służył szablą
„I całą duszą. Z bliskiego mię jaru
„Te dwa gołębie sztuką prawie dyablą
„Przywiodły tutaj. Znajdziesz śród czaharu
„Dwa trupy, które Pluton swoją grablą
„Weźmie, i w ogień piekielny zagrabi.
„Więcéj mu takich dam, na honor hrabi!

„Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale że jestem bez grosza i młody,
Nie wiele sobie ważę te bibuły
I pergaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek na sławę czuły
I mocno hańbę ojczyzny czujący;
Niedoświadczony jeszcze, lecz gorący.“

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ściskać postać giętką:
„Ja znałem twego ojca! gdyby dożył,
„Pewnieby twoję chęć pochwalił prędką.
„Bogdajbyś późno się w grobie położył
„Jasnym, jak człowiek wielki; ani wędką
„Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
„Zlituj się, Matko niebieskiéj korony!

„Oto dziecko to oddaję w opiekę
„Tobie, Dziewico czysta, Matko boża!
„Broń rzuconego w te nieszczęścia rzekę,
„Która z nas płynie do wieczności morza.

„Pozwól, że z niego tę cielesność zwlekę,
Która tu krwawi ducha jak obroża,
„A zaś mu w duszę ognistą przeleję
„Rozpacz, co wszystko łamie — i nadzieję.

„Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
„A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
„Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
„I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
„Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
„W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
„Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał,
„I będzie, jak ten dąb umarły, szumiał.

„Będzie miał w sercu władzę odpychania
„Ludzi, a węże się doń zbiegać będą.
„Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
„I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą,
„Krzycząc: Ojczyznę nam daj, lub do spania
„Grobowiec sławny! ale nie posiędą
„Grobu ni sławy. I to jest przekleństwo,
„Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

„I niechaj będzie jakoby stuletnie —
„Lecz nie. O Boże! nie słuchaj, Jehowa.“
Tu zamilkł: oczy mu błyszczały świetnie,
I pięknem srebrem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie,
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze, albo za Egejskie skały,
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały.

I mój rym także, po téj parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobréj łodzi,
Idzie spać. Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem, czego chce? i czego dowodzi?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił, i nic więcéj.

PIEŚŃ IV.

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.
W dębie na ziemi siedział Marek stary
I na kolanach rozpisywał listy;
A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: — „Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami — w nawiasie: Niech was powystrzela

„Moskal i dyabeł, że się tak kłócicie
„I zostawiacie Bar Moskali pastwą;
„A choć szlachetne imiona nosicie,
„Jest z was ohyda boska i plugastwo.
„Pan Regimentarz zaś sam mianowicie,
„Który obiecał karmić nas jak ptastwo
„Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel,
„Cierpi, że buty dziś je obywatel.

„*Venit judicium!* Nie odemnie sługi
„Usłyszy wtenczas sąd, lecz przed Chrystusem
„Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
„Toż samo pan Rożański, co Fabiusem
„Jest w naszéj partyi, także i ten drugi
„Niech wie, że sądu dzień nadchodzi kłusem,
„I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci —
„Piszę to z głębi żalu do Waszeci.“

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy
Jak głos od harfy, albo blask księżyca,
Lub Afrodyta, któréj ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica,
Ze świéczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku złotą mając twarz i łono.

Ktoby tam zajrzał, myślałby, że który
Z ojców kościoła siedzi z gołą głową
I po natchnienie patrzy w ciemne chmury;
A zaś Aniołek, rączką rubinową
Dotknąwszy białéj jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,
Podobną róży z gwiazd, lub pełnéj malwie,
Gdy starzec siedzi na orle lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje:
Ksiądz z piórem w ręku, ze świéczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W któréj tak miło pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna;
I na murawie legnąć axamitnéj,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnéj.

Lecz w owe czasy któż jednę godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą.
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie,
Jak kwiat będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łza? — jak wszystko, co się zowie modą? —
Choć dobra moda była w onych czasach
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło! Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niéj każda smakuje trucizna;
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj, każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury lub koty,
Że ten wiersz bez psów, liszek i bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek.

A więc niech wszystko mija! Wstańcie, burze!
I zwiejcie mój ślad z téj smętnéj pustyni!
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylcie, niech je próżnymi uczyni

Czas. Wszak stawałem na niejednéj górze
Bliżéj piorunów niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka!
Bliżéj chmur, co grzmią, niż ludu, co szczeka!

I dziś od ogni boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię, lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka!
Czasem podobna do Aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcéj litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? nie wiem, i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje odemnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet, gdy w ciało się straszne obloką,
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką.
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach — kolor czarny.

Dziś uleczony napół, lubię róże
Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie. Teraz wam powieścią służę
I w żadne więcéj ustępy nie wpadnę;
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznéj,
I wszystko może ujść w kompanii grzecznéj.

Stoi więc w dębie moja mołodyca
Ze świécą, jasne dwa gołębie burczą;
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy. Posłuszne się papiery kurczą
W kopertę; z lakiem ożeniona świéca,
Mówiąc Delilla stylem — styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francyi
Rozumu, jeszcze więcéj elegancyi —

Ożeniona więc świéca z laską laku
Wydała tę łzę, która z tajemnicy
Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku;
Zwłaszcza, jeżeli Moskal na granicy
Nie czyha na twój sekret, o! Polaku,
Z pomocą drugiéj ożenionéj świécy;
I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
Zdradziecką ręką nocy, styl Delilla.

Już więc Ksiądz Marek, tu mnie nie doścignąą
Ixy warszawskie, kochanków zaślubił,
I nim oboje w małżeństwie ostygną,
Przypieczętować chciał, już tak naczubił,

Już, już... wtém szable mu po oczach mignę!
Ksiądz wstał, szczęk wielki był, pieczątkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiem dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój: naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice, każda jako sierp na głowie!
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to z Panem Sawą Pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić!
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potém z rozwagą większą w ogień skoczą.
Tak mówiąc patrzał, jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa,
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,
I znów ich konie rozniosły szalone!
Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu, dwie czerwone
Trysły fontanny — jak rubin się żarzą,
W biegu nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby Delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmieszany tym ostrym dogryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu,
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! We krwi, co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni — między oczy;
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę, co skrami pryskając odskoczy,
Pewnieby więcéj mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czémś czerwoném.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czaszce swéj zobaczył,
Gdyby nie dziwne, a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie. Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzyma;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy, muszę kończyć. Więc Pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. Była to zabawa,
Któréjbym wcale z innymi nie dzielił,
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworkach,
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w samo czoło,
I palec już giął, gdy nagle, o dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło,
Z tęczy zlatuje na zamglone niwy,
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,
Dziéweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezyi mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,

Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc, i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomięszała go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka.
A ta dziéweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się zrobił złoty wąż zwinięty
W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem, i za kwiatami, i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem.
Nie widzę więcéj, jary się tumanią,
Dymnéj kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. Teraz, kto wypowie
Uczucia wnętrzne w moim bohatérze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał, a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział, co są Centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze;
I miał na twarzy taki wyraz boski,
Jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jéj włosy,
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał i patrzał, gdy z dębowéj groty
Wyszedł ku niemu Karmelita bosy,
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,
Spytał: „Dla czego Waść się bił z Kozakiem?

„O krwi gorąca! że też ja nie mogę
„Utrzymać nigdy między wami zgody!
„Oto Pan Sawa znowu ruszył w drogę,
„Bóg wie, czy wróci, a rześki i młody.
„O młodzi! młodzi! pod waszę ostrogę
„Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
„Dopóki każdy z was na koniu jeździ,
„Nigdy się w jedném miejscu nie zagnieździ.

„Skądże wam przyszło, żeście tu z jaszczura
„Dobyli szabel i na konie wsiedli?“
Na to Pan Zbigniew: „Oto jest rzecz, która
„Zwaśniła obu; gdyśmy tutaj jedli
„I pili, oto złota miniatura,
„O którą srogi bój obaśmy wiedli.
„O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;
„Ja mu ją, księże, sam zerwałem z piersi.

„A zerwawszy ją, chciałem serca dostać
„Z pod żeber jego tą szablą turecką.“
Tak mówiąc, strasznie miał marsową postać.
A ksiądz: „O takąż rzecz chodziło świecką?
„Wartoby obu dyscypliną chłostać!
„Wstydź się, Wielmożny Hrabio! jesteś dziecko:
„Tę miniaturę mi dała dla ciebie
„Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!

„Ja zaś, nie mając kieszeni w habicie,
„I nie chcąc wieszać téj rzeczy na sobie,
„Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
„Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie.

„A przytém i list skropiony obficie
„Łzami, a w takim pisany sposobie,
„Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę,
„Podjąłem się ten list schować w kapturze.

„Oto jest pismo dziś pisane w nocy,
„Czytaj Waść! ja tymczasem na koń siędę;
„Bar potrzebuje dziś mojéj pomocy,
„Lub go ocalę, lub niebo zdobędę.“
Beniowski blady jak duch o północy
Już nie uważał na księdza gawędę;
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiéj mojéj pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzéj niźli Troi;
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta, będąca w zamku na załodze;
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze

A sam zamyślał jechać do Warszawy
I córkę z walki uprowadzić pola.
„O! mój Zbigniewie! nie miéj ty obawy,
Pisała Panna, nigdy ojca wola,
„Nigdy ponęta, nigdy przestrach krwawy,
„Nigdy szalone szczęście lub niedola
„Nie skłonią mego serca do odmiany!
„Bądź sławny! jesteś mój, jesteś kochany!

„Odjeżdżam teraz, ale się otoczę
„Myślami, kwiatów podolskich zapachem,
„Woniami, które były tak urocze,
„Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem
„Ty mię porzucał, a ja ci warkocze
„Dałam całować, przenikniona strachem,
„Abyś mi u nóg nie padł konający,
„Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

„Powiem ci teraz, żem się była zlękła,
„Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
„Z którymi w sercu jakaś struna pękła,
„Gdy się dotknąłeś usty moich włosów.
„Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jękła,
„Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,
„Myślałam, że już ginę z światłem, z echem,
„I że westchnienie śmierci — jest uśmiechem.

„Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
„Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem, czemu
„Cała się zlałam łzami i rumieńcem;
„Ty wiesz, ja zawsze kwiatowi białemu
„Podobna, póki mi był oblubieńcem
„Chrystus. Uśmiechnij się słońcu złotemu,
„Bo mi się przed nim łza gorąca toczy
„I tak rumieni mię, jak twoje oczy.

„Niespokojności pełne serce moje!
„Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
„Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
„Aż do mojego zamku, do Ladawy,
„Każ sobie Panny otworzyć pokoje;
„Na stole stoi filiżanka z lawy,
„Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek,
„Nosiłam go dziś całą noc — bławatek.

„Nie trać nadziei nigdy, nigdy! Kto ma
„Wolę, ten wszystko pokona. — *Addio!*
„Z wyciągniętymi za tobą rękoma
„Jeszcze raz wołam tobie — *caro mio!*
„Przy tobie zawsze będę, niewidoma,
„I wprzód mi serce, niż ciebie zabiją!
„Nie! ty nie możesz zginąć tak jak oni,
„Których nie kocha nikt — i nikt nie broni.

„Pytałam dzisiaj staréj wróżki Diwy,
„Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci?
„Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,
„Że się o ciebie wiele duchów kłóci

„Czarnych i złotych z tęczowymi grzywy;
„A czyny twoje ktoś na harfie nuci;
„Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze;
„Nie będziesz temu wierzył, lecz ja wierzę.

„Przepowiadając, mówiła mi stara,
„Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
„A zaś przy tobie stoi jakaś mara
„Ubrana w szaty dziewicze; to chyba
„Ja — czy nie prawda? O! gdyby ta szpara,
„Gdyby ta jasna z dyamentu szyba,
„Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
„Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

„Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
„Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;
„Lecz tylko w każdéj chwili widzieć ciebie,
„Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu.
„Zda mi się nawet, że w jakiéj potrzebie
„Pomagałabym ci okiem — do szczytu
„Szczęścia i sławy — choćby...“ Tu przerwany
Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki były do ust podniesione,
Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza.
„Te całuj! krzyknął, te rany czerwone,
„Które miał Chrystus, godne ust rycerza!
„Nie te kropelki łez gorzkie i słone,
„Z których rdza pada na kryształ puklerza.
„Rzuć ten list — daj go, jak mówią, szatanu!
„A słuchaj! ważną misyą dam Waćpanu.

„Piszą mi, że tron odzyskał Khan Giraj;
„Przyjazny zawsze Polsce był Khanisko.
„Masz listy, których proszę nie otwiéraj,
„Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nie blisko;
„Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,
„I bocian także z małą szarą pliszką
„Do téj krainy lecą z wielkim krzykiem;
„Bocian okrętem jest, pliszka sternikiem.

„Ona ptakowi na ogonie siedzi
„I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
„Tak, jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,
„Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada;
„Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznię z miedzi,
„Prosto wędruje i w gniazdo upada
„Gdzieś na wieśniaczéj chacie, zmordowany,
„Przebywszy morskie burze i bałwany.

„Ufaj mi, synu! jeśli wytkniesz sobie
„Drogę, a prostą, to choćby do słońca
„Zalecisz, często na krzyżu lub grobie
„Odpoczywając. Leć że więc bez końca.
„A będziesz chodził w anielskiéj ozdobie,
„Jako ojczyzny i wiary obrońca;
„A nim zasługi twoje w niebie zginą,
„Ziemia przeminie i gwiazdy przeminą!

„Patrz na mnie! jestem także zmordowany,
„A kto wie, co tam w mojém sercu płacze?
„A jednak wziąłem w ręce krzyż drewniany,
„I chodzę, tuląc do głębi rozpacze.
„Wolałbym może już w grób, jak złamany
„Dąb i bez liści, lecz mi serce skacze,
„Kiedy na działo wstąpi moja noga,
„A działo ogniem śpiewa imię Boga.

„Więc, że i starość jeszcze Jowiszowe
„Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone,
„Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe,
„I wulkany z nich rozrzuca czerwone;
„I téj ojczyzny martwéj wznosi głowę,
„I kładzie na nią zbawienia koronę —
„Także więc krwawym was obmywam chrzestem!
„A pomyśl tylko ty — czémże ja jestem?

„Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
„Będzie rodziła chwasty i lilije;
„Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
„A który jutro Bóg nogą rozbije.

„Nośże ty ducha w téj cielesnéj glinie;
„A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije
„Z błyskawicami. Na końcu żywota
„Czyny człowiecze waży szala złota.

„Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
„Są policzone, i nie ginie jedna
„Kropelka, ani biała, ni różana,
„Lecz każda waży i ważąc wyjedna
„Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
„A byłaby też ta ojczyzna biédna,
„Gdyby dla ciebie zginionego młodo
„Łez nie znalazła. Bądźże więc tą wodą

„Ochrzcony teraz i w grobowcu późnym.“
To mówiąc, ręce wyciągnął, i drżały.
Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźném.
I był na twarzy przerażeniem biały,
Iskry mu z oczu szły — i dreszczem mroźnym,
Miłością wielką dla nieszczęsnéj chwały
Czuł się przejęty! Będąc tak ognisty,
Z ręku księdzowskich wziął do Khana listy.

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi;
Jechał i marzył o przyszłości cudnie,
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi,
Nie dosyć będzie przez gościniec z ostów, —
Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerye chyba z szkła i dyamentu
Zbuduję, w karczmach posadzę Dyanny.
Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przezroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny —
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się téj łabędziéj marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twéj platońskiéj czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blisko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogni plecie:
Tam ślubuj przyszłość. Muza mdleć zaczyna!
Dajcie mi bursztyn, i róże, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół-senny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny,
Naprożno serce truciznami poim!
Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim.

Patrzaj, powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś w równéj zawsze strojny mierze;
U ciebie jednéj on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,
A więcéj kocha ludzi, niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy
A miłość twoję miałem nakształt słońca

W pamięci mojéj. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła;
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru, a druga z promienia.
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kréśląc,
Staliśmy jak dwa sny, oboje myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory,
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć, znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niéj, jak nawałnica.
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mię duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone;
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne —
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałéj róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć!... Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły, czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa —
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ V.

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy, na niebie łopocą
Kruki, jak stada posępne szatanów.
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawymi płomyki.
Tam, na kurhanach, posępne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmięszane z szumem liścianych hałasów,
Wychodzą na step: a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącymi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki, na polu, czumaków,
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam daléj wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży, albo sęp bezpiórny,
Podobni zdala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi, albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone,
Odprawujące straż i zamyślone.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc powstawał zamglony,
Obaczył ogień pod dębowym borem
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem,
Dzikiéj i strasznéj twarzy jak Hurony;
Gotował strawę i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta wywrócona, oczyma szklanymi
Zdała się żebrać u ognia litości.
Daléj siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupan był, skóra i kości...
Drugi otyły i z rubinowymi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałéj tuszy, trochę baba
Na twarzy, dziwnéj miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba
Malowanymi natykana pióry.
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,
Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika —
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzieniegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy, ani czaju,
Żelaza kawał nosili na głowie,
Jak staréj kawał arki na Synaju!
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,
Zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.
Litwin, pancernik jeden z tych mamutów

Siedział, jak mówię — i z oplecionego
Butla pił. Litwin to był staréj daty,
Z chudym się na czas połączył kolegą.
A jego sługa, czerwono-kudłaty

Perkunas, który pana znał małego,
I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych Bogów:
Kucharzem teraz był... i u trójnogów

Wieszał — ach! nie już dla Znicza kadzidło,
Lecz kawał sarny... już nie dawne runy
Śpiewał, lecz dyabła żmudzkiego straszydło
Krzyżem odpędzał, gdy biły pioruny.
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło
I po tatarsku zawijać kołduny.
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz... to za boćwinę

Dałby dwie. O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym — ni piu ni meno,
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszu! O nagrodo!
Że mi go kiedyś dasz... marzyłem młodo —

Lecz teraz tracę nadzieję. — Niestety!
Nie lża, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
I miałem nieraz Dyanę usłużną —
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną!... czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
Z twoją tabliczką w ręku — —
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Po kropkach piszę daléj. Wiatr był chłodny
I ogień palił się wesoło z trzaskiem;
Beniowski — nie był to bohater modny,
Co się księżyca tylko karmi blaskiem —
Przypomniał sobie właśnie, że był głodny...
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem,
Albo poeta ucieszony nowym
Rymem, nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią!
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;
Albo... lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią,
Więc prosto bez gawędy i odwleczeń,
Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia.... Teraz, kiedy go prowadzą
Tak materyalne gusta, moja Muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukuruza,
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka, na kształt czerwiennego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy,
Jak serce wroga na Odyna tarczy —

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,
Chociaż Perkunas ma nakształt trójzębów
Widelec w ręku i Neptuna ramię,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,
Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie
Dytejskiéj i w żar łeb żelazny kładzie...
Choć uczty prostszéj nie było w Helladzie,

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moję szlachtę — a sam w stepy
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.

Ta rozmaitość może być pokrzywą
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz rozmaitym będę — dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niéj wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą;
Potém z niéj łyskać błyskawicą cichą,
Potém w promieniach ją pokazać złotą;
Potém nadętą dawnych przodków pychą,
Potém ją utkać Arachny robotą,
Potém ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on to by zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami—szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potémby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiéj — w grobie.

Więc nie mięszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz! mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna;
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiéj opoki, co wieków pamiętna,
W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno — wielkie imię,

Niż — moja Muzo, stój! Od imion własnych
Wara! z téj strony zrobiłabyś cmętarz.
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz,
Krytykę Dońców i Sławian prekrasnych
Zostawmy drugim. Lepiéj ją spamiętasz,
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,
Przeszyje pióro pana Michała Gra...

Ej ty na szybkim koniu! Daléj wiecie,
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: Skąd, powiédz, wracają Litwini?
That is the question! Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz! jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladując metra
Galop w połowie pierwszéj hexametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną, jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany — mówi Sawa.

Tak mówiąc, leciał. A zaś Nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potém usiadła, ale taka zdradna,
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna:
Widać, że z chłopa drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,
Pędził do swego stepowego domu:
Była to grota podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.

Koń się w niéj mieści i trzoda się chowa,
Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność Pana był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał!
Straszny pies czarny z obszarpaném uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto ponizał
Korale — szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko lizał,
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
Sądząc się w pana pałacu marszałkiem.

Sawa, wracając raz z nad Styru dolin,
Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
Z atencyami do jednéj z podstolin,
Wracając, patrzy, pies z mordą kałmucką
Siedzi przed samą grotą, jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką,
I oblizuje się po krwawych chrapach,
Jako egipski bóg — na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa, ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżyca,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał;
Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu, gdy się uspokoi,
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnéj roi,
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan,
Nie wyrzucał mu nic — milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potém zmiękczony
Na wolność puścił znów antropofaga.
Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony,
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dla tego, że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I czuł dziwną czczość, zajadłszy w parowei
Poetę może — z poematem w głowie?

Nie wiem i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące przez burzanów fale
Lało się w grotę ognistymi błamy.
Barany białe leżały na skale,
Nad grotą. Obraz ten oprawić w ramy!
Za Sawą wszedł koń w jamę wyzłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziéwczę z gołębiami,
Pies łasił, koń rżał, gołębie gruchały,
Brylantowymi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, lejąc się ze skały.
Idylę moję pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały?
Pies więc i grota, koń, gołębie, trzoda,
Spokojnie słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niéj Sawa: „Oj moja Swentyna!
Latasz po stepie, jak cygańczuk bosy,
A czerwieniejesz teraz, jak kalina.
Oj będzie licho! Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na licho — Cyganka!“

„Na licho wyjdę, czy na spokojnicę,
„A tobie to co? ty wyjdź na hetmana!
„Znajdź sobie jaką piękną krasawicę,
„Córkę starosty, albo kasztelana,

„Taj się żeń. Ja ci ubiorę w brusznice
„Korowaj, sama pójdę w step Bojana,
„Gdzie mi śpiewają kwiaty i żórawie:
„A spać nie będę na wproszonéj ławie.

„Mnie świat szeroki! Jak złotego gila
„Przedała kiedyś Włochom Guślarycha,
„Ty na kurhanie dumał Czaromyla,
„Gdzie tobie dumy piała Janczarycha.
„A mnie Włoch bił! bił! Oj! łza mi rozchyla
„Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
„Jaka ja biédna była niewolnica!
„A dziś co ze mnie? wiatr! i gołębica!

„Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
„Pocałuj, zapłacz, świśnij, taj polecę!
„Gołębie moje umieją tańcować,
„Na chléb zarobią, na cerkiewne świéce.
„Będzie mnie za co ubrać i pochować.
„Albo ja martwa pójdę wpław po rzéce,
„A gdzieś Rusałki srebrne wezmą sobie
„I pochowają w śpiewającym grobie.

„Taj będzie koniec z żałosną Swentyną!
„Oj! nalatała się ja po kurhanach!
„Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!
„Jak jemiełuszka! Była ja przy panach!
„I była między chłopami Caryną!
„A wszystko smutno! Chodzę jak w kajdanach,
„Ni ojca, ani matki na tym świecie!
„Groszów zebrała co? taj wiatr rozmiecie!“

Sawa jak szatan zmarszczył się: „Poganko!
„A co! straciłaś już twój srebrny wianek?
„Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!
„Przy tobie jakiś złoty marcypanek,
„Szlachcic. Co robisz ty z nim? mów, cyganko!
„Co ty robiła z nim przez cały ranek?
„Cóż? oszukana, ha? kwiatku kaliny,
„A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?“

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona
Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnymi
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,
Jak brzoza listki wiejąca złotymi,
Wstała, i nogą jakiś zygzak chiński
Kreśląc na piasku, rzekła: „Słysz, Caliński!

„Pomiędzy nami stoją te hramoty!
„Aż przyjdzie rzéka i ten piasek zmyje,
„Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
„Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
„Ani mnie ujrzysz! Ani ja wiem, kto ty?
„Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję?
„Łzami kupiła ja ten świat podniebny,
„I komu zechcę dam pierścionek srebrny.“

Tu Sawa wściekły wrzasnął: „Ty wyrodna!
„Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!“
Na to jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowéj czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną,

Podobnie wtenczas się zarumieniła,
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
„Nie! nie! ja nigdy!“ Białą twarz zakryła,
„Pierwszy raz jestem spłoniona przed tobą;
„Teraz się będę zawsze czerwieniła
„Przed każdém okiem, przed każdą osobą.
„Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
„Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

„Gdy dawniéj, w rękach i na linie Włocha
„Giełam się jak wąż, cóż robiły pany,
„Aby mię słowem zczerwienić choć trocha!
„A byłam jako kwiatek ołowiany.

„Nie czerwieni się serce, aż zakocha;
„Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.
„Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,
„Jeśli, jak mówisz, kocham? — lecę kochać!

„A gdy się dowiesz, że w kurhanie leżę,
„O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
„Połóż się chwilę na darniny świeże;
„Niech sokół czarném krzyż obleci kołem.
„Ja także jestem jak polscy rycerze,
„A ksiądz mię posłem nazywa, aniołem;
„Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
„Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

„A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
„Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno
„Zyskać, kto w grobie położy Swentynę?
„Kto różę na nim posadzi odludną?
„Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
„O! jak tam w grobie niekochanym nudno
„Spać na kamieniu!“ tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królewna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu,
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany;
A za nim Nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły na słońcu różany.
Stanęli. Burzan podobny do lasu
Purpurowymi podpływał bałwany,
By morze blaskiem piorunów rozbite.
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt łaciński u rybackiéj łodzi;
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak Delfin wychodzi.
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
Jak posąg, co się u snycerza rodzi,
I cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest, a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany prułо,
Jak prąd ogromny sumów lub łososi;
I tak się jako wąż żelazny snułо,
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi.
Ale się pieśni narzędzie popsułо!
O wypoczynek moja Muza prosi;
Ambrozyi słodkiéj już zabrakło w krużu,
A więc żegnajcie! na stepowém wzgórzu

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!
Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potém ręce znów na harfie kładnę:
Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;
Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,
A każda, co chce, z mego serca bierze:
Sonet, tragedyą, legendę lub odę,
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:
W co?... Jeśli powiem... będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym, co drwi lub przeklina,
Ma polityczne c r e d o; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w respublik jedynaka syna...
Mochnacki nim był u nas, ten kostera!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez dyktatora dał się ukrzyżować.

Wierzę, że powstał w człowieczéj postaci,
I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do arystokracyi,
I w tém bez ognia piekle bawił trzy dni;

Potém w książeczce sądził swoich braci,
Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych:
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem!
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,
I w zmartwychwstanie Sejmu, pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmieszném
Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym!
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego Sejmu wierzę żywot wieczny,

Amen... To amen krztusi mię i dławi
Jak Makbetowe amen... Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp, że z kośei rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi,
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
I ogień z nim śpi i węże i trwoga...
Wierzę w to wszystko... ha!... a jeszcze w Boga.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionéj przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywém,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie... ja sądzę, że znajdzie... i życzę
Ludziom małego serca: kornéj wiary,
Spokojnéj śmierci... Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnéj miary!
Gdy warstwy ziemi otwartéj przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upada na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył,
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmią jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał

Boga, a teraz kawałki spadały —
Jam zbił, lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie... tylko męstwo.

Zaprawdę!... Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienickiéj góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgrajęę... i stanąć za mną... lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj łąk pełen kwietnych:
Ojczyznę, która krwią i mlékiem płynna,
A która także mię kochać powinna!

Jeśli wy bez serc! Wy! — To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo! Płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiéj rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy —
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy.“

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świéci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione ślecie...
Gnacie?... Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziéj!.. i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoję śpiewał.
Kiedy kląć zechce.. przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wyspowiadam,
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!
Patrząc na twoję twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twém krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twojém obliczem,
Mię powalonym, hardym i straszliwym...
Nie jestem tobą... ty nie jesteś zniczem.
Lecz choćbyś bogiem był... ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym.
Kocham lud więcéj niż umarłych kości...
Kocham, lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych.... Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksięstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj—? przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...

Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jéj nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył: —
Zabiję — trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawię wiekom... Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,
I pokazałem, że na twojéj korze
Pęknięcie serca znać... a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze...
Bądź zdrów! — A tak się żegnają — nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

1841.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

POEZYE DROBNE, ULOTNE, LIRYCZNE i t. p.

	Str.
Piosnka dziewczyny kozackiéj	3
Hymn	4
Kulik	5
Pieśń legionu litewskiego	8
Duma o Wacławie Rzewuskim	10
Paryż	15
Godzina myśli	17
Do Michała Rola Skibickiego	27
List do Aleksandra H.	30

POEMATY.

Hugo	39
Mnich	49
Jan Bielecki	61
Arab	79
Żmija	87
Lambro	141
W Szwajcaryi	187
Anhelli	201
Wacław	245
Ojciec zadżumionych	277
Poema Piasta Dantyszka	293
Beniowski	347

BIBLIOTEKA NARODOWA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
316434
T1
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001006027481